

SIATKARSKIE ZŁOTO
DO ZŁOTA, CZYLI JAK
ONI TO ZROBILI!

JOANNA LICHOCKA
O WSZYSTKICH KOTACH
RYMKIEWICZA



POLSKA WŚRÓD
NAJSILNIEJSZYCH
GOSPODAREK ŚWIATA

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 41 (306) 2018
8–14 października

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TAŚMY: KULISY OPERACJI

DOPAŚĆ PREMIERA

MATEUSZ MORAWIECKI ZNALAZŁ SIĘ NA CELOWNIKU POTĘŻNYCH SIŁ Z KRAJU I ZAGRANICY. STAWKA JEST BARDZO WYSOKA. CHODZI O WŁADZĘ NAD POLSKĄ I GRUBE MILIARDY

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269809 41

Jesienna promocja

Zamów subskrypcję tygodnika „Sieci” w wersji elektronicznej



a dodatkowo otrzymasz GRATIS:

- ✓ **wSieci Historii** – dostęp do e-wydań miesięcznika w okresie subskrypcji
- ✓ **Sieci EXTRA** – specjalne e-wydanie przygotowane dla czytelników Sieci Przyjaciół
- ✓ **Newsletter** – najlepsze artykuły z portalu wPolityce.pl bezpośrednio na e-mail

1 miesiąc

~~19,99 zł~~

9,99 zł

12 miesięcy

159,99 zł

+

Koszulka

o wartości 103zł



gratis!

www.SiećPrzyjaciół.pl

eprasa.pl 9c712df3b7

Nie zostać zakładnikiem

Głosowanie przygniatającej większości klubu PiS za dalszymi pracami nad obywatelskim projektem ustawy znoszącej przymus szczepień można rozpatrywać jako polityczne zachowanie przedwyborcze. Przed wyborami trzeba bowiem dbać, by nie zantagonizować żadnej liczącej się grupy, której zantagonizowania da się uniknąć.

Ale można też powiedzieć, że głosowanie to jest syndromem niebezpiecznego procesu. Mianowicie zwiększania się – intelektualnej i ideologicznej – podatności partii rządzącej na narracje rozmaitych skrajnych środowisk. A zarazem narastającego strachu przed sytuacją, w której owe środowiska uznają PiS za „partię establishmentu" i zaczną poszukiwać godniejszego ich poparcia ugrupowania.

To proces groźny. Wiedzie bowiem do uczynienia partii rządzącej zakładnikiem rozmaitych, określających się jako prawicowe, ekstremizmów i dziwactw. Co w konkretnym wypadku owocuje wsparciem dla lobby, którego pomysły – uznane za absurdalne przez ogromną większość świata naukowego – grożą powrotem masowych epidemii, w cywilizowanym świecie skutecznie zwalczonych właśnie przez masowe szczepienia.

Należy mieć nadzieję, że partia rządząca nie posunie się zbyt daleko na drodze appeasementu wobec rozmaitego rodzaju ultrasów. I że zachowa zdolność do kreowania polityki państwa mającej na widoku interes całego społeczeństwa, a nie postulaty rozmaitych ideologicznych grup nacisku.

Piotr Skwieciński

Albo monopol, albo wojna

W ostatni czwartek „Gazeta Wyborcza" poświęciła całą pierwszą stronę, by donieść, że dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku dr Karol Nawrocki zwolnił z pracy główną księgową, ponieważ utracił do niej zaufanie. Co ciekawe, chodzi o sytuację ze stycznia 2018 r., a więc już mocno nieświeżą. Atmosferę skandalu ma budować informacja o rzekomej „inwigilacji pracownika". Problem w tym, że to twierdzenie więcej niż wątpliwe. Chodzi bowiem o zarzut, że ktoś fotografował księgową w czasie spotkania z byłym wicedyrektorem. Sugeruje ona, że było to działanie na zlecenie nowego szefa, czemu jednak dyrektor Nawrocki zdecydowanie zaprzecza („Ja nikogo nie inwigilowałem, nie wysyłałem do robienia żadnych zdjęć").

Więcej szczegółowych informacji, w tym wywiad z dyrektorem Nawrockim, znajdą państwo na portalu wPolityce.pl. Ale nie o szczegóły tu chodzi, lecz o coś ważniejszego.

Fakt, że tak duża gazeta jak „Wyborcza" kolejny już raz poświęca tak wiele uwagi i miejsca drobnym w sumie incydentom związanym z Muzeum II Wojny Światowej, pokazuje wagę tej placówki w toczącej się w Polsce wojnie kulturowo-cywilizacyjnej. A szerzej – pokazuje, do jakiej furii doprowadza niektóre środowiska złamanie ich monopolu w szeroko pojętej kulturze. Choćby punktowe, choćby bardzo ograniczone. Tu wszystkie chwyty są dozwolone. Także ewidentna próba zaszczucia człowieka, który przejął placówkę po pieszczochach salonu i który próbuje naprawić ich skandaliczne błędy. Bo w Muzeum II Wojny Światowej trzeba zmienić bardzo wiele, jeśli rzeczywiście ma służyć ono umacnianiu polskiej pamięci o strasznych, ale i bohaterskich latach II wojny.

Jacek Karnowski



Autopromocja

sa.pl 9c712df3b7

SIECI spis treści



30 *Duchowe dzieło IV Departamentu*
Piotr Skwieciński



34 Rosja, Urban, antypis
Konrad Kołodziejski



76 Holokaust: naukowcy na manowcach
Piotr Gontarczyk

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 GABINET CIENI I ASÓW
Krzysztof Feusette

12 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Piotr Skwieciński

14 ŚPIOCH PUTINA ROZRABIA
Jan Pietrzak

15 FEMINISTYCZNE POLOWANIE
Bronisław Wildstein

16 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

17 KOBIECA NIEPODLEGŁOŚĆ
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY
Dorota Łosiewicz

19 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

20 FELIETONY
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 UMOCZYĆ MORAWIECKIEGO
Stanisław Janecki

22 KTO NAPRAWDĘ BOI SIĘ TAŚM
Marek Pyza

22 KTO WYSTAWIŁ AKTA ONETOWI
Wojciech Biedroń

KRAJ

30 DUCHOWE DZIEŁO IV DEPARTAMENTU
Piotr Skwieciński

34 ROSJA, URBAN, ANTYPIS
Konrad Kołodziejski

38 PAŃSTWO RÓWNOLEGŁE
Stanisław Janecki

42 CZY PiS ODBIJE RZESZÓW
Jaromir Kwiatkowski

45 Z NATALIĄ NITEK-PŁAŻYŃSKĄ
rozmawia Aleksandra Jakubowska

48 Z ALEKSANDREM STRALCOVEM-KARWACKIM
rozmawia Jacek Karnowski

52 W MACKACH LICHWIARSKIEJ MAFII
Wojciech Biedroń

SIECI KULTURY

55 FIGURA PEŁNA UCZUĆ
Jolanta Gajda-Zadworna

57 HOLLYWOOD ZA KRATKAMI
Łukasz Adamski

62 CHARLES AZNAVOUR – POŻEGNANIE
Adam Ciesielski

61 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

62 UROK CHOPINOWSKICH BRZMIEŃ
Adam Ciesielski

64 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski

70 POLECA I ODRADZA
Łukasz Adamski

72 „KOTY" – FRAGMENT KSIĄŻKI O JAROSŁAWIE M. RYMKIEWICZU
Joanna Lichocka

OPINIE

72 Z KS. INF. IRENEUSZEM SKUBISIEM
rozmawia Artur Ceyrowski

HISTORIA

76 MORD ŻYDÓW POD DZIADKOWICAMI
Piotr Gontarczyk

80 DO RAJU ZA KARĘ
Tadeusz Brzozowski

ŚWIAT

84 BREXIT – KONIEC USTĘPSTW
Jan Rokita

87 NOWY WIELOKULTUROWY ŚWIAT
Aleksandra Rybińska

GOSPODARKA

90 ASTALDI I STOŁECZNA CARYCA
Jerzy Bielewicz

94 POLSKA W GOSPODARCZEJ ELICIE
Henryk Uzdrowski

SPORT

98 SERYJNI ZWYCIĘZCY
Cezary Kowalski

KUCHNIA

102 MOJE SMAKI: TESSA CAPPONI-BORAWSKA
Jolanta Gajda-Zadworna

103 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 PRZERAŻAJĄCA EPOKA?
Piotr Skwieciński

106 SAMORZĄDOWE STARCIE
Wojciech Reszczyński

107 FELIETONY
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 FENOMEN
Aleksander Nalaskowski

109 FLOTA, HAJS, SIANO
Wiktor Świetlik

110 ABSURDY GENDER STUDIES
Jan Pospieszalski

111 FELIETONY
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 TWITTEROWE REMINISCENCJE
Ryszard Makowski

113 NA GRZYBY!
Leszek Długosz

114 CHRONIĆ KOTWICĘ
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

5/0618/F

eprasa.pl 9c712df3b7



TWÓJ WYBÓR WPŁYWA NA ROZWÓJ KRAJU

Ponad 80% produktów sprzedawanych na naszych stacjach paliw pochodzi z Polski. Dzięki temu lokalne przedsiębiorstwa kwitną i tworzą lepszą przyszłość dla nas wszystkich.

ORLEN

eprasa.pl 9c712df3b7



Sygnalista nadaje

Kaczyński przedstawił też wizję Polski, w której wreszcie jest normalnie. Ma to być taki kraj, w którym przeciętni Polacy – tak jak Niemcy – jeżdżą samochodami najlepszych marek, a gdy jadą na wakacje, to mieszkają w równie dobrych hotelach, co Europejczycy z najbogatszych państw naszego kontynentu. Coś w tym jest: to, jak narody spędzają wakacje i jak są na nich traktowane, jest ważnym miernikiem ich statusu. Sygnalista był świadkiem, jak w Grecji turystów z Polski wręcz z automatu umieszczono... w zawilgoconych suterenach, a Niemców na wyższych piętrach. A przecież powinno być odwrotnie.

We wspomnianym wywiadzie prezes PiS bronił Mateusza Morawieckiego, którego zaatakowano taśmami z Sowy & Przyjaciół. Mówił, że jego prawdziwa twarz, to „twarz człowieka, który naprawił polskie finanse publiczne", a w sumie „był to strzał w dziesiątkę". Przy okazji ujawnił, że Morawiecki odrzucił propozycję objęcia teki wicepremiera w rządzie Tuska i w zasadzie już wówczas był w stałym kontakcie z kierownictwem PiS. „To jest ktoś, kogo uważamy za polityka, kiedyś bankowca, naszej strony" – podsumował. To jest naprawdę filmowa historia: i współczesna, i romantyczna.

Spośród wszystkich wątków z nagrania z Morawieckim na uwagę zasługuje zwłaszcza ten: „Ku*** siedzą ci bogaci Amerykanie, Żydzi, Niemcy, Angole, Szwajcarzy, nie? Siedzą w swoich głębokich, wiesz, fotelach. Mają nakumulowane tego oczywiście kapitału tyle, że możesz ich tam w d... pocałować. Jeszcze się prosisz oczywiście o ten kapitał, nie?". Na końcu puenta, że to siedzenie na pieniądzach źle się dla świata skończy. Trudno się nie zgodzić, ale lepiej o tym nie mówić głośno. Zwłaszcza jeśli nie ma się zbyt wiele kapitału.

Jakiś czas temu mainstreamowy dziennikarz Konrad Piasecki zaproponował, by Rada Języka Polskiego przyznała Kaczyńskiemu medal „za propagowanie i poszerzanie zasobów językowych narodu". Chodziło o pojęcie ojkofobii, czyli niechęci wobec własnej wspólnoty, które prezes PiS szeroko wypromował. Kaczyński, owszem, promuje trudne słowa, ale umie też wypromować nowe pojęcia. W wywiadzie dla TVP użył – chyba po raz pierwszy – sformułowania „konfederacja zła" na określenie patologii, które oplatały i wciąż oplatają Polskę. Powinno się przyjąć.

Jest też wątek niesienia pomocy Aleksandrowi Gradowi, ministrowi skarbu w latach 2007–2011. Morawiecki mówi: „Zapytajcie go tak po cichu. Ja bym spróbował tak bardziej jednorazowo. Pięć dych czy siedem, czy stówkę mu damy na jakieś badania, czy na coś". Prosi o „pełne dossier", obiecuje pomyśleć i „jednorazowo będę mu mógł na pewno coś sprokurować". Cóż, nic nie wiadomo, by pomoc doszła do skutku; dla Grada jednorazowa „stówka" nie była zapewne warta zachodu. Nie te poziomy.

W rozmowie pojawia się też wątek syna Ryszarda Czarneckiego, który dostał pracę w banku zarządzanym przez Morawieckiego. Ale szybko pojawił się problem. „Został rzucony na taką dość mocną wodę, pisał umowy. W końcu powiedział, że jest to troszeczkę dla niego za duże przeciążenie i że on nie chce dłużej pracować" – mówi Morawiecki. Obecny w czasie rozmowy prezes Zbigniew Jagiełło dodał: „Moja córka też by chciała pracować, robić to, co się chce w pracy i żeby dużo płacili". Tu nie ma się co wyzłośliwiać, bo wielu z nas czeka podobny problem. Te nowe pokolenia pracowitością i ambicją nie grzeszą.

Skoro opozycja chce wojny na taśmy, to będzie ją chyba miała. TVP Info odpaliło nieznany dotąd fragment nagrania, na którym Sławomir Nowak zastanawia się, jak odciągnąć uwagę mediów od kłopotów Platformy („To trzeba

eprasa.pl 9c712df3b7

wojnę w Albanii wywołać, no. (...) To tylko takie istotne rzeczy dzisiaj mogłyby przesterować jakoś... (...) Drugi zamach smoleński!"). Wniosek z tego taki, że wciąż są taśmy, których nie znamy. Co więcej, są one gdzieś w pobliżu, na wyciągnięcie ręki. Wciąż mogą parzyć, ale to jednak już nie to. Afera taśmowa miała taką siłę, ponieważ trafiła na łatwopalny grunt platformerskiego cynizmu. Pisowców z tej strony nie da się załatwić.



Prospołeczna polityka rządu PiS spotkała się z krytyką ze strony niejakiego Nergala. Najpierw się pochwalił, że „zarabia pieniądze, które przywozi do Polski", a później wygarnął władzy, że kasę „z otwartymi rękoma przyjmuje i rozdaje darmozjadom", „dając im po 500 zł, żeby się, ku...a, rozmnażali". To rozmnażanie ma służyć temu, by „sami bezmyślni ludzie powiększali elektorat, przedłużając kadencję" PiS. Zdaniem Nergala „to jest skandal", na który „on się nie zgadza". W sumie to dobra wiadomość, że tak źli ludzie jak Nergal nie chcą się rozmnażać.

Jerzy Urban nie może nachwalić się filmu „Kler": „To jest bardzo ciekawe zjawisko, że jest taki aplauz dla tego filmu. Ja w tym dostrzegam kawał swojej roboty, bo to się nie wzięło z niczego. Ja ma tylko inne podejście do tej kwestii niż antyklerykałowie. Ja nie jestem antyklerykalny, tylko antyreligijny" – stwierdził rzecznik stanu wojennego. W tym wypadku nie sposób się z nim nie zgodzić: tak, to jest może nie dziecko, ale na pewno wnuczę Urbana. I Piotrowskiego.



A Lech Wałęsa po skończonych 75. urodzinach zaczyna mówić prawdę. Publicznie przyznał, że „trudno walczyć z nimi przez demonstracje, bo ludzi aktywnych jest za mało". „Oni" to oczywiście PiS. Co więc trzeba robić? „Na razie korzystamy z procedur unijnych, prosimy Unię Europejską, Niemców i innych, bo na kartkę wyborczą trzeba długo czekać". Już wiemy, o czym Schetyna rozmawiał z kanclerz Merkel podczas ostatniej wizyty w Berlinie.

Schetyna buduje Koalicję Obywatelską z Nowoczesną, ale pytany, czy ów twór na pewno pójdzie razem do wyborów parlamentarnych, odpowiedział dwuznacznie: „Zobaczymy". Ale chyba pójdzie, bo Nowoczesnej już nie ma. Były poseł tej partii tak opisuje obecną przewodniczącą Katarzynę Lubnauer: „Jest całkowicie skupiona na własnej karierze, Nowoczesną już dawno pogrzebała, to dla niej wyłącznie instrument do lewarowania samej siebie". Nikt tak cię nie nabierze jak liberałowie – dzieci III RP. Co dużo mówi o świecie, który ich wychował.



Ludzie, którzy weszli do Sejmu z list Nowoczesnej, to w ogóle wesoła gromadka. ***Joanna Scheuring-Wielgus*** gościła w programie Tomasza Lisa. Mówili oczywiście o Kościele. Ale pojawił się problem: przez parę ładnych minut nie mogli ustalić, kiedy zmarł św. Jan Paweł II, a tron apostolski objął Benedykt XVI. Posłanka upierała się, że było to w roku 2001, ale Lis w końcu wydobył z głowy właściwą datę. On dobrze pamięta tamte dni: był w końcu wówczas tak bardzo przejęty nauczaniem polskiego papieża.

Przywiązanie do Kościoła i wiary przez wiele lat deklarował również Donald Tusk. Teraz, na europejskich salonach, już nawet o tym nie wspomina. Ostatnio wyciął naprawdę gruby numer, gdy stwierdził, że wezwanie, by zło dobrem zwyciężać, to „przesłanie Mandeli i Wałęsy". Zapomniał o autorze tych słów – św. Pawle i o ks. Jerzym Popiełuszce, który uczynił z nich swój duchowy sztandar. Ależ to małe.

Co jakiś czas totalna opozycja zastanawia się, czy może jednak nie warto poudawać trochę patriotów, bo a nuż Polacy się nabiorą. Ale to się nie uda, bo wokół Platformy jest zbyt wielu artystów, a oni, jak wiadomo, najpierw mówią, a potem myślą. Np. zdaniem Zbigniewa Hołdysa „nie powinno się obchodzić 100-lecia niepodległości Polski, dopóki PiS jest u władzy". Coś nam mówi, że i bez PiS u władzy mało by ich ta data obchodziła.

Sztaby kandydatów na prezydenta stolicy ustaliły, że warszawską debatę telewizyjną poprowadzą Edyta Lewandowska, Igor Sokołowski i Piotr Witwicki. Nie będzie Ziemca, którego wycięła nie tyle ekipa Trzaskowskiego, ile przedstawiciele TVN. Że niby Ziemiec to propagandysta. Ale bądźmy szczerzy: TVP wciąż jest jedynie miernym uczniem TVN. To TVN dał Polsce ognistą retorykę Pochanke, pomieszał informację z felietonem, stworzył Sobieniowskiego. Oni to zaczęli.

W Warszawie gościł Corey Lewandowski, ważna postać wokół prezydenta Donalda Trumpa. Tłumaczył, dlaczego Trump tak często zmienia ludzi wokół siebie: „On jest maszyną. Dzwoni do ciebie od rana do późnej nocy, ciągle czegoś chce, ma sto pomysłów na minutę, nie uznaje tego, że musisz spać albo odpocząć. Jak nie odbierasz, dzwoni do skutku. Wielu tego nie wytrzymuje. Stąd te częste rotacje". Na uwagę, że to okrutne, odpowiedział: „On jest maszyną stworzoną do pracy. Nie żartuję". Wyraz twarzy – pełen mocnych wspomnień – potwierdzał, że mówił serio.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl 9c712df3b7

Gabinet cieni i asów



KRZYSZTOF FEUSETTE

Jak wiadomo, gabinet cieni Totalnej Koalicji Obywatelskiej Opozycji poza wyczekiwaniem na powrót Króla Słońce (Peru) nie zajmuje się niczym. No, może poza cieniem ministra spraw zagranicznych, który łazi po Warszawie z asystentką i ławeczką. Pozostaje mieć nadzieję, że poniższa lista robocza, zawierająca przyszłe nominacje ministerialne, uwagi oraz fragmenty przemówień kandydatów, jest dokumentem autentycznym. Znaleziono ją w koszu na śmieci męskiej toalety restauracji Łajnet Peel, znajdującej się na przecięciu ulic Czerskiej i Wiertniczej. Materiał jest obszerny, więc publikuję go w dwóch częściach. Tłumaczenie z niemieckiego – moje. A zatem:

Rada Nadzorcza Totalnej Koalicji Opozycji Obywatelskiej powołuje z dniem 30 lutego 2019 r. następujących członków zarządu RP:

– na stanowisko ministra do spraw totalnej rodziny – Budkę Borysa, człowieka, co do którego postawy prorodzinnej nikt nie ma cienia wątpliwości. Otwarcie występował przeciwko 500+, które odbiera rodzicom motywację do pracy, ostatnio zaś osobiście umieścił na liście kandydatów do Rady Miasta Gliwice własną żonę, co zaowocowało dewastacją lokalnych struktur PO. Państwo Budkowie nazywają to „pokrzyżowaniem szyków PiS". A co na to struktury? Ich były (już) wiceszef pisze: „Niedopuszczalna dla mnie jest sytuacja, w której to władza centralna ustala listy kandydatów, usuwając z nich […] także działaczy ruchów społecznych. Co więcej – zastępuje ich m.in. panią, która jest znana z tego, że jest żoną posła. Nasuwa się tu jednocześnie pytanie, czy poseł Budka zostanie pociągnięty do odpowiedzialności za nepotyzm?". Budka nazwał te słowa „podłością". Gdy Wojewódzki pytał go, „czy uprawiał kiedyś seks w miejscu publicznym?", odparł: „Nie". A hipokryzję?

– na stanowisko ministra totalnej sprawiedliwości – Schetynę Grzegorza, znawcę prawa i taktyk procesowych, niekwestionowany autorytet dla wielu totalnie niezawisłych sędziów. Autora wszechstronnych analiz, z których warto przytoczyć chociaż kilka. „Prezydent Duda idzie prostą drogą przed Trybunał Stanu. Prawo jest łamane, mamy takie przekonanie". Albo: „Do trzech razy sztuka. Mamy apelację. Opinia publiczna musi zapamiętać te nazwiska [sędziów – przyp. K.F.]. Jestem zdumiony takim orzeczeniem i uważam, że Sąd Apelacyjny podejmie decyzję" (chwilę potem SA podjął już decyzję „właściwą"). Albo: „Wiele zależy od tego, jak zachowa się prezydent Duda […]. Jeśli opowie się za kontynuacją państwa PiS […], wówczas, tak samo jak politycy PiS-u, odpowie za łamanie prawa". Krótko mówiąc – prawdziwy sędzia Zgred.

– na stanowisko ministra do spraw totalnej wolności słowa – Misiłę Piotra, niedoszłego kandydata na stanowisko przewodniczącego Nowoczesnej. Wielu przypisywało mu wcześniej ambicje prezydenckie, gdy skakał po krzesłach i okładał przeciwników kulkami z papieru. Ostatnio zgłaszał jednak swój akces na Woronicza, czemu dał wyraz w korespondencji z Samuelem Pereirą z TVP (pisownia oryginalna – przyp. K.F.): „Obawiaj się o siebie kmiotku. Jeśli zostanę prezesem TVP w tym samym dniu wręczę Ci dyscyplinarkę, a moi prawnicy będą analizować pozwanie Cię do sądu za działanie na szkodę TVP". Chwilę potem „zwolnił" także Marcina Tulickiego z „Wiadomości" oraz „pozostałych pseudo dziennikarzy z TVP, którzy […] sprzeniewierzyli się zawodowi dziennikarza i uprawiają propagandę w goebbelsowskim stylu". Sam mógłby w TVP Rozrywka prowadzić magazyn o fryzjerach grających w squasha, bo w obu dziedzinach wiedzę ma imponującą.

– na stanowisko ministra do spraw totalnie kobiecych – Lubnauer Katarzynę, osobę szczególnie wyczuloną na los kobiet, które czują się podglądane oraz słyszą głosy. „PiS zbliża się do naszych domów, zagląda za firanki" oraz „PiS wchodzi w butach do naszych łóżek" – te informacje wstrząsnęły opinią domów publicznych. Pani przewodnicząca ma też inne wizje i omamy: „Te wybory wygrają kobiety. Ich głos słyszę na każdym spotkaniu, a są ich setki" – powtarza. Uwaga: być może trzeba będzie pomyśleć o połączeniu resortu Lubnauer z Ministerstwem Zdrowia. Albo niech chociaż nie będzie za daleko.

– na stanowisko ministra totalnego transportu – Trzaskowskiego Rafała, bezpartyjnego fachowca od drobnych napraw w domu, a przede wszystkim – znawcę tematyki komunikacyjnej. Już na początku kampanii przyznawał posłom darmowe bilety (choć mają już darmowe przejazdy), a potem udowodnił, iż nie tylko potrafi jeździć metrem, lecz i przesiąść się z niego do ekskluzywnego busa. Tym ostatnim objechał 17 dzielnic Warszawy w 17 godzin, co oznacza, że na poznanie problemów każdej z nich przeznaczył co najmniej kwadrans. Nazwy i lokalizacje jeszcze trochę mu się mylą, gdyż wcześniej chciał „pracować dla Krakowa". Ma za to dla stolicy wiele pomysłów. „My musimy rozmawiać i ułatwić to wszystkim kierowcom, którzy muszą dojechać do pracy […]. Rozmawiajmy o tym, pokazujmy te parkingi, które już są, a sytuacja się poprawi. To jest kwestia rozmowy". Kolejny: „Jeżeli dostawimy trzy kolejne mosty, to Warszawa się kompletnie zakorkuje". Wreszcie najważniejszy: „W Berlinie udało się po latach, i będziemy mieli lotnisko […]. Trudno będzie z nim konkurować". A to, które jest w Warszawie, „absolutnie wystarczy". Kiedyś grupa Pod Budą śpiewała: „Nie przenoście nam stolicy do Krakowa", dziś zespół Pod Budką Palec mógłby nagrać przebój: „Nie przenoście nam stolicy do Warszawy (skoro jest w Berlinie)".

Za tydzień – sylwetki nowych „ministrów" do spraw totalnej delegalizacji, zdrowia psychicznego, edukacji, związków partnerskich oraz wojny z Kościołem.

eprasa.pl 9c712df3b7


Fot. Andrzej Wiktor

Pożegnanie Krystyny Grzybowskiej

Pożegnaliśmy damę polskiej publicystyki, kobietę wielkiej klasy i ogromnego ducha, naszą redakcyjną koleżankę. Pani Krystyna Grzybowska 28 września spoczęła na warszawskich Powązkach. Prezydent Andrzej Duda odznaczył Ją pośmiertnie Krzyżem Kawalerskim Odrodzenia Polski „za wybitne zasługi w twórczości publicystycznej i pracy dziennikarskiej, za zasługi w działalności na rzecz przemian demokratycznych w Polsce". Pogrzeb miał charakter państwowy

Uroczysta msza żałobna z asystą wojskową odprawiona została w kościele pw. św. Karola Boromeusza na Starych Powązkach. Odznaczenie prezydenckie na ręce Aleksandry Rybińskiej, córki śp. Krystyny Grzybowskiej, złożyła przedstawicielka prezydenta Andrzeja Dudy – Zofia Romaszewska. List pożegnalny odczytał nad grobem wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego Paweł Lewandowski: „Pani Krystyna Grzybowska w czasie stanu wojennego nie przeszła pozytywnie procesu weryfikacji politycznej i w wyniku represji ze strony władz komunistycznych została zmuszona do opuszczenia kraju i emigracji do Niemiec. W latach 90. była korespondentką »Rzeczpospolitej« w Bonn. Po powrocie do Polski współpracowała z »Gazetą Polską«, »Niezależną Gazetą Polską – Nowe Państwo«, portalem wPolityce.pl oraz tygodnikiem »Sieci«. »Wileński styl, cięty dowcip, ciętość ripost, prawdziwie inteligencka klasa, ale także niezwykły urok osobisty i kobiecy czar, czynią z niej jedną z najwspanialszych postaci polskiego środowiska dziennikarskiego« – pisał o Niej Michał Karnowski, opatrując wstępem książkę »Pod prąd«, której była autorką.

Była dziennikarką, która nie bała się mieć własnego zdania, mówić głośno o tym, co leżało Jej na sercu. Zawsze szła pod prąd poprawności politycznej, walcząc piórem w imię swoich przekonań, którym pozostała wierna do końca. Dokonania zawodowe Krystyny Grzybowskiej będą zawsze w pamięci nas wszystkich. Rodzinie, bliskim i przyjaciołom Zmarłej składamy najserdeczniejsze wyrazy współczucia. Cześć Jej pamięci".

W imieniu zespołu dziennikarskiego Krystynę Grzybowską pożegnał Michał Karnowski. „Pani Krystyna wiele wnosiła do naszego życia redakcyjnego, do naszej pracy, do naszego wspólnego działania. Wnosiła łączność ze światem, którego my nie mogliśmy już znać – ze światem przedwojennym. Bo choć sama urodzona w roku 1940 na Wileńszczyźnie, wychowana została w rodzinie, w której te tradycje, tę pamięć, ten styl, tę polskość przeniosła w nowe czasy i dzieliła się z nami tym stylem, tym polskim myśleniem, tym działaniem. Była też pani Krystyna ważnym świadkiem historii, odmówiła udziału w tym, co nazywano prasą, a co prasą nie było. Po roku 1981 wybrała emigracyjny, ciężki chleb, a później wybrała pisanie prawdy. Wszyscy, którzy zetknęli się z jakimś atakiem, którzy byli zagrożeni przez to, że piszą czy mówią prawdę, zawsze mogli na nią liczyć. W swoich felietonach była niezmordowana, niezniszczalna w swojej woli obrony wartości najważniejszych, obrony prawdy. Nawet gdy ostatnio – trzeba o tym wspomnieć – została brutalnie zaatakowana ciężkim pozwem sądowym, który miał ją docelowo narazić na bankructwo, na represje, nawet przez myśl Jej nie przeszło, żeby się cofnąć, żeby się ugiąć. Żegnamy wspaniałą, dobrą osobę, mądrą osobę. Rozumiała zagrożenia związane ze wszystkimi »izmami«, z tym, co próbuje się narzucić naszej cywilizacji. Rozumiała dużo lepiej niż niejeden filozof. Bardzo będzie nam Jej brakowało. Będziemy o Niej pamiętali. Będziemy się za Nią modlili" – powiedział Michał Karnowski.

(MN)

eprasa.pl 9c712df3b7

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Śpioch Putina rozrabia



Jan Pietrzak

Ostatnio na tle brexitu na spotkaniu z Theresą May doszło pośród brukselskiej wierchuszki do awantury, którą określono mianem armagedonu. Premier ma piekielnie trudne zadanie, by wykonać wolę swoich wyborców w sposób minimalizujący koszty rozstania z UE.

Plan działań, który przedstawiła unijnym komisarzom, dla wielu z nich był do przyjęcia. A jednak został odrzucony, co czyni sytuację między wyspą a kontynentem coraz bardziej napiętą. Zadziałał „śpioch" głęboko ukryty podczas rutynowego urzędowania, uruchamiany jedynie w sytuacjach najwyższej konieczności. Po to agresywne mocarstwo inwestuje w śpiochy, by w kluczowym momencie narobiły dywersyjnego bałaganu.

Jak wiemy, po aferze z nowiczokiem relacje Anglii z Rosją stały się bardzo nieprzyjemne. Niewykluczone, że znane nam jak zły szeląg państwo Putina wyczuło moment, w którym może mocno zaszkodzić Brytyjczykom. Przy okazji Unia też oberwie rykoszetem. Bo co jest głównym celem rosyjskiej polityki na kierunku europejskim? Rozbijanie wspólnoty europejskiej i szerzej – transatlantyckiej. A więc czyim śpiochem jest ten agent specjalnego znaczenia? Rosyjskim, bo inaczej być nie może.

My go w Polsce dość dobrze znamy, ale wolę nie rzucać nazwiskami, bo w sprawach agenturalnych nie jestem specjalistą. Kiedyś kręciło się tu sporo różnych takich... Udawali liberalno-demokratycznych, a byli korupcyjno-mafijni. Mieli niezłe osiągi. Potrafili za pomocą procedur VAT-owskich wycisnąć z Polski 260 mld zł bez rozbijania sejfów, przy eleganckich biurkach i supernowoczesnych kompach. Na czym polegała rola głównego śpiocha w Polsce? Na przyzwoleniu. Nawet nie musiał sam brudzić rączek. On jedynie czuwał, by Amber Gold nie był zanudzany przez kontrolerów, by Bufetowa nie przeszkadzała złodziejom kamienic, by stocznie upadały po kolei, by wojsko rozpędzono do domów, by nie wolno było celnikom kontrolować cystern, by LOT zmierzał do bankructwa... itd., itp.

Kiedy wydawało się, że Polska po rządach śpiocha już się nie podniesie, przerzucono go na odcinek brukselski. I oto mamy rozpad Unii w atmosferze walki, sporu, awantur. Takie rzeczy same się nie dzieją, ktoś te emocje nakręca, judzi, podpuszcza... Nasz znajomy śpioch nie jest jedynym trybem w mechanizmie zwanym wojną hybrydową. Jest ich zapewne wielu... Ale tego akurat mamy na oku... Prawda?

W historycznym planie

*Z aktorem **Pawłem Delągiem** rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*



Fot. Mat. prasowe TVP

Stanisław August Poniatowski? Godna rola...

Paweł Deląg: I niezwykle intrygująca postać. Niejednoznaczna. Pokazana w wielowymiarowym dramacie „Reytan. Druga strona drzwi" autorstwa Piotra Derewendy i Jakuba Pączka (to zarazem reżyser spektaklu, który 8 października będzie mieć premierę w Teatrze Telewizji).

Tytułowego bohatera gra Mirosław Haniszewski, panu przypadła rola władcy nie do końca radzącego sobie z nałożonymi na niego obowiązkami.

Przyszło mu żyć w przełomowym czasie, wymagającym wielu trudnych decyzji. Był mężem stanu, ale też człowiekiem obarczonym słabościami, z których największą, rzutującą na politykę, była zależność od carycy Katarzyny. Przystąpił do Targowicy. W pewnym momencie właściwie sprzedał koronę. Za długi. Z drugiej strony, choć jako władca nie miał silnego zaplecza politycznego, dążył do reform. Miał polityczny plan. Nie udało mu się go zrealizować, niestety.

A jak z realizacją pana planów? Udał się powrót na scenę?

Zaczęło się od niebywałego przedsięwzięcia – rekonstrukcji, po ponad 20 latach, spektaklu dyplomowego krakowskiej PWST z 1993 r. „Maciej Korbowa i Bellatrix" w reżyserii i dekoracjach Krystiana Lupy. Teraz można mnie oglądać w przedstawieniu „Być jak Elizabeth Taylor" w reżyserii Jakuba Przebindowskiego. Małgosia Foremniak gra w nim Liz, a ja Richarda Burtona. I jestem w trakcie zdjęć do mojego reżyserskiego debiutu: fabularyzowanego dokumentu „Zrodzeni do szabli".

eprasa.pl 9c712df3b7

BRONISŁAW WILDSTEIN

Feministyczne polowanie

Ponury spektakl skazania Billa Cosby'ego. Nie wiem, na ile winny jest sławny komik, przypuszczalnie coś na sumieniu ma. Natomiast histeria bab, które świętują wsadzenie starca do więzienia i odgrywają swoje role życia – wiele z nich to niespełnione aktorki – aby opowiadać o tym, jak złamał ich życie, jest odrażająca. Fakt, że w momencie rozpoczęcia się procesu o nadużycie seksualne wobec jednej pojawiły się dziesiątki innych, które przypomniały sobie sprawy sprzed dziesiątków lat, uświadomiły, jak straszną krzywdę Cosby im uczynił, a wszystko stało się elementem akcji #MeToo, każe żywić wobec tych rewelacji najdalej idące wątpliwości. Każdy, kto choć trochę zna ów świat, doskonale wie, że obok mężczyzn wykorzystujących swoją pozycję dla celów seksualnych, funkcjonują w nim także tabuny kobiet, które wręcz proponują tego typu usługi w zamian za pomoc w karierze. Narzuca się przypuszczenie, że „ofiary" Cosby'ego to właśnie tego typu osoby odkrywające dziś możliwość odegrania się za poniżenia, które wcześniej mniej lub bardziej ochoczo akceptowały. Zresztą sama sprawa Andrei Constand, za którą Cosby został skazany, nie wygląda zbyt przekonująco. Zgodnie z własnym świadectwem odwiedziła komika w nocy, a on, nie, nie zmusił jej, ale „skłonił", aby połknęła trzy niebieskie tabletki – popiła je winem – po których nie była w stanie mu się opierać. Na czym „skłonienie" owo polegało, nie dowiedzieliśmy się, ale chyba nie na tym, że przekonał ją do leczniczych właściwości owych środków.

Można założyć, że wcześniej pozycja Cosby'ego paraliżowała potencjalne oskarżycielki i odwodziła je od wytaczania mu sprawy. Czy rzeczywiście wszystkie? USA to jednak ciągle jeszcze praworządna demokracja, a naruszenie nietykalności fizycznej traktowane jest tam bardzo poważnie. Dlaczego żadna z legionu „skrzywdzonych" nie podjęła wcześniej obrony swoich praw, a dziś, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawia się ich coraz więcej?

Aura, w której odbywał się proces Cosby'ego, przypomina nagonkę, jaką nakręcano wokół komunistycznych procesów. Zawsze znajdowała się wystarczająca liczba tych, którzy spontanicznie włączali się w akty potępienia i sekundowali oskarżycielom, domagając się jak najsroższych kar. We wszystkich epokach można było wyzwalać u ludzi tego typu zachowania.

Do czego prowadzi akcja #MeToo, demonstruje sprawa Bretta Kavanaugha. Kandydatura tego nominata prezydenta Trumpa do Sądu Najwyższego jest czasowo zablokowana, a być może zostanie utrącona, gdyż pewna dama przypomniała sobie, że sędzia dobierał się do niej... 36 lat wcześniej, kiedy ona miała lat 15, a on 17. Według relacji Christine Blasey Ford podczas prywatnego przyjęcia pijany Kavanaugh przewrócił ją na łóżko, zaczął obmacywać i usiłował rozbierać. I na tym sprawa się skończyła. Obwiniony zaprzecza, a – jak zwykle w takich sprawach – świadków nie ma.

Przyjmijmy, że Ford mówi prawdę. Jakie konsekwencje mają wypływać z młodzieńczych wybryków? Czy nastoletni, w dodatku pijany chłopak, który na prywatce w sposób zbyt obcesowy usiłował nakłonić swoją rówieśnicę do stosunku, winien być na zawsze pozbawiony biernych praw wyborczych i odsunięty od ważniejszych funkcji w państwie? Wynika z tego, że spora część, jeśli nie większość, normalnych męskich osobników uzależniona jest od swoich szkolnych koleżanek, które po czterech dekadach mogą dojść do wniosku, że ich dawny kolega położył rękę na ich udzie jednak wbrew ich woli.

Sprawa Kavanaugh jest ewidentna. Wynaleziono pretekst, żeby zablokować niewygodnego sędziego, zwłaszcza że jest on nominatem Trumpa. Myślę, że nie trzeba było szczególnie szukać, aby znaleźć chętną progresistkę, która gotowa była przypomnieć sobie wszystko, co trzeba, aby pokrzyżować plany demonicznej prawicy. Aż dziw, że Ford tak ograniczyła się w swoich rewelacjach. Mogłaby przecież stwierdzić, że Kavanaugh ją zgwałcił. Nie byłby w stanie udowodnić swojej niewinności, a najbardziej wpływowe ośrodki opiniotwórcze rozszarpałyby każdego, kto bezdusznie próbowałby się zastanawiać nad tego typu procedurą. Może jednak byłoby to już przesadą, a „molestowanie" to co innego. Który normalny chłopak nie robił tego w stosunku do rówieśniczek?

Oto feministyczna utopia. Dowodzić trzeba niewinności, nie winy, a ponieważ jest to niemożliwe, o losach pomówionego rozstrzygać będzie organizowana przez dominujące ośrodki histeria. Żyjemy w czasach łagodniejszych, na stosach się już nie pali, ale można ponieść śmierć cywilną i trafić do więzienia. Zresztą, to dopiero początek.



Fot. Andrzej Wiktor



Fot. Piotr Matusewicz/East News



Wypełniony testament

Admirał Józef Unrug z racji wcześniejszej służby w Cesarskiej Marynarce Wojennej mógł z powodzeniem rozwijać wojskową karierę we flocie niemieckiej. Mówił jednak o sobie: „Jestem Polakiem i polskim oficerem", po odzyskaniu przez Najjaśniejszą Rzeczpospolitą niepodległości zgłosił się więc do Wojska Polskiego w stopniu kapitana marynarki. To był czas wspólnego wysiłku oraz budowania młodej państwowości i armii, pierwszy okręt kupił więc za własne pieniądze. Do legendy przeszła historia, gdy już jako dowódca obrony Wybrzeża w 1939 r. dostał się do niewoli – zażądał wtedy tłumacza, choć po niemiecku mówił znakomicie. To był jego protest po masakrze, jakiej Wehrmacht dokonał na ludności cywilnej w Bydgoszczy we wrześniu 1939 r. Stwierdził wtedy: „Ze złem się nie rozmawia".

Unrug zmarł w 1973 r. we Francji i został pochowany na cmentarzu w Montresor, gdzie siedem lat później spoczęła też jego żona Zofia. Marynarz w swoim testamencie napisał jasno, że może spocząć w ojczystym kraju, ale dopiero wtedy, gdy Polska będzie wolna. Wyobrażał sobie, że widocznym tego znakiem będzie sprowadzenie do Gdyni szczątków jego podwładnych, zdradziecko zamordowanych już po wojnie trzech komandorów: Stanisława Mieszkowskiego, Jerzego Staniewicza i Zbigniewa Przybyszewskiego. Miejsce ich pochówku przez dziesięciolecia było nieznane. Aż w końcu zespół Biura Poszukiwań i Identyfikacji Instytutu Pamięci Narodowej prof. Krzysztofa Szwagrzyka odnalazł ich na powązkowskiej kwaterze „Ł". Dopiero w ubiegłym roku zidentyfikowano i uroczyście pochowano ich na Oksywiu. Tym samym wypełnił się testament dowódcy.

To, że admirał Józef Unrug i jego małżonka Zofia wracają do kraju i są chowani z eskortą wojskową, w obecności prezydenta i ministra obrony narodowej, jest dowodem moralnej siły państwa polskiego. Można być dumnym, że wypełnia ono nawet tak symboliczne zobowiązania. Bo symbole są bardzo ważne, na nich łatwiej będzie oprzeć wychowanie młodych polskich patriotów, którym takich jak Unrug należy stawiać za wzór.

Marcin Wikło

Niemcy

Żydzi z AfD

Alternatywa dla Niemiec (AfD), która według sondaży wyrasta na drugie pod względem popularności ugrupowanie w Niemczech, próbuje przełamać ostracyzm wywołany jej antyimigranckim programem i znaleźć sobie trwałe miejsce na scenie politycznej. Być może pomocna w tym będzie powołana właśnie frakcja żydowska pod nazwą Juden in der AfD (Żydzi w AfD).

Zdaniem władz AfD sytuacja Żydów niemieckich bardzo się pogorszyła od czasu gwałtownej fali imigracyjnej, która zalała Niemcy po 2014 r. W oświadczeniu partii czytamy, że Żydzi narażeni są na ataki ze strony muzułmańskich imigrantów, przytaczane są przypadki napaści fizycznych, strącania kip z głów Żydów, a także nawoływania, aby zabić ich w komorach gazowych. „To wszystko dzieje się w wolnych, demokratycznych Niemczech" – piszą władze AfD. Większość społeczeństwa udaje, że tego nie widzi, bo nie chce być posądzona o sprzyjanie prawicy. I to dlatego – jak czytamy – AfD chce zostać głosem zagrożonej społeczności żydowskiej.

Cynizm? Polityczni konkurenci AfD oraz część środowisk żydowskich przypomina nie tak dawne wypowiedzi liderów tej partii. Na przykład tę współprzewodniczącego AfD Alexandra Gaulanda na temat nazizmu, który miał być jedynie „kleksem ptasiej kupy" w tysiącletniej historii Niemiec (Gauland tłumaczył potem, że porównując nazizm do ptasiej kupy, wyraził swój negatywny stosunek do tej ideologii). Albo wypowiedź Björna Höckego, prominentnego działacza z Turyngii, że Niemcy są jedynym krajem na świecie, który w centrum swojej stolicy upamiętnia hańbę (chodzi o berliński pomnik Pomordowanych Żydów Europy). „Ale to nie jest pomnik hańby Niemiec, lecz pomnik hańby, do której doszło w Niemczech" – zaznaczał Höcke. Dlatego była szefowa Centralnej Rady Żydów w Niemczech Charlotte Knobloch uważa, że AfD pozostaje partią, „w której antysemici czują się bardzo dobrze".

Zdania wśród społeczności żydowskiej są jednak podzielone. Inny dawny przewodniczący Centralnej Rady Żydów (a dziś członek AfD) Wolfgang Fuhl zarzucił swoim byłym kolegom z Rady, że są całkowicie wyizolowani od codziennego życia Żydów i ich zarzuty „mają niewielki związek z rzeczywistością". A lider frakcji Dimitri Schulz dodał, że to właśnie AfD jest jedyną partią w Niemczech, która poważnie traktuje kwestię muzułmańskiego antysemityzmu.

Żydowska frakcja AfD jest na razie nieliczna, ale jej powstanie pozwala partii skutecznie odrzucać posądzenia o antysemityzm. Nie tak chyba wyobrażali sobie skutki swojej polityki imigracyjnej berlińscy politycy.

Konrad Kołodziejski

Watykan

To już nie jest firma?

„Kiedy pomyśli się o wschodzie, jest tam wasza, Litwinów, trudna historia. Ale część tej tragicznej historii przyszła z Zachodu, od Niemców, od Polaków, ale przede wszystkim od nazizmu" – powiedział papież Franciszek, wracając z krajów bałtyckich do Rzymu.

Można by to skomentować po prostu tak, że papież jest Latynosem i jego wiedza o naszym regionie świata jest, delikatnie mówiąc, średnia i przypadkowa. I byłaby to oczywista prawda.

Ale prawda niepełna. Bo Ojciec Święty wykazał się tu, niestety, nie tylko ignorancją, lecz także zupełnym brakiem wrażliwości dla odczuć rozmaitych odbiorców jego słów. Absurdalne i głęboko krzywdzące zestawienie roli odegranej w historii Litwy przez Polaków i nazistów musiało przecież uderzyć we wrażliwość polskich katolików i w ogóle Polaków. A jednak papież to zrobił.



Fot. A. Aleksandravicius/Shutterstock.com

Chciał osiągnąć taki efekt? Oczywiście nie. Po prostu nie pomyślał. Teraz lepiej rozumiemy okoliczności, w jakich powstają kolejne Franciszkowe bonmoty, skąd biorą się ryzykowne, doktrynalne szarże intelektualne, niedotyczące ani Polski, ani historii, tylko chrześcijańskiego nauczania, wzbudzające na całym świecie entuzjazm jednej, a niepokój drugiej strony kulturowego konfliktu. Są one otóż niezamierzone, losowe. Po prostu papieżowi tak się powiedziało. Ot tak.

Nawet w wypadku biskupa nie byłoby to cechą wzbudzającą zaufanie do w ten sposób zachowującego się hierarchy. Ale w wypadku głowy Kościoła jest to niezwykle niepokojące, bo ten urząd tradycyjnie kojarzy się przede wszystkim ze stabilnością. Skądś w końcu wzięło się starodawne powiedzenie „Roma locuta, causa finita", czyli „Rzym przemówił, sprawa skończona".

„Papież – to jest firma!" – z respektem i widoczną fascynacją mówi w „Ziemi obiecanej" Moryc Welt. Dziś by już chyba tego nie powtórzył. Stolica Apostolska, sama odzierająca się z powagi, to bardzo przykre widowisko.

Piotr Skwieciński

eprasa.pl 9c712df3b7

Szwecja

Gwałt przez zaniedbanie

1 lipca zaczęły obowiązywać w Szwecji nowe przepisy o zgodzie na seks, dotyczące także małżeństw. W świetle tych przepisów każdy, kto nie uzyskał „aktywnej zgody" partnera lub współmałżonka na seks, może zostać oskarżony o gwałt. Wbrew wielowiekowej tradycji tacitus consensus, milczącej zgody, od teraz także milczenie będzie mogło oznaczać „nie", a brak oporu – sprzeciw.

Stróże prawa, oceniając przestrzeganie nowych przepisów, biorą przy tym pod uwagę, czy „dobrowolność aktu seksualnego została wyrażona słowami, poprzez działanie lub pisemnie". Tę ostatnią opcję ustawodawca wyraźnie Szwedom zaleca. Na wszelki wypadek. By ułatwić obywatelom zdobycie zgody na wszystkie etapy fizycznego zbliżenia, adwokat Baharak Vasiri wymyśliła nawet specjalną aplikację o nazwie „Libra". W aplikacji dwie osoby, które mają zamiar pójść z sobą do łóżka, spisują kontrakt precyzyjnie określający, na co wyrażają zgodę, a na co nie. Aplikacja cieszy się dużą popularnością, choć do Urzędu Ochrony Konsumentów wpłynęło na nią także wiele skarg, bo nie przewiduje gdy kontrakt już został zawarty możliwości wycofania się z niego.

Inni krytykują, że imigranci, którzy nieproporcjonalnie często są w Szwecji sprawcami gwałtów, mają nowe przepisy w nosie. Co rodzi pytanie, kogo i przed kim mają one właściwie chronić. Tym bardziej że szwedzkie przepisy dotyczące przemocy seksualnej już wcześniej były nad wyraz surowe. Przekonał się o tym choćby założyciel WikiLeaks Julian Assange, którego dwie kobiety w 2010 r. oskarżyły o gwałt, bo podczas stosunku seksualnego ściągnął rzekomo (nie informując ich o tym) prezerwatywę. Przypadek Assange'a zradykalizował opinię publiczną w Szwecji i zachęcił „feministyczny rząd" Stefana Löfvena do zaostrzenia przepisów.

Czy zmniejszą one liczbę gwałtów? Czas pokaże. Szwedzkie sądy, wbrew przewidywaniom, nie zostały jak dotąd zalane skargami „nowych ofiar" gwałtów.

Aleksandra Rybińska

Turcja

Coś się nie klei?



Fot. Drop of Light/Shutterstock.com

Gdy coś się nie klei, w języku dyplomacji mówi się, że „spotkanie było konstruktywne". Ledwo prezydent Turcji Recep Erdoğan zakończył wizytę w Niemczech, już na pokładzie samolotu puścił farbę, że podczas bankietu nie był potraktowany z należną atencją, że „nie było miło", że różnica w poglądach, a na koniec zażądał wydania przez Niemcy 136 „terrorystów". Co zaś dotyczy obywateli RFN w tureckich więzieniach, nie mogą być uwolnieni, bo to „puczyści" i „przestępcy". Aby jednak mimo wszystko jego wizyta miała pozytywny wydźwięk, prezydent stwierdził: „Jak Bóg da, to w 2019 r. podejmiemy kanclerz Merkel w Turcji"...

Jeszcze przed przybyciem Erdoğana przez Niemcy przetoczyła się burzliwa dyskusja, czy powinien być zaproszony, bo dyktator, bo więzi ludzi, łamie demokrację i wolność prasy, ba, poucza i strofuje Niemców na każdym kroku. Dlaczego więc został zaproszony? Głównym powodem są uchodźcy, ale nie tylko. Turcja zdaje sobie sprawę, że gdyby otworzyła granice i umożliwiła im wyjazd do Niemiec, mogłoby się to okazać gwoździem do trumny Merkel i wielkiej koalicji CDU/CSU-SPD, partii, które z powodu polityki imigracyjnej mają dziś wielkie problemy.

Pewny siebie Erdoğan podczas uroczystego otwarcia największego w Niemczech Centralnego Meczetu w Kolonii pozwolił sobie na połajanki wobec gospodarzy, że powinni wreszcie się rozprawić z separatystami kurdyjskimi i „skończyć z rasizmem" – to w kontekście odejścia z reprezentacji RFN piłkarza pochodzenia tureckiego Mesuta Özila. Ze strachu przed wybuchem rozruchów kolońskie władze cofnęły zgodę na demonstrację z udziałem 25 tys. uczestników. Ale i tak nie obyło się bez starć między tureckimi zwolennikami i przeciwnikami Erdoğana.

Kanclerz Merkel też skrytykowała prezydenta za to i owo, a na koniec podsumowała, że Turcję i Niemcy „wiele łączy". I to prawda. 25 października poleci do Ankary minister gospodarki Peter Altmaier wraz z dużą delegacją przedsiębiorców. Sam Erdoğan pochwalił się spotkaniem w Berlinie z szefem koncernu Siemensa, który zamierza uruchomić w Turcji produkcję urządzeń medycznych, ponoć liczy też na kontrakt o wartości 35 mld euro na rozbudowę kolei. Niemcy chcą „pomóc Turcji w przezwyciężeniu problemów gospodarczych", które pogłębiły sankcje nałożone przez USA, chcą też zorganizować debatę na temat konfliktu w Syrii, z udziałem Francji, Turcji i Rosji. Nawiasem mówiąc, Turcja podpisała z Rosją krytykowaną przez USA i NATO umowę na kredytowany zakup systemów rakietowych. Coś się nie klei...?

Piotr Cywiński

eprasa.pl 9c712df3b7

OGNIEM NA WPROST

Poniedziałek i dyplomacja



Jacek Poniedziałek – aktor, celebryta, gej (homoseksualny coming out 2005 r.), ale przede wszystkim zapiekły wróg pisowskiego reżimu, który kojarzy mu się z „wyzwalaniem demonów szowinizmu, izolacjonizmu, a także pogardą dla obcych". Poniedziałek od lat obserwuje proces „hodowania upiora polskiej ksenofobii, nacjonalistycznego potwora" oraz „tworzenie zamkniętego, klaustrofobicznego społeczeństwa". Ponieważ żądanie własnej deportacji na koszt państwa polskiego spełzło na niczym, postanowił sam opłacić sobie wyjazd do Meksyku, by odreagować. A tam lokalsi obrobili go do czysta. Łupem złodziei padły: „laptop, paszport, dowód, karty płatnicze, gotówka i masa innych rzeczy". Goły niczym święty turecki błąkał się gringo po meksykańskich zaułkach i komisariatach. Ale zamiast sprawiedliwości spotykał się tylko z uśmiechem politowania. Kiedy dał o sobie znać głód, a desperacja sięgnęła zenitu, postanowił zapomnieć o politycznych podziałach i pchnął drzwi polskiego konsulatu. „Uratowali mi tyłek dwaj polscy dyplomaci. Świeżo mianowani. A zatem z obecnego rozdania politycznego – wspomina zszokowany aktor. – Pan ambasador Maciej Ziętara i pan konsul Tomasz Myśliwiec. Najpierw bardzo szybko wyrobili mi paszport, a gdy w sidłach lotniskowej urzędniczej biurokracji przeżywałem męki Józefa K., nie tylko wspierali radą przez telefon, lecz także wykonali kilka dyplomatycznych rozmów z wszechwładnymi urzędnikami meksykańskiego ministerio, co okazało się na tyle skuteczne, że ostatecznie wyjechałem z tego piekła cały i zdrowy". Tak jest, panie Poniedziałek. Cudze chwalicie, swego nie znacie. Nie taki diabeł straszny, jak go pan malował.

Cyganów mamy na stanie już od dawna. Jednak ciągle lubią przypominać o sobie. W Puławach nomen omen jest ulica Romów. Sąsiednie bloki są zamieszkane przez romską mniejszość i właśnie tam permanentnie dochodzi do awantur. Ale do tego zdążyliśmy się już przyzwyczaić. Zdumiewa natomiast postawa lokalnej policji. Podczas jednej z zadym sprowokowanej przez Cyganów nadjechała samochodem przypadkowa kobieta. Zmierzała do pobliskiego warsztatu. Nie dojechała. „Nawet nie znam tych gości – mówiła reporterowi „Dziennika Wschodniego" właścicielka samochodu. – Jednego tylko z widzenia. Gdy tam stałam, Cyganie nadbiegli i zaczęli tłuc i kopać w mój samochód. Zaatakowali także mnie. Nie słuchali, gdy mówiłam, że nie mam nic wspólnego z tym zamieszaniem". Przyjechała policja i jak na zachodzie Europy... zatrzymała kobietę z powodu złożonego doniesienia o publiczne znieważenie na tle etnicznym lub rasowym z paragrafu 257 kk. Stary chwyt „prześladowanych" mniejszości, na który nabierają się też polscy stróże prawa. Ale nie do końca. Inni policjanci twierdzą, iż tak naprawdę boją się interweniować wśród dymiących Romów, bo mają rodziny. Z powodu takiej postawy organów ścigania wzrasta z dnia na dzień wśród puławskiej społeczności romskiej poczucie bezkarności ze szkodą dla ogółu. Całe to towarzystwo jest zawodowo bezrobotne i pobiera zasiłki socjalne. Radny Paweł Maj zauważa, że Cyganie są na łasce podatnika, ponieważ gremialnie cierpią na różne rodzaje niepełnosprawności umysłowej. Wszyscy dysponują stosowną dokumentacją lekarską. Na pytanie, skąd tyle chorób psychicznych u Romów, odpowiadają: „To choroba etniczna". Nic dodać, nic ująć. „Czarny kot, biały kot".

W Hiszpanii, w miejscowości Reus, jak poinformował „Diari de Tarragona", o świcie patrol policji zwabiły wrzaski przybysza z Południa. Konkretnie z Senegalu. Imigrant wił się z bólu na chodniku, wskazując na swoje krocze. Co się stało? Senegalczyk postanowił wymierzyć solidnego kopniaka owczarkowi niemieckiemu spacerującemu z panem, by w ten sposób zaskarbić sobie łaskawość swojego Boga. Mahomet, który nie lubił psów. twierdził, że Allah odejmuje „karat dobrych uczynków" dziennie każdemu, kto trzyma to zwierzę bez potrzeby. W dodatku aniołowie nie wchodzą do domu muzułmanina, gdzie są psy albo rzeźby. Dwa kłapnięcia zwierzaka wystarczyły, by niezłomny w koranicznej doktrynie Murzyn został odwieziony karetką do szpitala w Reus, a stamtąd śmigłowcem do szpitala (o zgrozo!) im. Jana XXIII w Tarragonie, ponieważ jego obrażenia wymagały operacji rekonstrukcyjnej oraz urologicznej.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9c712df3b7

Kobieca niepodległość

28 listopada 1918 r. na mocy postanowień Dekretu Naczelnika Państwa o ordynacji wyborczej do Sejmu Ustawodawczego wybory parlamentarne w Polsce stały się powszechne. Wyborcami i kandydatami do obu izb przestali być wyłącznie mężczyźni, prawa do elekcji zyskały kobiety.

Emancypacja kobiet to bezpośredni skutek powrotu Polski na polityczną mapę świata i niewątpliwie jeden z symboli nowoczesności II Rzeczypospolitej. Trzeba bowiem pamiętać, że uprawnienie do głosowania Polki zyskały wcześniej niż m.in. Amerykanki.



Marta Kaczyńska-Zielińska

Dwudziestolecie międzywojenne stanowiło preludium zmian postrzegania statusu kobiet w Polsce. Kamieniem milowym było uzyskanie przez nie czynnego i biernego prawa wyborczego

Pod zaborami sytuacja kobiet kształtowała się w sposób zróżnicowany – zależny nie tylko od woli ówczesnych władz, ale także od lokalnych tradycji i mentalności.

W zaborze austriackim, zgodnie z przepisami ustawy o stowarzyszeniach z 1867 r., kobiety – podobnie jak obcokrajowcy i małoletni – nie mogły być przyjęte do organizacji politycznych.

W zaborze pruskim w trakcie procesu germanizacji kobiety demonstrowały w obronie używania języka polskiego w szkołach i na zebraniach publicznych.

W 1913 r. w zaborze rosyjskim powstała Liga Kobiet Pogotowia Wojennego – organizacja niepodległościowa, która miała się starać o równouprawnienie kobiet i mężczyzn w niepodległym państwie polskim.

Emancypantki prowadziły działalność we wszystkich zaborach i przyczyniały się do zmiany mentalności społeczeństwa. Warto pamiętać, że na Śląsku kobiety traciły pracę z chwilą zamążpójścia, a w Łodzi od XIX w. pracowali zarówno mężczyźni, jak i kobiety – niezależnie od stanu cywilnego. Skrajne różnice w stosunku do uprawnień kobiet wynikały ze specyfiki lokalnych społeczności i ich podejścia do modelu rodziny, a w szczególności roli kobiety jako żony i matki pochłoniętej obowiązkami domowymi albo partnerki zobowiązanej do partycypacji w utrzymaniu rodziny. Niższe zarobki kobiet nie wynikały z uprzedzenia ówczesnych pracodawców, ale zapewne przede wszystkim z ugruntowanego przez wieki przeświadczenia, że odpowiedzialni za łożenie na dom powinni być i są mężczyźni.

Okres dwudziestolecia międzywojennego w Polsce stanowił preludium zmian postrzegania statusu kobiet. Kamieniem milowym było uzyskanie przez nie czynnego i biernego prawa wyborczego.

28 proc. osób z wyższym wykształceniem stanowiły kobiety, powoli zaczęto otwierać im dostęp do zawodów wcześniej zarezerwowanych wyłącznie dla mężczyzn, takich jak adwokat, sędzia, prokurator.

W 1921 r. zniesiono obowiązek wspólnego zamieszkania małżonków. W razie zaginięcia męża żona przejmowała zarząd nad całym majątkiem, a także zyskiwała uprawnienie do występowania przed sądem bez upoważnienia wydanego jej przez męża. Kobiety mogły także zawierać umowy dotyczące wspólnego majątku, o ile uprzednio nie zrezygnowały z możliwości zarządzania nim.



Wyrazy głębokiego żalu i współczucia oraz szczere słowa wsparcia z powodu śmierci

MAMY

Drogiej Koleżance

Agacie Mokry oraz Jej najbliższym

składają Zarząd i Pracownicy SALTUS Ubezpieczenia

53/0918/F

eprasa.pl 9c712df3b7

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Ale niania!

W Chinach roboty wspierają rodziców w wychowaniu potomstwa. Urządzenie, które ma zabawiać dziecko, nazywa się BeanQ. O sprawie informuje portal rp.pl. „Zielony robot pomaga rodzicom, którzy w natłoku codziennych obowiązków nie mają czasu zająć się dzieckiem. Urządzenie odpowiada prostymi zwrotami na zadawane pytania, a na dużym ekranie wyświetla emoji, które mają przypominać mimikę twarzy" – czytamy na portalu. Elektroniczna niania robi także dzieciom zdjęcia i umożliwia prowadzenie wideorozmów. Robot BeanQ trafił do ponad miliona domów w Chinach. Cena urządzenia to ok. 300 dolarów. Innymi słowy – zdalne wychowanie. Tylko czy będą z tego zdolne (np. do miłości) dzieci?





259

– tyle osób zginęło podczas robienia selfie w latach 2011–2017. Sprawę zbadał All India Institute of Medical Sciences, czyli grupa uczelni medycznych z Nowego Delhi.

NN7687

– taki więzienny numer dostał Bill Cosby, który rozpoczął odsiadywanie wyroku w Stanowym Centrum Korekcyjnym w Phoenix.

3 830

– tylu więźniów może maksymalnie przebywać w więzieniu, do którego trafił Bill Cosby. Otwarto je 9 lipca.



Godny zaufania!

Świat bardziej ufa Merkel i Putinowi niż Trumpowi. Tak przynajmniej wynika z sondażu przeprowadzonego przez Pew Research Center w 25 państwach świata. O sprawie pisze m.in. Onet.pl. Okazuje się, że prezydentowi Rosji ufa 30 proc. badanych, prezydentowi Francji Emmanuelowi Macronowi 46 proc., a kanclerz Niemiec aż 52 proc. Zaufanie do prezydenta USA zadeklarowało tymczasem jedynie 27 proc. ankietowanych. Jeśli faktycznie świat bardziej ufa Putinowi niż Trumpowi, to tym gorzej dla świata.

Rasista

We Francji ciemnoskóry raper nawołuje w piosence do zabijania białych. Pochodzący z Kamerunu artysta nazywa się Nick Conrad, a piosenka nosi tytuł „Wieszaj białych". Padają w niej słowa zachęty do zabijania białych dzieci w żłobkach, wieszania ich rodziców i zabierania im majątków! O sprawie informuje rmf24.pl. „Piosence towarzyszy wyjątkowo brutalny teledysk, którego bohater – grany przez tego rapera – poniża, torturuje, a następnie wiesza przypadkowego białego przechodnia w podparyskim imigranckim getcie. [...] Raper twierdzi, że nie można go za ten teledysk ukarać, bo według niego chodzi raczej o potępienie rasizmu i apel o miłość bliźniego" – czytamy na portalu. W napięciu czekam, jak to zjawisko wytłumaczy postępowa europejska lewica, bo dla całej reszty nie może być wątpliwości, że to zwykły rasizm.

eprasa.pl 9c712df3b7

Upiorna babcia



Mama księżnej Kate podpadła na Wyspach. Teściowa księcia Williama zarabia, sprzedając przez internet imprezowe gadżety. Jednym z takich gadżetów okazał się upiorny strój zalanej krwią księżniczki zombie. Sprawę nagłośniła przyjaciółka tragicznie zmarłej księżnej Diany, nawołując do bojkotu strony. Wkrótce potem na mamę księżnej wylała się fala krytyki w sieci, a halloweenowy kostium zniknął ze sprzedaży. I dobrze, bo był wyjątkowy paskudny (jak całe święto zresztą). Wątpię, żeby babcia małej Charlotty miała ochotę oglądać wnuczkę w takim wdzianku. No, chyba że to upiorna babcia.

Koalicja Obywatelska jest dziś najlepszym gwarantem utrzymania i rozszerzenia programu 500+, bo nie pozwolimy na polexit, nie będziemy marnotrawić publicznych pieniędzy ani doić państwa jak PiS – zapowiedział Grzegorz Schetyna podczas konwencji PO. Krótko mówiąc: z braku własnego programu pożyczymy sobie cudzy.

Czyżby kryzys?



„Prezydent Emmanuel Macron podczas swojej wizyty na wyspie Saint-Martin dał się sfotografować z rozebranym czarnym nastolatkiem, podsycając plotki o skłonnościach homoseksualnych głowy państwa" – informuje rp.pl. Jednocześnie okazało się, że żona prezydenta Francji odmówiła udziału w podróży męża na Karaiby i do Nowego Jorku. To pierwszy taki przypadek za tej prezydentury. W obliczu takiego kryzysu wszystkie problemy Francji się chowają.

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x4)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Podziemie. Rocznik 2018



Dominik Zdort

Dobra zmiana czasem nazywana jest ironicznie „grupą rekonstrukcyjną sanacji", co ma oznaczać, że ekipa Jarosława Kaczyńskiego stara się naśladować ekipę Józefa Piłsudskiego, ale – jak to bywa przy rekonstrukcjach historycznych – poprzestaje tylko na zewnętrznych atrybutach. A więc choć zakłada mundury wzorowane na dawnych, to nie używa ostrej amunicji.

Czasem można mieć wrażenie, że to trafna analogia, szczególnie jeśli chodzi o deklarowane cele obozów Kaczyńskiego i Piłsudskiego, czyli uzdrowienie i wzmocnienie państwa, choć warto pamiętać o drobnej różnicy: sanacja w roku 1926 doszła do władzy metodami nieco innymi niż dobra zmiana w roku 2015 i sprawowała tę władzę w sposób odrobinę bardziej zdecydowany od obecnie rządzących.

We współczesnej Polsce jest jednak, jak mi się wydaje, „grupa rekonstrukcyjna" znacznie bardziej zaawansowana w swoich działaniach naśladowczych. Grupa, która ze wszelkich sił chce się wcielić w podziemie czasów stanu wojennego, a Jarosława Kaczyńskiego obsadzić w roli gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Co bywa czasem nawet zabawne.

Najnowszy pomysł to występ dwojga przeciwników dobrej zmiany podczas mistrzostw świata w siatkówce, którzy siedzieli na trybunach z kartką z napisem „Konstytucja".

Od razu przypomniał mi się rok 1982 i mundial w Hiszpanii, gdy grupa Polaków podczas meczu Polska–ZSRR rozwiesiła ogromny transparent „Solidarności". Ówczesne peerelowskie władze szybko poradziły sobie z tym problemem – nagrały „neutralne" przebitki z trybun barcelońskiego stadionu, i emitowały je, gdy na ekranie pojawiała się „Solidarność". Dobra zmiana na taki pomysł nie wpadła.

Ale jest jeszcze inna różnica między rokiem 1982 a 2018. Wtedy bezkarnie demonstrować niechęć wobec władz PRL można było tylko na Zachodzie. W kraju za pojawienie się na ulicy z niewielkim znaczkiem zawieszonej (a niebawem zdelegalizowanej) „Solidarności" w najlepszym razie można było dostać pałą po plecach.

Dziś partiom i stowarzyszeniom opozycyjnym nikt nie zakazuje ani działania, ani organizowania wielotysięcznych demonstracji, a „zaprzyjaźnione" wielkonakładowe media dołączają do swoich wydań plakaty z napisem „Konstytucja".

No cóż, Karol Marks, myśliciel przeżywający swoją drugą młodość, wiedział, że historia powtarza się dwukrotnie: za pierwszym razem jako tragedia, za drugim jako farsa.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 9c712df3b7

RZECZY POSPOLITE

Krowa Kalego



Tomasz ***Łysiak***

Jedną z chorób obecnej opozycji jest ewidentnie kalizm (jednostka chorobowa, w której dopiero „jak Kalemu ukraść krowa", to jest źle) połączony z ciężkimi objawami demencji i sklerozy. Oto sędziowie są cacy i bronimy ich, gdy ktokolwiek próbuje ustawą np. określić wiek, w którym odchodzą na emeryturę, zaś atakujemy, kiedy w trakcie wyborczych procesów wydadzą nie daj Boże (ups, nie daj Brukselo, raczej) wyrok nie po naszej myśli. Wtedy rzucamy na nich gromy i kilka gróźb w stylu: „Zapamiętamy wasze nazwiska!". Niezawisłość sędziowska ma obowiązywać w jedną stronę – sędziowie mają być ostro nastawieni w stosunku do PiS i tyle, reszta nie ma znaczenia. To się nazywa trójpodział władzy – władza ma być, po pierwsze, dla PO, po drugie, dla PO i po trzecie, dla PO. Monteskiusz to kiedyś opisał.

Objawy demencji i sklerozy są równie niepokojące. Kogóż nie bawiło to, jak PO zmieniła zdanie w sprawie 500+? Wielu zaś padło ze śmiechu, słuchając tłumaczeń Kidawy-Błońskiej w trakcie rozmowy z Robertem Mazurkiem w RMF, gdy próbowała wyjaśnić, dlaczego PO była przeciwko podnoszeniu wieku emerytalnego, potem podniosła wiek emerytalny, a teraz, gdy już PiS go obniżyło – deklaruje, że go nie podniesie. Tylko krowa nie zmienia poglądów – krowa Kalego. Być może to z podnoszeniem i obniżaniem wieku emerytalnego jest jak z przypływami i odpływami morza? Jak z fazami Księżyca? Kwadra, pełnia, nów? Ćwierć – podnosimy? Pół – opuszczamy? Nic nie robimy? Może wahania poglądów Platformy należałoby ogłaszać w TVN w specjalnym serwisie jak pogodę? Wychodziłby oto jakiś Kret-Wicherek i na specjalnej mapie pokazywałby prognozę: „W ciągu najbliższej doby na wschodzie PO obserwować będziemy działanie chłodnego frontu emerytalnego. W Szczecinie, przepraszam, w Schetynie – opady 500+. Na Bugu w Kidawie osiem, przybyło trzy. Stopień zasilania dziesiąty. W Chobielinie można na dwór chodzić. Trzeba się spodziewać silnych wiatrów zachodnich, z Berlina i Brukseli". A ludziom ciśnienie rośnie.

Niemiecka fala



Piotr ***Cywiński***

Noch ist Polen nicht verloren... To pierwsze słowa naszego hymnu po niemiecku. „Jeszcze Polska nie zginęła" – zatytułował swój niedawny wywiad z Robertem Biedroniem dziennik „Süddeutsche Zeitung". „Władza PiS to tylko faza, pewnego dnia się skończy. Polska nigdy nie przystanie na autorytarny reżim". I poszło, niech świat wie, co się u nas wyprawia. Usłużnych idiotów kształtujących paskudny wizerunek naszego kraju poza granicami dla własnych celów, osobistych czy partyjnych, ci u nas dostatek. „Polska potrzebuje globalnej solidarności" – grzmi Lech Wałęsa poprzez tytuł z Niemieckiej Fali (Deutsche Welle) w wywiadzie na okoliczność jego urodzin. Niemcy „mają robić jak do tej pory, a równocześnie pomyśleć, jak nam pomóc" – instruuje jubilat. Czołgów Bundeswehry do nas nie wyślą, nie te czasy, ale są inne sposoby....

„Kto ma media, ten ma władzę" – brzmi niemieckie porzekadło. A do kogo należą media w Polsce...? Trzeba zatem tak podziałać na polskich wyborców, aby sami pozbawili władzy te koszmarne PiS, które jakieś opodatkowanie wymyśliło i nie można już bezkarnie tłuc szmalu na polskich konsumentach towarami gorszej jakości, konkurencyjny dla Berlina port centralny chce budować, gazociąg bałtycki mu się nie podoba, amerykański kij w szprychy niemiecko-rosyjskiej przyjaźni wkłada, z jakimś Trójmorzem kombinuje, ba, o odszkodowaniu za napaść, ogołocenie i zrujnowanie kraju coś tam ględzi...

Mechanizm działania jest prosty. Niemieckie polskojęzyczne media walą w PiS jak w bęben, niemieckie niemieckojęzyczne je cytują, potem niemieckie niemieckojęzyczne cytowane są przez niemieckie polskojęzyczne, do tego „Gazeta Wyborcza", która cytuje i jest cytowana tu i tam z własnej woli, i kółko graniaste się zamyka. Ot, taki „Wspólny pakt przeciw PiS", którym to tytułem reklamuje „Süddeutsche Zeitung" swój kolejny tekst, a w nim o tym, jak „konserwatyści, liberałowie i lewicowe partie wypowiedziały wspólnie wojnę PiS".

„Jeszcze Polska nie zginęła – dla integracji z UE?" – pyta „Die Welt" rzeczniczkę Zielonych do spraw europejskich w Bundestagu Franziskę Brantner. Nawet „jeśli Polska ma w tej chwili trudny rząd", a „wielu ludzi walczy o demokrację", mówi posłanka, „jeśli my wymagamy solidarności np. w kwestii przyjmowania uchodźców, to musimy też słyszeć apele Polski o solidarność i odrzucenie gazociągu zaplanowanego przez Berlin i Moskwę ponad głowami Polaków", bo „europejska solidarność nie jest ulicą jednokierunkową". Ups..., coś poszło nie tak, jaka solidarność...?! „Noch ist Polen nicht verloren"...!

eprasa.pl 9c712df3b7

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:
PIOTR SKWIECIŃSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI (BERLIN), LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, GRZEGORZ KOSTRZEWA-ZORBAS, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, PIOTR SKWIECIŃSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, EWA WESOŁOWSKA, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
EWA FALKIEWICZ, EWA.FALKIEWICZ@FRATRIA.PL,
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
NAKŁAD: 101 940 EGZ.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 616 36 00
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
WOJCIECH KOPACZ – WOJCIECH.KOPACZ@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, KAY NIETFELD/DPA/PAP, SYLWIA DĄBROWA/POLSKA PRESS, ANDRZEJ WIKTOR, SHUTTERSTOCK (x4)

eprasa.pl 9c712df3b7



To był ostatni moment na atak i nieprzypadkowo na cel tego ataku wybrano premiera Mateusza Morawieckiego

Dopaść Morawieckiego



STANISŁAW JANECKI

Od kiedy premier Mateusz Morawiecki stał się lokomotywą kampanii samorządowej Prawa i Sprawiedliwości, przechylając szanse na zwycięstwo partii rządzącej, zaczął być znacznie ostrzej i intensywniej atakowany. Szczególnie nerwowo opozycja i jej media przyjmują bardzo skuteczne promowanie przez premiera kandydatów Zjednoczonej Prawicy na prezydentów miast, co potwierdzają lokalne sondaże. Tam miały być gładkie zwycięstwa w przeciwieństwie do spodziewanej przez opozycję porażki w wyborach do sejmików wojewódzkich. Wszędzie, gdzie dociera Mateusz Morawiecki, rośnie przekonanie, że synergia działań rządu i samorządu może przynieść efekty, jakich opozycja nie jest w stanie zapewnić.

Zaczął się więc walić scenariusz opozycji, żeby wygrać w jak największej liczbie miast, aby można ogłosić sukces w wyborach. I to przelało czarę. Dlatego najpierw był proces wytoczony przez Platformę Obywatelską w kwestii słów Morawieckiego o nakładach na drogi za rządów PO-PSL. A gdy to się rozmyło wskutek najpierw odwołań sądowych, a później bardzo ograniczonej treści sprostowania, wyskoczyły taśmy. A właściwie nie taśmy, bo nic nowego nie wypłynęło, tylko opowieści o taśmach z zeznań kelnerów oskarżonych i skazanych w procesach dotyczących nagrań w restauracjach Sowa & Przyjaciele oraz Amber Room. I opowieść o taśmach wypłynęła akurat wtedy, gdy przewodniczący PO Grzegorz Schetyna wrócił z Berlina ze spotkania z kanclerz Angelą Merkel. A miejscem publikacji stał się portal Onet, należący do niemiecko-szwajcarskiego Ringier Axel Springer. Portal będący oczkiem w głowie i najważniejszym obecnie medium w Polsce kontrolowanym przez niemiecki kapitał. Ten portal odgrywa dla jego właścicieli znacznie większą rolę niż wszystkie drukowane media kontrolowane przez niemiecki kapitał razem wzięte.

NIEMIECKA MACHINA MEDIALNA

Niemieckie media w Polsce przede wszystkim są pasem transmisyjnym dla treści pojawiających się w kraju pochodzenia kapitału, z którymi dysponent kapitału się utożsamia. Media te wykonują czarną robotę, która nie opłaca się politykom lub im nie wypada. Obecnie robią to całkiem otwarcie, choć przez lata czyniły to bardzo dyskretnie – żeby zapracować na opinię obiektywnych i w miarę zrównoważonych. Gdy to się stało, przystąpiły do dezawuowania

eprasa.pl 9c712df3b7


Fot. K.Maj/KPRM

polskiego rządu i prezydenta, oskarżania ich o zamach na sądownictwo, na prawa obywatelskie i wartości europejskie zapisane w traktacie lizbońskim, na jedność Unii Europejskiej. Chodzi im o nacisk na polskie władze, żeby dla poprawy wizerunku zrezygnowały z ważnych dla Polski celów polityki zagranicznej, z istotnych interesów narodowych, ze specyficznie polskiej polityki historycznej i kulturalnej. Chodzi też, a może przede wszystkim, o wpływanie na preferencje polityczne Polaków, na zachowania podczas wyborów. Nie tylko bezpośrednio, czyli przedstawiając opozycję jako najlepsze możliwe rządy dla Polski, a rządzących obecnie jako wielkie zagrożenie mogące prowadzić do rozbicia Unii, a nawet do wojny.

Niemieckie media w Polsce oddziałują także pośrednio, poprzez kształtowanie systemu wartości Polaków, wpływanie na obyczaje, zmienianie gustów oraz preferencji estetycznych. Chcą one kształtować kosmopolitę, wyzbytego własnych tradycji albo Polaka niepolitycznego, podatnego na podsuwane mu wybory polityczne. Polak odpolityczniony ma być tak samo podatny na sterowanie jak konsumenci. Ma temu sprzyjać pozbawianie go własnego gustu, smaku estetycznego czy rezygnacja z trwałego systemu wartości i zasad moralnych. Dziesiątki należących do niemieckich właścicieli pism kobiecych, młodzieżowych, plotkarskich, rozrywkowych czy lifestyle'owych oraz największe portale mają kształtować konsumenta, a nie obywatela. A już w żadnym wypadku polskiego patriotę i świadomego obywatela. Urabia się przede wszystkim młodych ludzi, wdrukowując im, że powinni gonić za modnymi dobrami, a przez to nie mieć czasu na zajmowanie się polską historią, na zrozumienie bieżącej polityki. Kształtowane przez niemieckie media głuptasy mają się skupiać na modzie, muzyce, flirtowaniu, wygodnym beztroskim życiu, zabawie, seksie i konsumowaniu. I mają uznawać za swoje podsuwane im wybory polityczne. Starsi i ukształtowani wyborcy mają zaś zmienić swoje preferencje, a środkiem do tej zmiany jest m.in. kompromitowanie rządzących, w tym liderów Zjednoczonej Prawicy. Te cele nie są wcale ukrywane podczas spotkań najważniejszych przedstawicieli niemieckich mediów w Urzędzie Kanclerskim bądź w niemieckim MSZ. Atak na Morawieckiego doskonale się wpisuje w te cele i całkiem precyzyjnie został rozegrany w czasie.

WRABIANIE W ZBLATOWANIE

Gdyby premier nie miał tak dużego wpływu na przebieg kampanii samorządowej i szanse kandydatów Zjednoczonej Prawicy, mielibyśmy zapewne ogólnikową krytykę poczynań rządu i jego samego. Gdy stał się asem atutowym kampanii, zwykła krytyka okazała się za słaba. Tym bardziej że, co podkreślił 4 października 2018 r. w TVP prezes Jarosław Kaczyński, Mateusz Morawiecki mocno dał się we znaki tym wszystkim, którzy okradali Polskę na dziesiątki miliardów złotych rocznie, przecinając te praktyki. I oni daliby wiele, żeby się zemścić.

Jaką funkcję obiektywnie spełnił materiał Onetu, natychmiast rozdmuchany przez media sympatyzujące z opozycją (zarówno w kraju, jak i za granicą)? Otóż spełnił funkcję detonatora kilku procesów. Zaczęło się od pokazywania Morawieckiego jako człowieka poprzedniego układu rządzącego, czyli obecnie obcego ciała po stronie Zjednoczonej Prawicy, ale służącego jej. To otwarcie insynuowało koniunkturalizm Morawieckiego i miało skłócić go z własnym zapleczem, a przynajmniej zahamować umacnianie jego pozycji w PiS. Miało wywołać nieufność do premiera wśród polityków PiS, wyborców tej partii, jak i u Jarosława Kaczyńskiego. Ale prezes PiS w TVP zadeklarował, że ma pełne

eprasa.pl 9c712df3b7

zaufanie do szefa rządu. Z publikacji Onetu oraz komentarzy w innych mediach miał się wyłaniać obraz człowieka skupionego na własnej karierze, właściwie obrotowego, niemającego poglądów. To niezupełnie się udało, gdyż w kilku kwestiach, np. uchodźców, Morawiecki okazał się bardzo bliski stanowisku PiS.

Onet nie przedstawił nawet malutkiego fragmentu nagrania, które miało być sensacją, tylko odwołał się do nagrań już znanych. I na nich Morawiecki występuje w towarzystwie ważnego dla PO polityka, a potem menedżera Krzysztofa Kiliana. A podczas rozmowy padają nazwiska bardzo ważnego dla PO byłego premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego oraz szefa kancelarii premiera Donalda Tuska – Tomasza Arabskiego. Pokazanie Morawieckiego jako człowieka mocno zakolegowanego z Kilianem i mającego dobre kontakty z Arabskim miało w odbiorcach utrwalić przekonanie, że obecny premier jest częścią establishmentu związanego z PO i byłym premierem Tuskiem. A już znajomość z Arabskim ma być wyjątkowo obciążająca, skoro ma on proces w sprawie zaniedbań i zaniechań w związku z katastrofą smoleńską.

Wszystko to miało podważać wiarygodność premiera jako ważnego i oddanego polityka dobrej zmiany i sugerować, że to związek oparty na interesie i chęci robienia kariery za wszelką cenę. Jak ktoś taki może zasługiwać na masowe poparcie i na awans wewnątrz PiS? Chęć skłócenia Prawa i Sprawiedliwości od środka jest aż nadto widoczna. Tylko że 4 października prezes PiS zdusił to w zarodku, ujawniając, iż w czasie, gdy zrobiono nagrania, Mateusz Morawiecki już współpracował z PiS, informował o różnych propozycjach mu składanych i wcale nie był człowiekiem tamtej strony, choć bywał wśród jej ludzi. W komentarzach wokół materiału Onetu wyraźne są sugestie, że za tym wszystkim może stać ktoś z PiS, kto albo nie akceptuje szybkiego awansu i pozycji premiera w partii (i tu insynuuje się jakąś rolę Zbigniewowi Ziobrze), albo zabezpieczyć się przed dymisją, i tu insynuacje dotyczą koordynatora ds. służb specjalnych Mariusza Kamińskiego. Chodzi o to, żeby wewnątrz PiS zasiać atmosferę podejrzeń, a potem ewentualnie wzajemnych oskarżeń, co oczywiście osłabiłoby partię rządzącą i wpłynęło na jej wyborczy wynik.

OSTATNI MOMENT NA ATAK

Przypomnienie starych taśm, niczym nieuzasadnione z punktu widzenia narracji o nowym nagraniu, miało pokazać, że skoro bardzo ważny obecnie polityk PiS jest bohaterem nagrań, cała ta formacja traci prawo do uważania się za wyjątek, za ludzi niehandlujących interesami Polski przy winie i wystawnym jadle, za ludzi kulturalnych i nieużywających wulgaryzmów. Kłóci się to z obarczaniem PiS współodpowiedzialnością za nagrania, ale to mniej ważne, skoro można zaatakować premiera. A nawet uczynić go głównym bohaterem nagrań, mimo że to absurdalne, skoro o bohaterach starych taśm zapomniano, a Morawieckiemu nie poświęcono wtedy zbyt wiele uwagi. Teraz nadrabia się stracony czas z nawiązką, w dodatku insynuując, że obecny premier mógł być zainteresowany kupowaniem nieruchomości na tzw. słupy, czyli ukrywaniem dochodów. Ale po co w 2013 r. miałby to robić świetnie zarabiający prezes banku, którego dochody nie były tajne, a tym bardziej nie miały żadnej tajnej części?

> Chęć skłócenia PiS od środka jest aż nadto widoczna. Chodzi o to, żeby wewnątrz partii zasiać atmosferę podejrzeń, wzajemnych oskarżeń, co osłabiłoby ją i wpłynęło na wynik wyborczy

Choć zarzuty są absurdalne, posłużyły politykom opozycji, np. Sławomirowi Neumannowi czy Cezaremu Tomczykowi z PO, do stawiania dramatycznych pytań o to, kto i jak może szantażować premiera. A skoro mógłby on być zaangażowany w jakieś ciemne transakcje, powinien się podać do dymisji. Ta sama sprawa dla dziennikarzy, np. Michała Szułdrzyńskiego z „Rzeczpospolitej", stała się pretekstem do rozważań o wiarygodności premiera, do sugestii, że siedzi w nim jakiś straszny Mr Hyde, który może być groźny zarówno dla PiS, jak i dla Polski. I choć nie ma nawet cienia dowodów na takie sugestie oraz insynuacje, premiera wzywa się do tłumaczenia, że nie jest wielbłądem, żeby spowiła go aura czegoś nielegalnego, nieuczciwego. A to miałoby podważyć zaufanie Polaków do szefa rządu. I zaufanie Kaczyńskiego. To się nie powiodło, skoro prezes PiS wyraźnie stwierdził w TVP, że bez Mateusza Morawieckiego nie byłoby osiągnięć dobrej zmiany.

Ważna i wyjątkowo korzystna dla Zjednoczonej Prawicy rola premiera w kampanii samorządowej mogłaby mieć znaczący wpływ na sukces w najbliższych wyborach, otwierający cały sezon wyborczy i mogący się przełożyć na kolejne zwycięstwa. Dlatego najlepszym momentem do zaatakowania Morawieckiego był finał kampanii samorządowej. Zwycięstwo, a tym bardziej wyraźne, w wyborach 21 października i 4 listopada 2018 r. praktycznie przekreśla szanse opozycji na odzyskanie władzy. Wiedzą o tym także wrogie rządowi PiS siły za granicą, dlatego jednocześnie z kampanią wymierzoną w premiera w kraju Komisja Europejska skierowała przeciwko Polsce skargę do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. I wokół niej będzie się teraz koncentrować antypolska kampania, w której niemieckie media, w tym te działające w Polsce, już odgrywają bardzo znaczącą rolę. Przeciwnicy rządu Zjednoczonej Prawicy zdają sobie sprawę, że jeśli teraz opozycji nie uda się odzyskać chociaż części władzy, później będzie już tylko gorzej, a obecne rządy mogą trwać długo. Był więc ostatni moment na atak i nieprzypadkowo na jego cel wybrano premiera Mateusza Morawieckiego.

7/1018/F

eprasa.pl 9c712df3b7

plus

CYFROWY POLSAT

Oszczędzaj z głową!

Przenieś numer do Plusa, dobierz telewizję od Cyfrowego Polsatu, a wszystko już od 40 zł miesięcznie. Do tego dokup Światłowód Netii z rabatem smartDOM.



od **40** zł/mies.
z rabatem smartDOM

TELEFON + TELEWIZJA

+

Dokup Światłowód Netii
do **900** Mb/s

smart DOM

[1] TELEFON: Dotyczy wybranych wariantów ofert. Szczegóły w regulaminach promocji: „PLUS.", „PLUS. ELASTYCZNA", „smartDOM 4 – Telewizja, Internet, Telefon" dostępne na www.plus.pl i u Doradców.
[2] TELEWIZJA: Dotyczy promocji dla nowych Klientów dostępnych z ofertą elastyczną Rodzinny HD + Cinemax HD z min. zobowiązaniem 10 zł/mies. z rabatem smartDOM przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. Szczegóły w Warunkach Oferty i regulaminie, dostępne na www.cyfrowypolsat.pl i u Doradców.
[3] SMARTDOM: Opłata miesięczna 40 zł uwzględnia rabaty wynikające z programu smartDOM. Rabaty dostępne przez całą umowę w przypadku zachowania warunków promocji. Szczegóły w regulaminie programu „smartDOM 4 – Telewizja, Internet, Telefon". Warunkiem otrzymania rabatu smartDOM na usługę Światłowodu Netii jest spełnienie wymogów wynikających z regulaminu promocji „Najlepsza rozrywka – smartDOM". Regulaminy dostępne na: www.plus.pl, www.cyfrowypolsat.pl i u Doradców.

eprasa.pl 9c712df3b7



Afera taśmowa oderwała od władzy ekipę PO-PSL. Publikacja szokujących nagrań pozwoliła zobaczyć nieznane oblicze rządzących, usłyszeć knajackie rozmowy i poznać metody działania – włącznie z planami ocierającymi się o zamach stanu. Po czterech latach sprawa wraca i każe stwierdzić, że największe jej tajemnice pozostały nieodkryte. Postawmy najważniejsze pytania

Kto naprawdę boi się taśm

Fot. Julita Szewczyk



MAREK PYZA

1 CZY WCIĄŻ ODBYWA SIĘ GRA TAŚMAMI?

Tak. Cykl publikacji Onetu nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości. Ton ostatnich publikacji w tym portalu (zwłaszcza trzy tygodnie przed wyborami) wskazuje, że celem jest co najmniej zachwianie obozem dziś sprawującym władzę. Mowa jest o „kryzysie" po ujawnionych nagraniach – mimo że żadnego kryzysu nie ma. Snuje się dywagacje nad dymisją szefa rządu, mimo że nie ma do niej żadnych podstaw. Zresztą najlepiej sięgnąć tu do opinii... Dominiki Wielowieyskiej z „Gazety Wyborczej", która jednym tweetem zdetonowała „bombę" Onetu. „W tym nagraniu nie ma niczego, co by obciążało premiera" – ogłosiła publicystka. Jeśli pod takimi słowami podpisuje się właśnie ona, możemy śmiało wyłączyć taśmę i zaprzestać szukania haków na Mateusza Morawieckiego. Gdyby takowe na nagraniu były, nie omieszkałaby ich opisać.

2 KOGO NAPRAWDĘ KOMPROMITUJĄ NAGRANIA?

Porównajmy sobie taśmę z udziałem byłego prezesa banku BZ WBK (osoby wówczas prywatnej) z nagraniami, które poznaliśmy w roku 2013 – z udziałem ministrów czy szefów służb. Czy ktoś naprawdę uważa, że da się zapomnieć, iż to Platforma Obywatelska jest w tę sprawę umoczona po uszy, że to zbudowany przez jej środowisko układ dojący państwo został obnażony na nagraniach? Kilka z wielu przykładów.

- Bartłomiej Sienkiewicz z Markiem Belką planują ratowanie rządu Donalda Tuska dzięki pomocy Narodowego Banku Polskiego w finansowaniu deficytu budżetowego. Cel: nie dopuścić do władzy konkurencji. Koszt: głowa ministra finansów Jana Vincenta-Rostowskiego.
- „Deale" w sprawie załatwiania miejsc na listach wyborczych pomiędzy Radosławem Sikorskim a Janem Vincentem-Rostowskim i ich sposoby walki politycznej (Sikorski: „Ty, ja uważam, że można zajebać PiS komisją specjalną w sprawie Macierewicza").
- Zamiatanie pod dywan podatkowych „kłopotów" Sławomira Nowaka.
- Odsłonięcie kulisów operacji przejęcia Ciechu przez Jana Kulczyka – dowiedzieliśmy się, jak miliarder negocjował z wysłannikami Donalda Tuska,

eprasa.pl 9c712df3b7

którzy z państwowych wysokich urzędników (np. w randze wiceministra) stają się chłopcami na posyłki jednego z najbogatszych Polaków.

3 CZY MAREK FALENTA BYŁ MÓZGIEM OPERACJI?

Według prokuratury i sądu – tak. Ale trzeba być bardzo naiwnym, by uwierzyć w to, że całą rzecz zaplanował i przeprowadził biznesmen, biorąc za pomagierów szwagra i dwóch kelnerów. I tak sobie w czwórkę miesiącami nagrywali pół rządu, prezesów największych spółek i szefów służb. Tylko wspomniany kwartet dostał wyroki, Falenta jako jedyny bezwzględnego więzienia (pod koniec października Sąd Najwyższy rozpatrzy kasację od wyroku), ale od dziesięciu miesięcy unika wykonania kary, powołując się na względy zdrowotne.

4 KTO STAŁ ZA AFERĄ I KTO JEST DYSPONENTEM TAŚM?

Tu zbiega się kilka tropów. Przed miesiącem „Polityka" opisała interesy, jakie Falenta – handlując węglem – robił na Wschodzie (również z tamtejszym półświatkiem), czym przypomniała starą tezę Donalda Tuska, który sugerował napisanie skryptu tej afery cyrylicą. To jeden z ciekawszych wątków sprawy, którego nie sprawdzono. Innym są powiązania Falenty z ludźmi służb specjalnych. Do dziś nie dowiedzieliśmy oficjalnie, jak wyglądały kontakty biznesmena ze służbami i na jakim szczeblu się odbywały. Warto tu przypomnieć książkę jednego z nagrywających, Konrada Lassoty, według którego ludzie służb specjalnych mieli wykorzystywać wiedzę z taśm: „Funkcjonariusze mogli nabyć lub sprzedać z zyskiem odpowiednie pakiety akcji. Zyski giełdowe miały być zwrotem poniesionych kosztów i honorariów wszystkich uczestników dealu".

5 CZY ISTNIEJE WIĘCEJ TAŚM?

Oczywiście. Haki są wartościowe dopóty, dopóki pozostają w ukryciu. Ujawnione przestają mieć siłę oddziaływania. Wszystkie zeznania wskazują, że nagrano więcej spotkań niż 66, o których mówią akta śledztwa. Jaką moc ma ukryta jeszcze amunicja? Odpowiedź na to pytanie znają nieliczni, ale wielu się jej obawia. Pamiętajmy, że kompromitujące materiały (nawet jeśli nie dotyczą przestępstw, lecz choćby stylu bycia – prywatnie innego niż budowany w sferze publicznej) w tej historii mogą być naprawdę potężne. Raz jeszcze zacytujmy książkę Lassoty: „W świecie gastronomii dziwiło mnie niewiele, jednak wykorzystywanie salek vipowskich, aby uprawiać seks, było zastanawiające. [...] Począwszy od gołych spotkań i wymiany nagich zdjęć między dwoma rozpoznawalnymi mężczyznami, którymi przez pewien czas dysponował Łukasz [drugi z kelnerów – przyp. red.], poprzez regularne wizyty prostytutek, na orgiach seksualnych z udziałem celebrytek skończywszy. Nagie zdjęcia były również w... telefonie Łukasza zabezpieczonym przez ABW. To wszystko działo się w kuluarach restauracji Sowa & Przyjaciele". A przecież to, co zabezpieczyły służby, to nie wszystko. Taśmy zapewne więc jeszcze powrócą.

> Czy ktoś naprawdę uważa, że da się zapomnieć, iż to PO jest w tę sprawę umoczona po uszy, że to zbudowany przez jej środowisko układ dojący państwo został obnażony na nagraniach?

6 CZY SPRAWĘ DA SIĘ DO KOŃCA WYJAŚNIĆ?

Jeśli wciąż, po czterech latach, mamy w tej sprawie tak wiele wątpliwości, trzeba przyznać, że ze swoich zadań nie wywiązały się ani prokuratura, ani specsłużby. Jedna z pierwszych ofiar afery – minister spraw wewnętrznych Bartłomiej Sienkiewicz – mówi dziś, że skandal wokół nagrań został zamieciony pod dywan. I tu trudno się z nim nie zgodzić. Wątpliwe jest jednak, by kiedyś odkryć go w całości. Ludwik Dorn na łamach „Polityki" namawia opozycję, by ta domagała się powołania w Sejmie komisji śledczej. To ciekawy pomysł. Tyle że mógłby się skończyć analogicznie do afery GetBack – Platforma Obywatelska nagle zapragnęła komisji w jej sprawie, ale zapał straciła. Co się stało? Okazało się, że windykacyjną spółkę „pompował" ich ekonomiczny guru, w jej nadzorze zasiadała pierwszoplanowa sprzedawczyni polskich banków z rządu Jerzego Buzka, a obligacje GetBacku wciskał swoim klientom dom maklerski, w którego radzie nadzorczej zasiadała była szwagierka posła PO. Podobnie jest z aferą taśmową – skompromitowała ona Platformę i doprowadziła do odsunięcia jej od władzy. Zresztą komu w PO miałoby zależeć na rozgrzebywaniu tematu? Paradoksalnie zadowolony dziś może być Grzegorz Schetyna (który na nagraniach się nie pojawił), bo dzięki skandalowi w partii nie ma już Donalda Tuska, a to pozwoliło mu w pełni podporządkować sobie formację.

Być może nigdy nie dowiemy się, kto stał za aferą taśmową, kto dysponuje wszystkimi nagraniami. Może nikt nie jest zainteresowany wyjaśnieniem tej sprawy, bo wszyscy mają świadomość, że taśmy mogą się stać bronią obosieczną. A może cała ta piętrowa intryga (z mniejszym bądź większym udziałem ludzi biznesu, polityki, służb i sił ze Wschodu) już dawno wymknęła się spod jakiejkolwiek kontroli.

Pozostaną plotki. Czy nagrano najbogatszego Polaka? Czy nagrano szefa rządu? Czy wszystko zmontował jeden z byłych szefów służb? Wielu jeszcze długo będzie żyło w strachu. A mówimy o tych, którzy przed trzema laty zostali zmieceni z państwowych stanowisk.

eprasa.pl 9c712df3b7

Kto wystawił akta Onetowi

Animatorzy odpalenia medialnej „bomby" mającej zdyskredytować premiera Morawieckiego działali w dużym pośpiechu. Do wyborów zostały raptem trzy tygodnie



WOJCIECH BIEDROŃ



Fot. Julia Szewczyk

PONIEDZIAŁEK: KELNERZY NA PIERWSZY OGIEŃ

Pierwsza publikacja Onetu, która pojawiła się w portalu w poniedziałek 1 października, miała być prawdziwym trzęsieniem ziemi i politycznym tsunami. Oto dziennikarze portalu zdobyli nigdy wcześniej niepublikowane zeznania kelnerów z restauracji Sowa & Przyjaciele. W bełkotliwych i nie do końca pokrywających się zeznaniach kelnerzy Łukasz N. i Konrad Lassota mówili, iż Mateusz Morawiecki, ówczesny prezes BZ WBK, miał się rzekomo spotkać z jakimś tajemniczym mężczyzną, z którym „rozmawiał" o braniu kredytów na „słupy".

Dziennikarze mediów związanych z opozycją zachłysnęli się tą informacją. Nikt nie pomyślał jednak o tym, że zeznania dwóch kelnerów są jedynym „dowodem" na istnienie tej rozmowy. Szybko się okazało, że Onet nie ma taśmy z tą rozmową ani nawet jej stenogramu!

Gdzie jest więc taśma? Gdzie potwierdzenie, że sprawa ma jakieś głębsze podstawy niż zeznania skompromitowanych kelnerów?

WTOREK: ODPALAMY CAŁOŚĆ, PRZYKRYWAMY BLAMAŻ

Po poniedziałkowym blamażu „afera" zaczęła wygasać. Onet szybko stał się obiektem kpin, wielu dziennikarzy podważało wiarygodność informacji. Portal został też napiętnowany z powodu terminu „ujawnienia" tej informacji. Odpalenie bomby medialnej nastąpiło bowiem trzy tygodnie przed wyborami. Tu nie mogło być przypadku.

We wtorek 2 października Onet postanawia przykryć poniedziałkową kompromitację czymś „mocniejszym". Po kilkudziesięciu godzinach nieustannej presji internautów, polityków i dziennikarzy portal zdecydował się ujawnić całość „taśmy Morawieckiego". Co ciekawe, materiał o niemal identycznej treści, choć okrojony o niektóre wątki, ujawnił na początku 2016 r. też należący do tego samego szwajcarsko-niemieckiego koncernu medialnego tygodnik „Newsweek".

Czy w udostępnionym nagraniu pada choćby jedno zdanie potwierdzające zeznania kelnerów, na których treści oparł się Onet w poniedziałek? Nie, na taśmie nie ma o tym ani słowa. Sprytna manipulacja Onetu polegała na tym, że jego dziennikarze próbowali uwiarygodnić bełkotliwe zeznania kelnerów prawdziwą taśmą. Autorzy wręcz przyznali się do tej manipulacji. „Ujawniamy jedyną zarejestrowaną rozmowę Mateusza Morawieckiego, która znajduje się w aktach śledztwa w sprawie afery taśmowej. Fragmenty stenogramów pojawiły się już wcześniej w mediach, ale my jako pierwsi przedstawiamy całe nagranie. [...] Tego nagrania, które – jeśli kelnerzy składali prawdziwe zeznania – może być hakiem na premiera, nie ma w aktach śledztwa. I nikt nie wie, gdzie jest" – napisali.

ŚRODA: O CZYM ZAPOMNIELIŚMY?

W środę, trzeciego dnia „afery", Onet przeszedł do defensywy. W najlepsze trwało jednak podbijanie bębenka – wywiady autorów tekstu w zaprzyjaźnionych mediach.

Szybko okazało się jednak, że dziennikarze portalu „zapomnieli" o pewnej rozmowie, która znalazła się na taśmie

eprasa.pl 9c712df3b7



ujawnionej we wtorek. Jeden z internautów zauważył, że na nagraniach jest m.in. rozmowa Mateusza Morawieckiego z Krzysztofem Kilianem na temat pieniędzy dla LOT. Onet kompletnie ten wątek pominął. Czyżby pozytywna postawa Morawieckiego nie pasowała dziennikarzom do z góry ustalonej tezy?

Kilian: *Jest pytanie na Radzie Ministrów: „Czy udzielono pomocy publicznej PLL LOT?". Minister skarbu odpowiada: „Nie udzielono". Kończy się Rada Ministrów. No jest kryzys. Piróg tam tego... wyrzucony już i tak dalej. Co zrobić z tym LOT-em? Siedzą, gadają. Nagle przychodzi ktoś tam do tego Donalda i mówi: „Właśnie parę dni temu minister skarbu podpisał i przelał gotówką 400 mln zł tam do jakiejś spółki z Agencji Rozwoju Przemysłu, czy tam skądś do LOT-u". Czterysta baniek.*

Morawiecki: *...tak...*

Kilian: *No więc Donald o mało zawału serca nie dostał. To, co mówił o Budzanowskim, nie do powtórzenia. Szczęśliwie było to bardzo późno w nocy, więc nie mogli go zawołać, bo by go chyba zabił. Następnego dnia się uspokoił, wszystko jest OK, to się jakoś rozjechało. A Donald jeszcze nie wie jednej rzeczy, o której ja wiem, że dzień po wzięciu tych 400 mln zł w PLL LOT wypłacono natychmiast premie, a dopiero w następnej kolejności...*

Matuszewska: *...Z tych 400 mln...*

Kilian: *Zaspokojono roszczenia. Ale jeżeli ja o tym wiem, to znaczy, że pięćset osób o tym wie. Rozumiesz?*

CZWARTEK: SĄD NAJWYŻSZY DO USŁUG

Czwartego dnia medialnej afery na jaw wyszła informacja, która może potwierdzić zarzuty wielu komentatorów, że odgrzanie sprawy taśm ma kontekst stricte polityczny. Okazało się, że źródłem ujawnionych nagrań i zeznań był Sąd Najwyższy, który toczy otwartą wojnę z rządem.

Dowiedzieliśmy się więc, że wystarczyły trzy tygodnie, by Sąd Najwyższy zapoznał się z ponad 40 tomami akt afery taśmowej i udzielił zgody na wgląd do materiału dziennikarzom Onetu. Co ciekawe, SN wydał też taką samą zgodę m.in. tygodnikowi „Polityka".

O tym, że to Sąd Najwyższy wydał zgodę dziennikarzom Onetu na wgląd do akt, poinformowali sami autorzy kontrowersyjnych publikacji o „taśmach Morawieckiego": „[...] akta są dziś w posiadaniu Sądu Najwyższego, który rozpatruje kasację Marka Falenty, głównego reżysera taśmowego serialu. I to Sąd Najwyższy wydał nam oficjalną zgodę na dostęp do akt, uznając za przekonujące argumenty, że rzetelne pokazanie w Onecie ustaleń w sprawie taśmowej leży w interesie społecznym".

„Zgoda dotyczyła akt głównych, z wyłączeniem danych wrażliwych i tajnych, bo tam też się takie znajdują. Dziennikarze zapoznawali się z 43 tomami akt od 20 września. To rutynowa czynność. Inni dziennikarze też dostawali zgodę. W sprawach cieszących się dużym zainteresowaniem społecznym przeważnie udzielamy takiej zgody dziennikarzom" – powiedział portalowi wPolityce.pl rzecznik prasowy Sądu Najwyższego sędzia Michał Laskowski.

Warto prześledzić, jak akta z Sądu Okręgowego w Warszawie trafiły do Sądu Najwyższego. Stało się to 29 sierpnia. To wtedy SN zaczął się zapoznawać z ogromnym materiałem dowodowym, który liczy dokładnie 43 tomy. Po trzech tygodniach wpłynięcia akt do sądu dziennikarz Onetu Andrzej Stankiewicz złożył do SN wniosek o możliwość zapoznania się z aktami. Zgodę otrzymał niemal od ręki. Zgodnie z procedurą sąd wydaje zgodę dziennikarzom na zapoznanie się z aktami dopiero po przeanalizowaniu tych dokumentów. Czy to oznacza, że sędziowie zapoznali się z nimi w ciągu zaledwie trzech tygodni i miesiąc przed zaplanowanym na 25 października posiedzeniem dotyczącym Falenty?

– Wygląda mi na to, że ktoś z Sądu Najwyższego przesłał do kilku „zaprzyjaźnionych" redakcji cynk, że akta są do wzięcia. To mogła być ustawka, w której ktoś bardzo się spieszył. To niemożliwe, by sąd zapoznał się z ponad 40 tomami akt w ciągu zaledwie trzech tygodni – mówi nam proszący o anonimowość jeden z warszawskich sędziów.

eprasa.pl 9c712df3b7



Duchowe dzieło IV Departamentu

Smarzowskiemu nie chodzi o oczyszczenie Kościoła. Bo kiedy atakuje się jakąś zbiorowość tak totalnie i uogólniająco, reakcją nie może być żadne katharsis, tylko zacięta obrona status quo. Reżyser o tym wie. Ale idzie mu nie o usunięcie brudu, tylko o wyzwolenie Polaków od religii



PIOTR SKWIECIŃSKI

Wokół „Kleru" Wojciecha Smarzowskiego niektórzy publicyści usiłują wykreować atmosferę dzieła nieledwie chrześcijańskiego, a co najmniej mogącego doprowadzić polski Kościół do ozdrowieńczego wstrząsu, katharsis.

Te interpretacje ocierają się o absurd, ale o tym w dalszej części tekstu. Tu podkreślmy, że działania ich autorów byłyby zapewne skuteczniejsze (naiwnych nie sieją, a siła emocjonalnego oddziaływania tego filmu jest wielka), gdyby sam reżyser podał tego rodzaju interpretatorom pomocną dłoń. Ten jednak nie tylko tego nie robi, lecz wręcz tak jakby z rozmysłem sabotuje robotę swoim niechcianym sojusznikom. Może czyni to z rozmysłem, a może to po prostu efekt infantylizmu (czego in-

eprasa.pl 9c712df3b7



Fot. Bartek Mrozowski

nego można się spodziewać po 55-latku, który określa się jako „Wojtek"). Tak czy inaczej Smarzowski w swoich wypowiedziach stawia kropkę nad i. „Czułem i czuję się osaczony Kościołem i religią", „nasze dzieci mają wyprane mózgi" (przez Kościół oczywiście), „hipokryzja dotyczy 90 proc. księży, pozostali są izolowani i mają zakaz wypowiedzi", „zmierzamy w kierunku wyznaniowego państwa totalitarnego" – to tylko niektóre z jego elukubracji niepozostawiających żadnego marginesu dla niepewności co do intencji, które przyświecały mu w czasie pracy nad „Klerem".

Oczywiście można na to odpowiedzieć dywagacjami, jak to reżyser podobno chciał czegoś innego, ale wyszło mu dzieło humanistyczne i tak naprawdę głęboko chrześcijańskie. Pozwolę sobie jednak określić takie koncepcje mianem naiwniutkich.

KOŚCIÓŁ, CZYLI AUTOMATYZM ZŁA

Obraz Kościoła, jaki Smarzowski przedstawia widzom, to bowiem obraz jednolicie ciemny, czarny wręcz. Choć nie jest prawdą, jakoby (co zdarzyło się napisać co bardziej krewkim recenzentom) wszyscy przedstawieni w filmie księża byli postaciami skończenie złymi. Tak nie jest (uwaga, od tego momentu będę bez litości spoilerować, czyli opisywać fabułę „Kleru", jeśli więc ktoś chce iść do kina i nie stracić tzw. suspensu, lepiej niech przerwie lekturę).

Dwóch kapłanów, początkowo na równi z innymi grzęznących w – jak wszelkimi siłami wtłacza widzom w głowy Smarzowski – typowym dla księżowskiego życia bagnie, ostatecznie przełamuje się, podejmuje decyzje wręcz heroiczne (jeden porzuca sutannę, by ratować przed aborcją spłodzone przez siebie dziecko, a drugi przystępuje do samobójczej szarży na kolegę kapłana, będącego uosobieniem pedofilsko-gangsterskiej mafii). Cóż z tego jednak, skoro oznacza to konflikt z całym Kościołem. Bo on jest uosobieniem zła (powtórzmy: Smarzowski bynajmniej nie ukrywa tego poglądu), dlatego wybierający stronę dobra kapłani to skazani na klęskę dysydenci-heretycy. Struktury Kościoła automatycznie stają po stronie zła, a przeciw wyzwalającym się z objęć tegoż zła księżom.

Można by oczywiście polemizować, mówiąc np., że artysta ma prawo do przerysowania. Bo – niby – tylko o przerysowanie chodzi. Smarzowski różne haniebne wyczyny niektórych przedstawicieli duchowieństwa wyostrza. Często poza granice fantazji – np. będący czymś w rodzaju obozu koncentracyjnego, prowadzony przez zakonnice, a zarządzany z ich polecenia przez kogoś w rodzaju kapo sierociniec te granice przekracza, lecz właśnie tylko przekracza, całkiem wymyślony nie jest, bo sławetna siostra Bernadetta działała przecież naprawdę i naprawdę krzywdziła dzieci. Ale wyostrzenie to nie jest wykreowanie czegoś z niczego.

Bo przecież istniał też i proboszcz z Tylawy, i inne przypadki pedofili, i afera Stella Maris, i zażyłość gdańskiej kurii (funkcjonującej tu po prostu tak, jak cała trójmiejska elita, ale tego Smarzowski jakoś nie dostrzega, no bo musiałby się wtedy narazić własnej duchowej ojczyźnie, jaką jest świat establishmentu III RP, a po co?) z mafiozem „Nikosiem". O chamskim i poniżającym podwładnych biskupie też wiadomo, o wchodzeniu części hierarchii w ryzykowne współdziałanie z podejrzanymi rekinami biznesu w celu zyskania finansowania gigantomańskich inwestycji również.

eprasa.pl 9c712df3b7

WYZWOLIĆ OD RELIGII

Chodzi jednak o nagromadzenie takich faktów, totalności i konsekwencji narracji Smarzowskiego, spoza której doprawdy nie widać innego kształtu Kościoła. Skłonni do unikania za wszelką cenę zwady ze światem artystycznym powiedzą, że to, iż przedstawiony w „Klerze” obraz Kościoła składa się w zasadzie wyłącznie z pedofilii, kradzieży, wymuszania pieniędzy od wiernych, ustawiania przetargów, współpracy z gangsterami i przede wszystkim wódki (wydaje mi się, że gdyby podliczyć ze stoperem w ręku czas poszczególnych sekwencji filmu, wyszłoby, że przez zdecydowaną większość tegoż czasu obecny jest alkohol, a główni bohaterowie znajdują się pod wpływem pewnie przez jakąś połowę projekcji) i odbywających się przed kościołami bójek w sztok pijanych księży, przeplatanych wielkopańskim „ustawianiem” policjantów, którzy oczywiście są wobec duchownych zwasalizowani – to tylko takie właśnie przerysowanie. Reżyser zaś dobrze wie, że kościelna średnia statystyczna jest inna, tylko po prostu skoncentrował w jednym miejscu najbardziej potworne przykłady księżowskich niegodziwości, bo tak go poruszyły. Albo i po to – powie ktoś dobrotliwy – żeby właśnie Kościołem wstrząsnąć i dać mu impuls do samooczyszczenia.

Ba, tyle że sam Smarzowski nie daje swoim wielbicielom możliwości takiego interpretowania własnych intencji. Jest przecież przekonany, że jego film „pokazuje Kościół takim, jaki jest naprawdę” – mówi o tym w „Newsweeku”.

I nie o żadne katharsis mu chodzi. Kiedy atakuje się jakąś zbiorowość tak agresywnie i właśnie całościowo, na takim stopniu uogólnienia, kiedy przedstawia się ją jako skończenie złą, nieledwie demoniczną organizację, której jakimś cudem wyzwalający się ze zła członek musi wypowiedzieć wojnę, bo ona jako całość zwraca się przeciw niemu, i w konsekwencji umrzeć (ksiądz, który wchodzi w starcie z kurialną mafią gangstersko-pedofilską podpala się w proteście w czasie uroczystej mszy inaugurującej budowę będącego oczkiem w głowie biskupa sanktuarium, którego makieta przypomina notabene niezrealizowany projekt Pałacu Rad, mający niegdyś stanąć w stalinowskiej Moskwie), to wtedy na katharsis nie sposób liczyć. Odwrotnie – psychologicznie najbardziej prawdopodobną reakcją jest zwarcie, obrona na zasadzie „zęby w tynk” i wybuch kontragresji.

Smarzowski nie wie, że taki musi być efekt jego dzieła? Ależ jestem pewien, że doskonale zdaje sobie z tego sprawę. On nie chce oczyszczenia Kościoła, tylko „wyzwolenia” Polaków z religii. Która – przypomnijmy – go „osacza”.

GÓRA LODOWA? RACZEJ NIE

W wywiadzie w „Newsweeku” Smarzowski (a podobne nadzieje wyraża spora części kreatorów liberalnej opinii) daje wyraz przekonaniu, że to, co obecnie wiemy o zjawisku pedofilii w polskim Kościele, to tylko wierzchołek góry lodowej. Właśnie w kontekście pedofilii mówi, że „w grupie hierarchów musi być wielu mających coś za uszami, bo to daje przyzwolenie reszcie”. I sugeruje, że jeśli w Australii, Ameryce czy Niemczech pedofilia duchownych była istotnym zjawiskiem, to nie ma przyczyny, dla której w Polsce miałaby być rzadsza.

Otóż jest to logika fałszywa, nieuwzględniająca różnic kulturowych. A te różnice bardzo uprawdopodobniają moim zdaniem tezę, iż i pedofilii, i innych ohydnych zjawisk było w polskim Kościele znacząco mniej niż w Kościołach zachodnich.

I wcale nie chodzi o to, żeby polska wiara była mocniejsza, a Polacy jako tacy lepsi od ludzi Zachodu. Przyczyna jest bardziej prozaiczna.

Po prostu większość polskiego Kościoła mniej więcej od klęski powstania listopadowego (a jeśli chodzi o zabór pruski – od Wiosny Ludów) funkcjonowała w sytuacji, w której otoczenie państwowe było mu jawnie wrogie. Potem była krótka pieredyszka okresu II Rzeczypospolitej, ale jeszcze potem kilka dekad komunizmu, a ten w pierwszym okresie był jawnie nastawiony wręcz na zniszczenie Kościoła, a w następnym – na uzależnienie go poprzez m.in. kompromitowanie duchowieństwa, wyciąganie mu różnych mogących je zdyskredytować spraw albo też szantażowanie księży posiadanymi kompromatami.

W efekcie wśród polskiego duchowieństwa ukształtowała się specyficzna kultura. Po pierwsze, zaryzykowałbym tezę, że funkcjonowanie w warunkach pewnej konfrontacji sprzyjało napływowi do seminariów typów bardziej nonkonformistycznych i ideowych niż na Zachodzie. Takie ludzkie typy rzadziej bywają skłonne do prywatnych podłości.

Po drugie zaś, była to kultura ostrożności i unikania sytuacji mogących stać się orężem dla przeciwnika. Oczywiście różnie z tym bywało, ale generalnie zmniejszało to skłonność księży do ulegania rozmaitym pokusom. Gdy zaś komunizm się skończył, prawie natychmiast ukształtowała się sytuacja ogromnej medialnej przewagi sił liberalnych, wprawdzie z Kościołem – do czasu – paktujących, ale zarazem ewidentnie mu nieżyczliwych czy wręcz wrogich, obawa przed którymi do pewnego stopnia zastąpiła strach przed SB i Urzędem ds. Wyznań. Dlatego nie sądzę, by liczby nadużyć tego rodzaju w Polsce mogły choć w przybliżeniu osiągać rozmiary takie jak w Kościołach zachodnich, ukształtowanych przez zgoła odmienne doświadczenia historyczne.

I jest jeszcze inna, głębsza, przyczyna. Idzie o pewną naszą kulturową cechę, jaką jest ogólna letniość. A ta letniość owocuje m.in. tym, że wśród Polaków relatywnie rzadziej niż wśród ludzi Zachodu pojawiają się postawy skrajne. W tym również – skrajne moralnie. Mówiąc krótko – w porównaniu ze społeczeństwami Zachodu (i Wschodu zresztą też) w naszym kraju jest mniej ludzi skrajnie złych, a także skrajnie dobrych. Rzadziej osiągamy oba ekstrema. Ma to różne, pozytywne i negatywne, skutki. Ale to zjawisko istnieje i uzasadnia, moim zdaniem, intuicję, że np. pedofilii w polskim Kościele było i jest znacząco mniej niż gdzie indziej. Choć powiedziawszy to, zauważmy zarazem, że byłoby z wszystkich możliwych względów znacznie lepiej, gdyby do zapowiadanego badania kościelnych archiwów pod kątem pedofilii Kościół dopuścił również przedstawicieli instytucji od niego niezależnych.

Ale z drugiej strony niewiele by to dało. Bo Smarzowski już przecież wieszczy, że jeśli wszelkie możliwe

eprasa.pl 9c712df3b7

audyty nie potwierdzą jego przeświadczenia o takim samym rozpowszechnieniu księżej pedofilii w Polsce jak na Zachodzie, to będzie to dowodem jedynie tego, że mafia w sutannach wyczyściła archiwa... Gdyby usłyszał coś podobnego, ale odnoszącego się do jakiegoś innego segmentu rzeczywistości, mówiłby zapewne o spiskowej paranoi.

ZAWIEDZIONE NADZIEJE

Nie tyle sam „Kler", bo Smarzowski zawsze był osobistym wrogiem Pana Boga, ile entuzjastyczna atmosfera, w której nastrojona twardo opozycyjnie część Polaków przyjmuje jego film, jest pokłosiem ogólnego przekonania liberalnych elit, według których istnieje integralny związek wpływów Kościoła z politycznymi wpływami PiS. Jest to przeświadczenie mało mądre, a to z dwóch powodów.

Po pierwsze, przecież w latach 90. wpływy Kościoła były większe. Społeczeństwo stopniowo się laicyzuje i dziś jest znacznie bardziej obojętne religijnie i mniej tradycjonalne, jeśli chodzi o osobisty styl życia, niż wtedy, kiedy prawica przegrywała wybory, a Jarosławowi Kaczyńskiemu zagrażała marginalizacja. A mimo to to właśnie dziś pisowska narracja odnosi triumfy.

Po drugie zaś, ten pogląd jest nieprawdziwy wręcz empirycznie. Bo Kościół instytucjonalny od wielu już lat od polityki wręcz stroni, czegoś takiego jak polityczna agitacja z ambon w skali większej niż niezwykle rzadkie, pojedyncze incydenty po prostu nie ma. Ogromna większość księży wręcz boi się tematów zatrącających o politykę. Bo nie chce zantagonizować jakiejkolwiek części wiernych i obawia się zwierzchników, którzy z reguły nie chcą tego jeszcze bardziej.

I dodajmy jeszcze coś. Za czasów Platformy wprawdzie nie cała kościelna hierarchia była z ówczesną władzą za pan brat, ale gdyby ocenić średnią statystyczną, to była daleka od kontestacji. I sądzę, że antykościelne emocje opozycji są w rzeczywistości właśnie z tym związane. Bo oni tak naprawdę nie mają do Kościoła pretensji o popieranie PiS, którego to wspierania w czasie wyborów w liczącej się skali nie było, a i dziś pozostaje ono wyspowe. Ich wściekłość wynika z tego, że liczyli na to, iż proces absorbcji hierarchów przez elity III RP zaowocuje jakąś formą widocznej akcesji Kościoła do obozu antypisowskiego. Nie chodzi im o rzekome spolityzowanie przekazu Kościoła, tylko o to, że im samym nie udało się doprowadzić do takiego spolitykowania. Tylko w przeciwnym kierunku.

„KAMULKAMI" I KAMERĄ

Tylko że przekonywanie o tym wszystkim Smarzowskiego mija się z celem. Bo on ma swoją prawdę, w którą, jak sądzę, szczerze wierzy. Jaka to jest prawda?

> Smarzowskiego wizja Kościoła jest niemal tożsama z wizją Kościoła, którą kreowali funkcjonariusze IV Departamentu peerelowskiego MSW

Tej „prawdy" nie trzeba szukać bardzo daleko. Została ona zapisana np. w protokołach z procesu toruńskiego, w którym sądzono morderców ks. Popiełuszki. W ich zeznaniach.

Bo Smarzowskiego wizja Kościoła jest niemal totalnie tożsama z wizją Kościoła, którą kreowali – ale w którą również szczerze, przynajmniej często i przynajmniej do pewnego stopnia, wierzyli – funkcjonariusze IV Departamentu peerelowskiego MSW. Tego powołanego do walki z Kościołem, tego, w którego składzie funkcjonowało sławetne Biuro „D" zajmujące się uprawianiem wobec duchownych terroru fizycznego.

To jest w zasadzie ten sam obraz wroga, obraz organizacji, której członkowie motywowani są bez reszty słynną triadą „korek, worek i rozporek", czyli wódka, kasa i seks. W ten – wyobrażony na wzór samego siebie – świat wtargnął niegdyś, postrzegający się chyba jako coś w rodzaju Charlesa Bronsona z „Death Wish", Grzegorz Piotrowski z drewnianą pałką i workiem pełnym, jak się sam wyraził „kamulków do nóżek", a teraz kierując się podobną motywacją Smarzowski z kamerą.

Napisałem „kierując się podobną motywacją", ale muszę niestety dokonać tu autokorekty. Nie jest to motywacja jedynie podobna, ale wręcz tożsama.

Bo Piotrowski kierował się nie tylko kulturową odrazą do chrześcijaństwa i nie tylko wizją „funkcjonariuszy kultu", dla których Święta Trójca to owe „korek, worek i rozporek". Kierował się też motywacją polityczną, wrogością wobec tych, którzy śmieli się przeciwstawić komunizmowi. Wydawałoby się, że akurat te emocje są Smarzowskiemu obce.

Ale nie. Smarzowski wręcz demonstracyjnie podpisuje się i pod tym elementem postrzegania świata kapitana Piotrowskiego.

Bo jak inaczej określić to, że ksiądz, który w „Klerze" (w tym miejscu nie od rzeczy będzie przytoczyć opinię szefa „Polityki" Jerzego Baczyńskiego, którego zdaniem ten film to współczesna inkarnacja... „Człowieka z marmuru") niegdyś, w latach 80., gwałcił jednego z bohaterów (wtedy ministranta, późniejszego księdza, tego, który w filmie pali się na kościelnej uroczystości), jest pokazany jako kapłan podziemnej „Solidarności", ewidentnie wzorowany przez reżysera na Jerzym Popiełuszce? Jest to młody (wówczas, w czasie stanu wojennego) ksiądz, duszpasterz zbuntowanych robotników. Świątynia, w której posługuje każdemu, kto bywał wtedy na warszawskim Żoliborzu, przypomina słynny kościół Stanisława Kostki. A odprawiana przez niego msza – tamtejsze msze za ojczyznę. Smarzowski dołożył naprawdę wielu starań, żeby wywołać to skojarzenie.

Doprawdy trudno więc mi określić go dziś inaczej niż jako duchowe i intelektualne dziecko IV Departamentu Służby Bezpieczeństwa, a jego film – jako manifestację tego ideologicznego pokrewieństwa. Co konstatuję zupełnie bez satysfakcji.

eprasa.pl 9c712df3b7



Stronnictwo rosyjskie nie jest w Polsce liczne, rozmaici outsiderzy z antyklerykalnej lewicy oraz nacjonalistycznej prawicy wylewający swoje frustracje na kremlowskich portalach nie tworzą znaczącej siły. Jednak to, że w podobnych kategoriach myśli o polskiej racji stanu spora część antypisowskiej opozycji, musi już budzić niepokój

Rosja, Urban, antypis

Fot. Piotr Molecki/East News



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Jerzy Urban wcale nie przepadł – jak niektórzy sądzili – w piekielnych czeluściach. Niedawno wyszedł na światło dzienne przy okazji premiery „Kleru" Wojciecha Smarzowskiego, a w wolnych chwilach zajmuje się m.in. komentowaniem polskiej polityki dla prokremlowskich mediów. Jego wypowiedzi pojawiają się co jakiś czas na łamach portalu Sputnik prowadzonego w języku polskim przez grupę Rossija Siegodnia. Jak nietrudno się domyślić, o atrakcyjności Urbana dla propagandy Kremla decyduje jego przeszłość i wrogi stosunek do polskiej rzeczywistości, a szczególnie do PiS i prawicy.

POLSKI KARZEŁEK

W rozmowie przeprowadzonej ze Sputnikiem w lutym tego roku Urban nazywa Polskę „karzełkiem, który nie ma znaczenia". „Rosja ma swoje doświadczenia historyczne z Polską, wie, że Polska była dla niej tylko wrzodem na dupie i zawsze miała z nią tylko kłopoty" – mówi w charakterystycznym dla siebie stylu. W jego opinii powinniśmy siedzieć cicho, bo zaczepiając Rosję, prowokujemy konflikt z Unią Europejską, który Moskwie jest na rękę. „Polską rządzą politycy gminni, co najwyżej powiatowi, którzy w ogóle nie rozumieją, że to, co czynią, może mieć niechciane skutki" – tłumaczy rosyjskiemu portalowi. Jasne jest zatem dla Urbana, że to Polska ponosi wyłączną odpowiedzialność za zły stan relacji z Rosją: „Rosja nie ma w Polsce żadnych interesów, wobec tego nie ma też żadnych powodów do wrogości, a wrogość jest prowo-

61/0918/F

eprasa.pl 9c712df3b7

kowana przez stronę polską" – mówi. „To normalny odruch polskich nacjonalistów" – dodaje.

Inaczej mówiąc, Polska to marginalny kraj, którego otumanione nacjonalistycznym kompleksem społeczeństwo nie pojmuje, że zawdzięcza swoją państwowość wyłącznie dobrej woli potężnych sąsiadów. Drażnienie ich własnymi postulatami i pretensjami może jednak wpędzić podskakującego zbyt wysoko „polskiego karzełka" w poważne tarapaty.

Prowadzący rozmowę jest najwyraźniej zadowolony z tych konkluzji, bo w pewnym momencie zaczyna nachalnie suflować Urbanowi tezę, że Amerykanie podsycają rusofobię w Polsce, aby uzasadnić rozmieszczenie tu swoich baz. Urban, początkowo ostrożny, odpowiada w końcu, że „gdyby doszło do konfliktu na szerszą skalę, to rozmieszczenie wojsk amerykańskich w Polsce byłoby poważniejszym casus belli, niż gdyby tych wojsk nie było".

A zatem wojska amerykańskie w Polsce są potencjalnym zagrożeniem. Pytanie: dla kogo? Jednak rosyjski portal więcej pytań nie ma. Bo i po co?

NIEBEZPIECZNE ZWIĄZKI

W innym z tekstów Sputnik towarzyszy Urbanowi w sądzie. Pracownik portalu relacjonujący proces Mateusza Piskorskiego (szefa prokremlowskiej partii Zmiana oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Rosji) wpadł bowiem na Urbana w windzie: „W naszym kraju wolność słowa staje się coraz bardziej zagrożona. Coraz trudniej represje polskiego wymiaru sprawiedliwości dokumentować. Coraz więcej porządnych ludzi spotyka się w polskim sądzie w charakterze ściganych przez prawo. Urban jest sądzony za nieprawomyślne poglądy na religię, Piskorski za poglądy polityczne, a może i ja będę za to, że o tym piszę?".

Autorem tych słów, podobnie jak wielu rozmów z Urbanem, jest niejaki Jarosław Augustyniak. Można o nim przeczytać na facebookowym profilu V Kolumna Kremla w Polsce. Dowiadujemy się stamtąd, że Augustyniak jest dziennikarzem i politykiem. Pracował w „Nie" (sam przyznał, że Urban zasnął na rozmowie kwalifikacyjnej), „Trybunie Robotniczej", „Trybunie" oraz portalu Lewica.pl. W 2006 r. kandydował do sejmiku województwa mazowieckiego z listy Polskiej Partii Pracy. Potem był w Polskiej Partii Socjalistycznej, którą opuścił w 2013 r. Co ciekawe, Jarosław Augustyniak okazyjnie trudni się aktorstwem – występował w paradokumentalnych serialach Polsatu typu „Trudne sprawy", „Dlaczego ja", czy „Pielęgniarki". A po starej znajomości przepytuje co jakiś czas Urbana dla prokremlowskich mediów.

Innym rozmówcą Urbana jest Leonid Sigan, przedstawiony jako znany dziennikarz Głosu Rosji, który pracuje w radiu już ponad 70 lat (sic!). Zaczynał w roku 1944 i choć ma dziś 95 lat, znany

REKLAMA



POLSKA REPREZENTACJA
GOTOWA NA ABU DHABI

ŚWIATOWE
LETNIE IGRZYSKA
Olimpiad Specjalnych
ABU DHABI 2019

TAURON

Światowe Letnie Igrzyska Olimpiad Specjalnych, 14-21 marca 2019
7000 sportowców z niepełnosprawnością intelektualną
170 krajów | 64 zawodników z Polski

PARTNER KAMPANII #GrajmyRazem
Ministerstwo Sportu i Turystyki
Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych

#GrajmyRazem
www.OlimpiadySpecjalne.pl

Olimpiady Specjalne Polska

Fot.: A. Nurkiewicz, ©AKPA

eprasa.pl 9c712df3b7

jest z tego, że ciągle bywa w redakcji i na dodatek bardzo przejmuje się polskimi sprawami (pisał m.in. o „tragicznej sytuacji" polskich rolników po ostatniej suszy). Sigana najbardziej interesują poglądy Urbana na kwestie reparacji i stosunków polsko-niemieckich. Urban odpowiada mu, że „żądania reparacji są idiotyczne, nieskuteczne i nie mają innych skutków, jak tylko psucie stosunków polsko-niemieckich, a pośrednio także Polski z Unią Europejską".

„Zabawy w reparacje są Polsce nienależne w sensie prawnym i nienależne w sensie moralnym, bo Polska przejęła znaczną część ziem należących niegdyś do Niemiec" – tłumaczy Urban dawnemu sowieckiemu „dziennikarzowi" i dodaje, że „Polska prowadzi politykę arogancką i śmieszną, zważywszy na kaliber naszego państwa". Żałuje też (w innej rozmowie ze Sputnikiem), że „język rosyjski wyparował z Polski".

SIEDZIEĆ CICHO

Wypowiedzi Urbana potwierdzają jedynie, że jest on reliktem epoki Peerelu. Ten głęboko zakorzeniony strach przed wielkim sąsiadem, który Urban nazywa realizmem, doprowadził w grudniu 1981 r. do pacyfikacji własnego społeczeństwa przez ekipę Jaruzelskiego, czego zresztą Urban gorąco bronił i nadal broni. Nic tutaj się w jego poglądach nie zmieniło, co skrzętnie wykorzystuje rosyjska propaganda.

Jednak w przekonaniu o marginalnym znaczeniu „polskiego karzełka" i ryzyku, jakie niesie jakakolwiek próba podjęcia podmiotowej polityki, Urban zbliża się do antypisowskiej opozycji. Antypisowcy również przecież boją się samodzielności Polski. Tę zbieżność można dostrzec chociażby w wypowiedziach Donalda Tuska. W czerwcu w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" wyraził on myśl dość powszechną w jego środowisku politycznym. Taką mianowicie, że prowadzenie sporów z Brukselą jest działaniem na rzecz rozsadzenia Unii, co może się skończyć marginalizacją, a nawet wyjściem Polski ze wspólnoty.

Z tego punktu widzenia najlepszym zabezpieczeniem przyszłości Polski jest jej rozpuszczenie się w europejskim sosie. Polska – zupełnie jak u Urbana – niczym nie różni się od Malty czy Łotwy, które – choćby z uwagi na swoje gabaryty – nie są w stanie prowadzić podmiotowej polityki. I dlatego Polska, tak jak Malta czy Łotwa, powinna siedzieć cicho. Echa tego myślenia pojawiły się w słynnej już wypowiedzi kandydata na prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego (PO), który stwierdził, że nie potrzeba nam nowego portu lotniczego, bo przecież niedługo będziemy mieli lotnisko w Berlinie.

> W rozmowie ze Sputnikiem Urban nazywa Polskę „karzełkiem". Jesteśmy marginalnym krajem, który nie pojmuje, że zawdzięcza swoją państwowość wyłącznie dobrej woli potężnych sąsiadów

CO ŁĄCZY URBANA Z ANTYPISEM

Oczywiście są i różnice. Platforma (ani – szerzej – antypisowcy) nie nawołuje, w odróżnieniu od Urbana, do bezpośredniego układania się z putinowską Rosją. Wyjątkiem był senator Maciej Grubski, który miesiąc temu w rozmowie ze Sputnikiem domagał się rewizji polskiej polityki wobec Moskwy i wyraził publicznie „pełen szacunek do prezydenta Rosji", za co został zresztą usunięty z szeregów PO. Jednak trudno tu nie przypomnieć, że jeszcze w 2015 r., tuż po zwycięstwie PiS, Platforma atakowała prawicę za „rozpętywanie wojny" z Rosją. Ta retoryka zmieniła się później o 180 stopni, przybierając ostatecznie znaną nam dziś formę absurdalnego oskarżania PiS o sojusz z Putinem.

Oskarżenia te nie przeszkodziły jednak Grzegorzowi Schetynie w nawoływaniu do przywrócenia małego ruchu granicznego z obwodem kaliningradzkim. Podobnie jak nie przeszkodziły zbliżonemu do opozycji generałowi rezerwy Mirosławowi Różańskiemu sprzeciwiać się zbudowaniu w Polsce stałej bazy wojsk amerykańskich. Nie wynika to jednak – moim zdaniem – z jakiejś sympatii do Rosji. To po prostu odbicie strategii PO, która w swojej polityce orientuje się na Niemcy. A Niemcy, pomimo zastrzeżeń do putinowskiego stylu sprawowania władzy, widzą w Rosji ważnego politycznego partnera. Skoro więc tak, to nie należy utrudniać dialogu między Moskwą a Berlinem. Polska jest przecież „karzełkiem", którego te dwa państwa mogą w każdej chwili zgnieść.

Upraszczając, można stwierdzić, że Urbana i antypisowców łączy, poza nienawiścią do prawicy, dość podobne rozumienie racji stanu. Polegać ma ona na podporządkowaniu interesów państwa oczekiwaniom silniejszych sąsiadów. W przypadku Urbana wynika to – jak można się domyślać – z jego peerelowskiej przeszłości i zakorzenionego strachu przed towarzyszami radzieckimi, w przypadku PO jest to raczej dość cyniczne postawienie na „opcję niemiecką", która daje jakąś nadzieję na powrót do władzy. Niezależnie jednak od motywów rezultat obu strategii będzie zbliżony i doprowadzić może do faktycznej wasalizacji Polski przez silniejszego sąsiada.

Oczywiście realizm w polityce międzynarodowej jest pożądany, należy mierzyć siły na zamiary, rozważać różne scenariusze, czasem się wycofać, ale wywieszanie białej flagi – podobnie zresztą jak wybuchy tromtadracji – nie mogą się stać podstawową strategią.

Stronnictwo rosyjskie nie jest dziś w Polsce liczne, rozmaici outsiderzy z antyklerykalnej lewicy oraz nacjonalistycznej prawicy wylewający swoje frustracje na kremlowskich portalach nie tworzą żadnej znaczącej siły. Jednak to, że w podobnych kategoriach myśli o polskiej racji stanu spora część antypisowskiej opozycji, musi już budzić niepokój.

32/0918/F

eprasa.pl 9c712df3b7

Taką energię pamiętamy!

O poświęceniu naszych przodków w imię ojczyzny nigdy nie należy zapominać. Pamięć o ich niezwykłych czynach przekazujemy z pokolenia na pokolenie. Z ich bohaterskiej historii czerpiemy odwagę i inspirację, by nigdy się nie poddawać.

Takie wartości cenimy i dla takiej Polski chcemy dzielić się dobrą energią.

Wspieramy pamięć o bohaterach.

100 NIEPODLEGŁA!



"Naród, który nie szanuje swej przeszłości nie zasługuje na szacunek teraźniejszości i nie ma prawa do przyszłości."

J. Piłsudski

Energa

www.energa.pl

eprasa.pl 9c7120f307

Państwo równoległe

Najbliższe wybory samorządowe mogą mieć takie znaczenie jak te pierwsze po reformie samorządowej w 1999 r. Z jednej strony toczy się bój o możliwość dokończenia rządów dotychczasowych układów i ich „skapitalizowania", a z drugiej – o uniemożliwienie im tego i przywrócenie normalności



Fot. Adam Wasilewski/Shutterstock.com, Andrzej Wiktor



STANISŁAW JANECKI

Platforma Obywatelska w miastach, Polskie Stronnictwo Ludowe na wsi i w Polsce gminnej, PO-PSL w województwach i powiatach – koalicja rządząca Polską w latach 2007–2015 wciąż rozdaje karty w samorządach. W wielu miejscach ta koalicja (czasem uzupełniona o inne ugrupowania, a czasem zmonopolizowana przez jednego z koalicjantów) ulokowała się zresztą długo przed opanowaniem władzy centralnej. I tworzy państwo równoległe. Ale wbrew temu, co na partyjnych imprezach opowiada Grzegorz Schetyna, nie jest to państwo uczciwe, przejrzyste, gospodarne, wolne od korupcji i nepotyzmu, wsłuchane w głos mieszkańców i skoncentrowane na konkretnych zadaniach. Przede wszystkim to państwo sitw i związanych z nimi patologii. Ten model realizuje nie tylko wspomniana koalicja, lecz także różne lokalne układy, które albo istniały od końca PRL, albo wyemancypowały się z partii – głównie dlatego, żeby nie dzielić się łupami z partyjnymi centralami.

Właśnie w takim krajobrazie toczy się kampania samorządowa, co oznacza, że w wyborach 21 października i 4 listopada 2018 r. (druga tura) chodzi

eprasa.pl 9c712df3b7

także – a może głównie – o likwidację, a przynajmniej znaczące pomniejszenie równoległego państwa. Właśnie ze względu na jego „patogenność" i pasożytnictwo. Taki był zresztą cel nowelizacji kodeksu wyborczego, kiedy wydłużono kadencje w samorządach do pięciu lat, a jednocześnie ograniczono je do dwóch. Dlatego w najbliższych wyborach samorządowych z jednej strony toczy się bój o możliwość dokończenia rządów dotychczasowych układów i ich „skapitalizowania" (choćby pozostała po nich spalona ziemia), a z drugiej – o uniemożliwienie im tego i przywrócenie normalności.

KLIENTYSTYCZNE SIECI

Dlaczego wielu wójtów, burmistrzów i prezydentów oraz wspierające ich rady bądź sejmiki mogły wygrywać kolejne wybory i z każdą kolejną kadencją coraz bardziej zamieniać samorządy w udzielne księstwa? Odpowiedź można by ograniczyć do dwóch słów: układ i klientyzm. I to był oraz wciąż jest prawdziwy problem polskich samorządów, a właściwie ich największa patologia. Układy i sieci klientystyczne w Polsce samorządowej działają tak, że niewielka grupa faktycznie na tym korzysta, a duża część żyje złudzeniami i nadzieją, iż może skorzystać.

I te złudzenia są sprytnie podtrzymywane, bowiem co jakiś czas ktoś spoza układu coś zyskuje, żeby rozeszła się wiadomość, iż system nie jest zamknięty na przeciętnych mieszkańców. To klasyczna metoda utrzymywania bezpiecznego poziomu poparcia oraz trzymania własnego zaplecza w gotowości do bronienia układu i głosowania na niego. De facto to system w pełni oligarchiczny, pasożytniczy, patologiczny i zamknięty, ale na zewnątrz bardzo dba o to, żeby uchodzić za demokratyczny, otwarty i przynajmniej pozornie sprawiedliwy.

Kiedy się rządzi przez np. 20 lat, jak prezydent Gdańska Paweł Adamowicz czy prezydent Sopotu Jacek Karnowski, nie tylko ma się szeroką wiedzę o elektoracie, ale przede wszystkim sprawdzone metody manipulowania ludźmi poprzez umiejętne sterowanie ich złudzeniami, nadziejami i obawami. Umiejętnie wykorzystuje się też lokalny patriotyzm, bo przecież ci z Warszawy nie mogą bezkarnie bić naszego, choćby nie miał on najlepszej opinii. Dlatego różni lokalni włodarze przedstawiają się jako ofiary władzy centralnej, która miesza się w sprawy samorządowe i próbuje rozgrywać lokalną społeczność. A przecież lokalna władza jest oddana mieszkańcom i dba tylko o ich dobro.

Paweł Adamowicz w Gdańsku czy Hanna Gronkiewicz-Waltz w Warszawie mogli się bawić w ciuciubabkę z wymiarem sprawiedliwości, mogli kpić z opozycji i w swoich miastach robić praktycznie, co chcieli, gdyż on przez 20 lat, a ona przez 12 lat urzędowania stworzyli samowystarczalną sieć wzajemnych usług i zależności. Gdyby nie afera Amber Gold i występy Adamowicza w roli burłaka ciągnącego samolot jej spółki córki, gdyby nie afera reprywatyzacyjna w Warszawie i opinie o niej wygłaszane przez Gronkiewicz-Waltz, pewnie żaden organ państwa nie zwróciłby uwagi na „niekompletne" oświadczenia majątkowe (prokurator zainteresował się nimi dopiero w marcu 2015 r.) prezydenta Gdańska i parasol rozpięty nad patologiami przez prezydent stolicy. Ale mimo działań prokuratury i komisji ds. Amber Gold oraz ds. weryfikacji decyzji reprywatyzacyjnych, Adamowicz i Gronkiewicz-Waltz mogą nadal demonstrować tupet i kpić z wymiaru sprawiedliwości. A Paweł Adamowicz kandyduje nawet na szóstą kadencję.

> Sitwy w samorządach nie dbają o ich rozwój, a przynajmniej nie jest to ich priorytet, lecz o to, żeby nikt z zewnątrz nie przerwał ich interesów ani nie prześwietlił tego, co przez lata robiły

Wygląda na to, że organy państwa są bezradne, a sporej części mieszkańców Gdańska nic nie przeszkadza w popieraniu obecnego prezydenta, części mieszkańców Warszawy zaś nie przeszkadza to, że Rafał Trzaskowski tylko dopełni rządy Hanny Gronkiewicz-Waltz, wchodząc w jej buty i układy, bo przecież własnych nie ma.

POLSKA MAŁYCH SYCYLII

Paweł Adamowicz w Gdańsku czy Jacek Majchrowski w Krakowie (rządzący od 16 lat) są dowodem na to, że nawet w miastach liczących prawie pół miliona i ok. 750 tys. mieszkańców można wygrać wybory w oparciu o wypracowane latami sieci zależności oraz klientelę, choć przecież ratusz bezpośrednio nie uzależnia od siebie aż tylu osób, np. przez posady i różne beneficja, żeby w wyborach stanowili większość.

Ale jednak stworzono mechanizmy, dzięki którym wystarczająca liczba wyborców uważała, że głosowanie na Adamowicza czy Majchrowskiego się opłacało, albo byli przekonani, iż niegłosowanie na nich mogłoby zaszkodzić. Formalnie głosowanie jest tajne, ale mieszkańcy (także w wielu innych miastach i miasteczkach w Polsce) są przekonani, że lokalny układ i główny boss mają sposoby, by się dowiedzieć, jak głosowali. Dlatego wolą nie ryzykować, bo przecież prawie każdy ma coś do załatwienia w ratuszu czy urzędzie, liczy na przychylność w różnych sprawach albo całkiem otwarcie na dowody wdzięczności, choćby było to iluzoryczne. Czy przypomina to południowe Włochy, a szczególnie Sycylię? Jak najbardziej. Ten system tak działa, żeby mieszkańcy byli przekonani, iż jest wszechmocny, nietykalny i nie do obalenia.

Długo urzędujący prezydenci miast (ale także marszałkowie województw, np. Adam Struzik z PSL) stają się swego rodzaju lokalnymi udzielnymi książętami. Nie tylko kontrolują wszystko to, co dzieje się na ich terenie, i mają wystarczająco dużo uzależnionych od siebie ludzi, lecz również utrzymują dwór i całkiem ostentacyjnie panują. Wizerunek i styl zachowania księcia ułatwia rządzenie

eprasa.pl 9c712df3b7

i wzmacnia respekt poddanych. A jeśli książę może sobie bezkarnie igrać z władzą centralną, jego pozycja jeszcze się wzmacnia.

Z czasem rośnie też liczba współodpowiedzialnych za to, co robi książę, także w sensie odpowiedzialności prawnej. Bo ktoś taki dąży do umoczenia jak największej liczby swoich dworzan, żeby wspólnota umoczonych była wobec siebie lojalna i w razie kryzysu nikt nie sypał. Dlatego tak trudno jest przerwać zmowę milczenia w lokalnym układzie bądź sitwie. Wszyscy mają bowiem coś do stracenia. Mają z tego powodu, że funkcjonująca przez wiele lat sitwa wciąga coraz więcej osób w szarą strefę, gdzie są prawdziwe nieopodatkowane pieniądze. A duże pieniądze oznaczają jeszcze większy stopień umoczenia i wymuszają jeszcze większą lojalność oraz szczelność układu, co przez lata było widać w Warszawie. I wówczas tworzy się nowa jakość, którą zasadnie można nazywać mafią, gdyż jest połączeniem legalnej władzy, części wymiaru sprawiedliwości i organów ścigania, bossów przestępczości, którzy z czasem stali się zwykłymi biznesmenami, oraz różnych „autorytetów" (w roli osłony).

Im dłużej ktoś jest lokalnym księciem, tym więcej ma do stracenia i ukrycia. I tym bardziej wzrasta lojalność oraz szczelność układów. A ponieważ były one w zasadzie samowystarczalne i mogły liczyć na dostateczne poparcie wyborców, ich liderzy mogli mieć w nosie wszelkie reguły i otwarcie kpić z tych, którzy próbowali z układami negocjować.

W najbliższych wyborach samorządowych jest szansa, żeby to wszystko przeciąć, żeby Polska samorządowa przestała być Polską sitw. Ale obecne układy, ograniczone perspektywą dwukadencyjności, będą rabunkowo konsumowały samorządowy majątek, żeby zabezpieczyć się po odejściu, aby maksymalnie wykorzystać wypracowane przez lata przewagi.

PIRAMIDY PRÓŻNOŚCI I POSTĘPOWE EKSPERYMENTY

Sitwy w samorządach nie dbają o ich rozwój, a przynajmniej nie jest to ich priorytet, lecz o to, żeby nikt z zewnątrz nie przerwał ich interesów ani nie prześwietlił tego, co przez lata robiły. Dlatego wiele z nich chce przetrwać jeszcze 10 lat. Ale groźne są nie tylko sitwy i układy klientystyczne, lecz także te posunięcia samorządowych włodarzy, których efektem nie są użyteczne inwestycje, lecz piramidy próżności lub budowle kontrfunkcjonalne.

Czymś takim jest wielki (owszem – nowoczesny), ale słabo wykorzystany dworzec Łódź Fabryczna. Czymś takim jest przylepiony do ciągu galerii handlowych dworzec Poznań Główny.

> Układy i sieci klientystyczne w Polsce samorządowej działają tak, że niewielka grupa faktycznie na tym korzysta, a duża część żyje złudzeniami i nadzieją, iż może wkrótce na tym skorzystać. I te złudzenia są sprytnie podtrzymywane

Jeszcze gorzej, gdy samorządy nie zajmują się rozwojem swoich jednostek, tylko są poligonami „postępowych" eksperymentów, jak było i jest w Poznaniu pod rządami Jacka Jaśkowiaka, w Częstochowie Krzysztofa Matyjaszczyka, w Łodzi Hanny Zdanowskiej, we Wrocławiu Rafała Dutkiewicza, w Bydgoszczy Rafała Bruskiego, w Słupsku Roberta Biedronia, w Ostrowie Wielkopolskim Beaty Klimek, w Starachowicach Marka Materka, w Mielcu Daniela Kozdęby, w Dąbrowie Górniczej Zbigniewa Podrazy, w Wadowicach Mateusza Klinowskiego, w Gorlicach Rafała Kukli, w Wołominie Elżbiety Radwan, w Sejnach Arkadiusza Nowalskiego, w Braniewie Moniki Trzcińskiej czy w Czersku Jolanty Fierek. Owe postępowe eksperymenty są pod ochroną partyjnych central, głównie Platformy i SLD. I są tym bardziej rozwijane, im bardziej jest to w kontrze do polityki rządu.

W kontrze do polityki rządu Zjednoczonej Prawicy funkcjonuje też często samorządowe państwo równoległe w kwestiach inwestycji czy wydatkowania środków europejskich. Samorządy nie wnoszą środków własnych na inwestycje, przez co niewykorzystane są pieniądze z Unii Europejskiej. I często winą za to obarczane są władze centralne, choć one akurat mobilizują samorządy. Jak we wrześniu 2018 r. stwierdził minister inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński, Polska może w ten sposób stracić 400 mln euro, zaś 900 mln trzeba będzie przesunąć do innych regionów. Nie radzą sobie województwa (rządzone przez PO-PSL) kujawsko-pomorskie, lubelskie, podlaskie, świętokrzyskie, warmińsko-mazurskie.

Ta krótkowzroczna polityka, głównie w wydaniu PO i PSL, dla mieszkańców oznacza straty i stagnację, ograniczenie możliwości inwestycyjnych, spowolnienie tempa modernizacji. Przetrwanie w samorządach równoległej władzy, przede wszystkim PO-PSL, oznacza, że władza centralna jest znacznie mniej skuteczna, niż mogłaby być, a samorządowe patologie idą także na jej konto, bo Polacy na dole nie widzą często zachodzących zmian.

Najbliższe wybory samorządowe będą de facto walką z nieefektywnym, nieprzejrzystym państwem równoległym, ale przede wszystkim bitwą z patologiami rozwijanymi i umacnianymi przez kilkanaście lat, a nawet dłużej. Zmiany w kodeksie wyborczym i ograniczenie władzy samorządowej do dwóch kadencji mogą podziałać jak nowe otwarcie. Mogą zachęcić wyborców do głosowania za zmianami, które przynajmniej ograniczą władzę sitw i lokalnych mafii. Nowym włodarzom w samorządach będzie znacznie trudniej obrosnąć układami, bo będą znacznie lepiej kontrolowani i prześwietlani. Dotychczasowi często kontrolują także kontrolujących, mają swoich ludzi w sądach, przez co są praktycznie bezkarni. Najbliższe wybory samorządowe mogą mieć zatem takie znaczenie jak te pierwsze po reformie samorządowej w 1999 r.

eprasa.pl 9c712df3b7

Szansa na stypendia i granty Enei Akademii Talentów

Trwa nabór zgłoszeń do drugiej edycji Enei Akademii Talentów. Poszukiwani są młodzi ludzie, którzy chcą się rozwijać w kierunkach naukowych, dyscyplinach sportowych i sztuce oraz szkoły z pomysłami na rozwijanie pasji swoich uczniów. Na chętnych czekamy do 15 października



Wybrani laureaci podczas podsumowania pierwszej edycji Enei Akademii Talentów

Fot. Materiały prasowe | 22/0818/F

Do programu mogą się zgłaszać uczniowie szkół podstawowych (od V klasy wzwyż) i gimnazjów, którzy mają udokumentowane osiągnięcia i rozwijają swoje talenty w nauce, sztuce lub sporcie. Do udziału zapraszamy także publiczne szkoły podstawowe i gimnazjalne, które realizują autorskie projekty edukacyjne, wspierające rozwój zainteresowań i umiejętności uczniów w jednej z trzech kategorii: nauka, sztuka, sport. Utalentowani młodzi ludzie otrzymają stypendia w wysokości 3 tys. zł, szkoły – granty o wartości 10 tys. zł.

Enea Akademia Talentów przeznaczona jest dla uczniów i szkół z tych obszarów Polski, na których Grupa Enea jest szczególnie aktywna biznesowo. To przede wszystkim województwa północno-zachodnie, a także okolice Kozienic, Połańca, Białegostoku i Łęcznej na Lubelszczyźnie.



Zainteresowani mogą się zgłaszać wyłącznie przez stronę internetową: www.enea.pl/pl/akademiatalentow. Do formularza aplikacyjnego należy dołączyć rekomendację podpisaną przez dyrektora szkoły, nauczyciela lub opiekuna merytorycznego ucznia. Do drugiego etapu jury wybierze maksymalnie 36 uczniów i 30 szkół. Finaliści będą mieli za zadanie przygotować film, w którym pokażą swój pomysł na wykorzystanie stypendium i rozwijanie zainteresowań uczniów.

– Przygotowane dla młodych ludzi stypendia i granty są przeznaczone na realizację konkretnych działań, dzięki którym laureaci Enei Akademii Talentów będą mogli spełniać swoje naukowe i artystyczne marzenia, bić kolejne rekordy sportowe – mówił Piotr Adamczak, wiceprezes ds. handlowych Enei. – Wspieranie młodych jest inwestycją, która będzie procentować w przyszłości. Dlatego pomagamy utalentowanym dzieciom, wspierając rozwój ich pasji i zainteresowań – dodał Piotr Adamczak.

Do pierwszej edycji Enei Akademii Talentów zgłosiło się blisko 200 uczniów i 50 szkół.

– Wybraliśmy najlepszych, wsparcie finansowe otrzymało 22 uczniów i 9 szkół – podsumował Sławomir Krenczyk, prezes Fundacji Enea. – Laureaci to umysły ścisłe i humaniści, młodzi wynalazcy i innowatorzy, muzycy oraz miłośnicy fotografii, a także sportowcy. Druga edycja Enei Akademii Talentów to nowa szansa na granty i stypendia. Zachęcam do zgłaszania się – mówił Sławomir Krenczyk.

Najlepsi zostaną wybrani przez jury oraz internautów. Zwycięzców – uczniów i szkoły – poznamy 21 stycznia 2019 r.

Więcej informacji oraz regulaminy konkursu znajdują się na stronie www.enea.pl/pl/akademiatalentow.

Organizatorami programu są Fundacja Enea oraz Enea S.A. Patronat honorowy nad Eneą Akademią Talentów objęli: minister energii, minister edukacji narodowej, Rzecznik Praw Dziecka, kuratorzy oświaty: wielkopolski, zachodniopomorski, podkarpacki, świętokrzyski, lubuski, kujawsko-pomorski oraz mazowiecki.

eprasa.pl 9c712df3b7



Poseł PiS Wojciech Buczak (na zdj.), kandydat na prezydenta stolicy Podkarpacia, prowadzi dobrą i dynamiczną kampanię. To może być jednak za mało, aby wygrać z obecnym lokatorem ratusza, który swoją pozycję budował 16 lat

Fot. East News/Krzysztof Kapica

Czy PiS odbije Rzeszów



JAROMIR KWIATKOWSKI

Faworytem wyborów prezydenckich w Rzeszowie jest Tadeusz Ferenc. Najstarszy prezydent w Polsce; 10 lutego skończył 78 lat. Gdyby wygrał, byłaby to jego piąta kadencja. Tylko w 2002 r., kiedy ubiegał się o prezydenturę w Rzeszowie jako poseł SLD, potrzebna była druga tura. W kolejnych wyborach wygrywał zawsze w pierwszej, w 2006 i 2014 r. deklasując rywali (uzyskał wtedy odpowiednio 76,3 i 66,3 proc. głosów). – Dopóki żyje, jest bezkonkurencyjny, czy to się komuś podoba, czy nie – uważa Maciej Łobos, rzeszowski architekt.

UŚMIECHNIE SIĘ DO DUCHOWNYCH I DO LGBT OKO PUŚCI

Aby zrozumieć, jak to się dzieje, że w stolicy Podkarpacia, będącego bastionem PiS, od kilkunastu lat rządzi lewicowy prezydent, trzeba się przyjrzeć jego nietuzinkowej osobowości. Niewątpliwie do swojej obecności w życiu publicznym ma podejście pragmatyczne. Jest członkiem SLD (zasiadał nawet w Radzie Krajowej), ale nigdy nie starał się tych związków eksponować. Co raz to puszcza oko do lewicy. Na przykład wtedy, gdy latem ubiegłego roku jako jeden z 12 prezydentów miast zadeklarował chęć przyjęcia uchodźców i powtarzał, że kto jest przeciw nim, „ten tuman". Albo – jak w końcu czerwca tego roku – kiedy udostępnił ratusz uczestnikom I Marszu Równości w Rzeszowie na debatę „Jak być sojusznikiem osób LGBT".

Nie przeszkadza mu to pozostawać w dobrej komitywie z wieloma ważnymi przedstawicielami rzeszowskiego duchowieństwa, żegnać pielgrzymki piesze na Jasną Górę czy uczestniczyć co roku w Boże Ciało w wielkim koncercie ewangelizacyjnym Jednego Serca, Jednego Ducha. A kiedy jesienią ubiegłego roku ważył się los pomnika Jana Pawła II we francuskim Ploërmel, Tadeusz Ferenc w liście do ówczes-

eprasa.pl 9c712df3b7

nej premier Beaty Szydło wyraził chęć przyjęcia monumentu do Rzeszowa.

Gdyby zapytać przeciętnego mieszkańca Rzeszowa o zalety prezydenta Ferenca, niemal wszyscy zgodnie odpowiedzą: „Jest świetnym gospodarzem". Faktycznie, jeżeli chodzi o stan dróg i estetykę miasta, ma się czym pochwalić. Nawet jego przeciwnicy nie zaprzeczą, że Rzeszów jest miastem czystym, schludnym, ukwieconym i może się podobać przyjezdnym. Zwłaszcza gdy wpadli do niego jedynie na chwilę lub po wieloletniej przerwie.

Podczas objazdów po Rzeszowie Ferenc zwraca uwagę nawet na drobne usterki (typu: przekrzywiony znak) i natychmiast nakazuje miejskim służbom ich naprawę. Nawet w nocy. Prezydent znany jest z nieparlamentarnego języka, jakim obsztorcowuje podległych mu urzędników. Co – paradoksalnie – podoba się mieszkańcom, którzy komentują, że „wreszcie ktoś pogonił tych darmozjadów do roboty".

Dr Paweł Kuca, politolog z Uniwersytetu Rzeszowskiego, przyznaje, że Tadeusz Ferenc potrafi tworzyć nośne idee, np. „Rzeszów musi być większy". To są, zdaniem politologa, słowa klucze, pod którymi każdy się podpisze. No i niespełna 200-tysięczny Rzeszów za kadencji obecnego gospodarza stał się większy. Dziś, w co trudno może uwierzyć, zajmuje powierzchnię większą niż ponad 10-krotnie liczniejszy Paryż – odpowiednio 120,4 i 105,4 km kw. A że prezydent dokonał tego w kiepskim stylu, z pozycji siły, to inna sprawa...

– Możemy się na różne rzeczy w Rzeszowie skarżyć, ale nie da się ukryć, że miasto kwitnie. Jest praca, dynamizm, pojawiają się nowe firmy – zauważa Maciej Łobos.

Ten rozkwit nie zawsze jest zasługą wyłącznie prezydenta. Jego kontrkandydat, Wojciech Buczak, zauważa, że największe inwestycje rzeszowskie – w transport zbiorowy czy na uczelniach – są finansowane głównie z programu Rozwój Polski Wschodniej. – Dzieje się to przy współudziale miasta, ale z inicjatywy władz wojewódzkich. To nie jest zasługa prezydenta, lecz wielu ludzi i środowisk – podkreśla poseł PiS. Paweł Kuca dorzuca do tego specjalną strefę ekonomiczną w podrzeszowskiej Jasionce, która też idzie na jego konto.

A że te zasługi przypisywane są włodarzowi Rzeszowowi nieco na wyrost? Politolog z UR podkreśla, że takich szczegółów ludzie nie analizują. Oceniają miasto po tym, co widzą. A widzą, że Rzeszów się rozwija. – Uosobieniem tego rozwoju jest dla nich prezydent – podkreśla Kuca.

NIKOGO NIE SŁUCHA, WSZYSTKO WIE NAJLEPIEJ

Czy to oznacza, że na prezydenturze Tadeusza Ferenca nie ma żadnych rys? Są, jest ich sporo. Nie wszystkie docierają do opinii publicznej, także dlatego że rzeszowskie media generalnie są prezydentowi nad wyraz przychylne. Pamiętam, jak kilka lat temu podczas spotkania noworocznego z dziennikarzami w ratuszu ówczesny prezes publicznego Radia Rzeszów, były działacz SLD, wzniósł toast, który zakończył słowami: „Wiwat prezydent!". Poczułem się wtedy, jak u północnokoreańskiego dyktatora. A takich lizusów jest w Rzeszowie sporo – prezydent jest przez nich otoczony swoistym kultem jednostki. Ostatnio miałem wątpliwą przyjemność przeczytać na Facebooku wykwity wazeliniarstwa jednego z radnych, który umieścił zdjęcie Tadeusza Ferenca z podpisem: „Najlepsze, co spotkało Miasto Rzeszów i jego Mieszkańców – Tadeusz Ferenc. Oby jak najdłużej". Czytając takie peany, robi się człowiekowi niedobrze.

Ale wracajmy do prezydenckich słabości. Pierwsza to styl zarządzania. Tajemnicą poliszynela jest, że prezydent nikogo nie słucha i jest przekonany, że wszystko wie najlepiej. Nie przyjmuje głosów krytycznych, nie zastanawia się nad nimi. Na krytykę najczęściej reaguje inwektywami, jak ta o „tumanach". Przekaz jest prosty: każdy, kto skrytykuje jakąś ideę ratusza, nie chce rozwoju Rzeszowa. Czyli jest szkodnikiem.

Wszyscy moi rozmówcy wskazują na piętę achillesową Rzeszowa, jaką jest kształtowanie przestrzeni miasta. A w zasadzie jego brak. Jest raczej – jak to określa Łobos – „żywioł deweloperski", który robi w Rzeszowie, co chce. Nie jest to wyłącznie problem Rzeszowa i tylko po części wynika on z polityki władz miasta, gdyż – zdaniem architekta – winne temu stanowi rzeczy jest także złe prawo. Faktem jest jednak, że nie zawsze należy przychylać nieba deweloperom, a prezydent to czyni. Maciej Łobos postuluje powrót do instytucji architekta miejskiego jako kreatora przestrzeni miejskiej. Poseł Buczak jako instrument zaradczy widzi z kolei ożywienie planów zagospodarowania przestrzennego (Rzeszów jest nimi pokryty w niewielkim stopniu), które – jego zdaniem – zabezpieczyłyby tereny miejskie przed chaotyczną zabudową, do jakiej dochodzi obecnie, często z pogwałceniem interesów mieszkańców (kto byłby zadowolony, gdyby na osiedlu domów jednorodzinnych zaczął mu rosnąć przed oknami wysokościowiec?).

Prezydent Ferenc ma w zwyczaju uruchamiać medialnie kolejne inwestycje. Po czym... sprawa ucicha, inwestycje nie powstają, nie bardzo wiadomo dlaczego i czy w ogóle w tych kwestiach coś się dzieje, bo przychylne media, które wcześniej robiły wielkie „halo", jakoś mniej gorliwie rozliczają prezydenta z realizacji obietnic. Na wypominanie mu tego Tadeusz Ferenc jest mocno wrażliwy. Kiedy bowiem Wojciech Buczak zarzucił mu podczas konferencji prasowej m.in. brak Interaktywnego Parku Nauki i Rozrywki, południowej obwodnicy miasta czy Rzeszowskiego Centrum Komunikacyjnego (a lista zaniechań jest dłuższa), sekretarz Urzędu Miasta poinformował „Gazetę Wyborczą", że prawnicy analizują materiały z tej konferencji. Zarzucił posłowi PiS, że posłużył się półprawdami, a „w jednym przypadku podał do publicznej wiadomości nieprawdziwą informację". O ewentualnym procesie jednak na razie cicho.

Wielu rzeszowian dziwią szczególne względy, jakimi w ratuszu cieszył się biznesmen Ryszard Podkulski, skazany na trzy lata bezwzględnego pozbawienia wolności za wyprowadzenie majątku Rzeszowskich Zakładów Graficznych wartości 14 mln zł, który jednak nie poszedł siedzieć (najpierw wykonanie kary wstrzymano ze względu na jego stan zdrowia, a następnie Sąd Najwyższy w postępowaniu kasacyjnym zwrócił sprawę do ponownego rozpatrzenia).

Prezydent Ferenc lubi podglądać zagranicę: z Szanghaju przywiózł pomysł okrągłej kładki, którą wybudowano kilka lat temu kosztem ponad 12 mln zł. W Izraelu zobaczył most

eprasa.pl 9c712df3b7

w kształcie harfy. Po powrocie kazał przerobić projekty i dziś w Rzeszowie jest podobny most. W Dubaju widział klimatyzowane przystanki autobusowe. Po powrocie kazał przebudować rzeszowskie przystanki: w zimie – ogrzewać, w lecie – klimatyzować. Wszystko fajnie, ale krytycy twierdzą, że to zlepek chaotycznych działań, a nie spójna wizja miasta.

Jeżeli Ferenc wygra, pod koniec kadencji będzie miał 83 lata. Z wielu stron płyną głosy, że najwyższy czas odpocząć. Prezydent nie jest jednak typem człowieka, który na emeryturze mógłby bawić wnuki czy pielęgnować ogródek. W Rzeszowie nikt nie ma wątpliwości, że adrenalina, nieodłączny towarzysz zarządzania sporym miastem, napędza go. Choć chyba przychodzi mu to coraz trudniej – wiek robi jednak swoje. Pewnie dlatego w 2015 r., zaledwie rok po wygranej po raz czwarty batalii o prezydenturę, bezskutecznie starał się o mandat senatora. Przegrał wtedy z kandydatem PiS prof. Aleksandrem Bobką.



Fot. East News/Krzysztof Kapica

Urzędujący prezydent Rzeszowa Tadeusz Ferenc

BÓJ O NOWY UKŁAD JESZCZE NIE TERAZ?

Prezydent Ferenc jest niewątpliwie przeciwnikiem trudnym. Ale i jego główny kontrkandydat – poseł PiS Wojciech Buczak – nie jest człowiekiem znikąd. Były długoletni szef regionalnej „Solidarności" i wicemarszałek województwa, jest człowiekiem z gruntu przyzwoitym, koncyliacyjnym, ma dobry kontakt z ludźmi. Władzę rzeczywiście traktuje jako służbę. Można mieć pewność, że w sporze z adwersarzem nie zdenerwuje się tak, by obsypać go inwektywami, bo to nie leży w jego naturze. Jego wizja to Rzeszów, w którym panują komfortowe warunki do życia nie tylko w wybranych dzielnicach, lecz w całym mieście. – Chcę do tego doprowadzić przez dialog i poważne traktowanie ludzi, a nie tak jak jest teraz, kiedy prezydent odbywa wiele spotkań z mieszkańcami na osiedlach, na które przyjeżdża z urzędnikami prezentującymi jego wielki dorobek i nagrody dla miasta. Ludzie zgłaszają problemy, lecz niewiele z tego wynika – mówi kandydat PiS.

Buczak prowadzi dobrą, aktywną kampanię. Jak zauważa politolog Paweł Kuca, chyba pierwszą tak aktywną kampanię rzeszowskiej prawicy od czasu AWS. Jego konwencja wyborcza była zorganizowana z pompą, w iście amerykańskim stylu. Spotyka się z mieszkańcami na świeżym powietrzu przy kawie w ramach cyklu „Porozmawiajmy o Rzeszowie". Mówi o inwestycjach, których w Rzeszowie brakuje.

Już pod koniec ubiegłego roku poseł PiS zaproponował alternatywny wariant przebiegu tzw. obwodnicy południowej Rzeszowa. Na wariant prezydencki Rzeszów nie otrzymał, z powodów proceduralnych, unijnego dofinansowania. – Ten projekt był źle przygotowany, niekompletny i zgłoszony w ostatniej chwili. Dlatego nawet nie został rozpatrzony. A medialnie jest przedstawiany jako świetny projekt, celowo blokowany przez wojewodę i władze PiS – zaznacza Buczak. Sprawa jest o tyle istotna, że to PiS – bodaj po raz pierwszy od lat – narzuciło istotny temat miejskiej debaty. Prezydent nie zdecydował się jednak na zmiany w projekcie. W urzędzie miasta przygotowywany jest kolejny wniosek o dofinansowanie.

Dynamizm kampanii Buczaka wzbudził pewne zaniepokojenie w ratuszu i zmusił – po raz pierwszy od lat – prezydenta Ferenca do większej przedwyborczej aktywności podczas spotkań z mieszkańcami. Przed poprzednimi wyborami bowiem obecny lokator ratusza kampanii praktycznie nie prowadził, powtarzając, że koncentruje się na swojej robocie. A obecnie wystąpił z ewidentnym tematem przedwyborczym – pomysłem darmowych przejazdów komunikacją miejską dla uczniów rzeszowskich szkół.

Jeszcze w maju „Gazeta Codzienna Nowiny" – największy dziennik podkarpacki – przeprowadziła przy pomocy politologów z Uniwersytetu Rzeszowskiego sondaż przedwyborczy na próbie 300 osób. Ferenc wygrał w nim z Buczakiem w cuglach: 70,7 do 29,3 proc. Być może próba badawcza była zbyt mała, być może ta różnica jest dziś mniejsza. Tak czy owak, problem jest taki: czy posłowi PiS uda się w krótkim czasie odrobić 40-punktową stratę do prezydenta, który na swoją pozycję pracował kilkanaście lat. Tym bardziej że w przeciwieństwie do bardzo popularnego Ferenca, którego zna każdy rzeszowianin, Buczak ma znacznie mniejszą rozpoznawalność; jest znany głównie w środowiskach „Solidarności", prawicowych i patriotycznych. Sprawę komplikuje też to, że zgłaszający się kolejni kandydaci – poseł Kukiz '15 Maciej Masłowski, dr Krzysztof Kaszuba, ekonomista bliższy prawicy, czy Łukasz Belter, wiceprezes lokalnej Nowej Prawicy – będą raczej odbierać głosy Buczakowi.

Maciej Łobos i Paweł Kuca wątpią w zwycięstwo kandydata PiS. Ale zdaniem politologa z UR istotny będzie wynik, jaki osiągnie. Porażka, ale z dobrym rezultatem, będzie stanowiła cenny kapitał na przyszłość. Trudno się bowiem spodziewać, by Tadeusz Ferenc wystartował jeszcze raz. Wtedy dopiero odbędą się „prawdziwe" wybory: gra o schedę po obecnym prezydencie, który zdominował rzeszowską scenę samorządową ostatnich kilkunastu lat. Paweł Kuca przewiduje, że może wtedy dojść do wysypu kandydatów – zarówno z prawa, jak i z lewa. – Wtedy dopiero może powstać nowy układ sił w mieście – przewiduje politolog z UR.

Buczak podchodzi do tych dywagacji spokojnie. – Jeżeli się okaże – podkreśla – że wyborcy nie wybiorą mojej oferty, tylko obecnego prezydenta, to będę im służył tak jak do tej pory, czyli w parlamencie.

eprasa.pl 9c712df3b7



Fot. Jacek Dominski/REPORTER

Miarka się przebrała, postanowiłam to nagrać. Wiedziałam, że nic nie zdziałam, nie mając dowodów, nikt mi nie uwierzy, że takie rzeczy się dzieją w XXI w. w Polsce

z Natalią Nitek-Płażyńską, psychologiem, działaczką społeczną i polityczną, żoną Kacpra Płażyńskiego, kandydata PiS na prezydenta Gdańska, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Jestem zwolenniczką twardej dyscypliny

„Obozy koncentracyjne zostały niepotrzebnie zamknięte, a II wojna światowa zakończona, bo doszłoby do wyczyszczenia rasy. Polacy i Żydzi to najgorsze nacje świata. Brudasy...". Takie stwierdzenia podobno padały z ust niemieckiego właściciela w obecności polskich pracowników w firmie, w której pani pracowała. Pomyślała pani sobie: „Nie będzie Niemiec pluł mi w twarz". I poszła do sądu. Tak było?

Natalia Nitek-Płażyńska: Hans G. to Niemiec, który sam siebie nazywał nazistą. Polaków traktował niczym niewolników. To nie był jednorazowy wyskok, po którym stwierdziłam, że pójdę do sądu. Pracowałam tam dziewięć miesięcy, cała sprawa się rozwijała, to się nakręcało, a we mnie narastały gniew i sprzeciw.

Przeciwnicy zarzucają pani, że rozpętanie całej tej sprawy to była trampolina do kariery politycznej.

Wystarczy spojrzeć w kalendarz. Wybory parlamentarne były najpierw i dopiero po nich zaczęłam nagrywać Hansa G. i wtedy tę sprawę nagłośniłam. Żadnych profitów politycznych z tego nie czerpałam. Wręcz przeciwnie, po wygranych przez PiS wyborach parlamentarnych ataki w firmie wobec mnie się nasiliły.

Jak pani trafiła do tej firmy?

Ponieważ od podstawówki uczyłam się języka niemieckiego – bardzo lubię ten język, wręcz jestem w nim zakochana – to zaczęłam szukać miejsca, gdzie mogłabym i zarządzać projektami, i mówić po niemiecku. Złożyłam kilka aplikacji, odezwała się firma pośrednicząca w zatrudnianiu i usłyszałam, że jest propozycja, szefem firmy jest Niemiec, więc będę miała bezpośredni kontakt z językiem. Pojechałam na rozmowę rekrutacyjną, kilka dni

eprasa.pl 9c712df3b7

później dostałam informację, że wywarłam bardzo pozytywne wrażenie i mam tę pracę.

To niewielka firma w małej miejscowości Dębogórze, na północ od Gdyni...

Firma funkcjonuje około sześciu lat, sam Hans G. jest w Polsce prawie 20 lat. Zatrudnia ok. 20 pracowników produkcyjnych, głównie na umowy-zlecenia, całe rodziny tam pracują, utworzył się taki system, w którym relacje międzyludzkie rządzą się trochę innymi prawami.

Zaczęła pani tam pracować i obserwować, co się w firmie dzieje.

Pierwsze dwa tygodnie były w porządku, a po tym okresie – pierwsza awantura w wykonaniu szefa. W powietrzu zaczęły fruwać przedmioty, wyposażenie biura, różne wyzwiska. Zamurowało mnie. Jak na początku zaczęłam słyszeć te wyzwiska pod adresem Polaków, myślałam, że to jakaś prowokacja, że on sprawdza reakcję nowych pracowników na takie zachowanie, że to jakiś prymitywny żart...

...jakiś dziwaczny test?

Tak. Inni pracownicy, którzy już tam dłużej pracowali, mówili, że to nie ma sensu, żebym dała spokój, nie zgadzali się z moimi argumentami, ponieważ stawałam w obronie polskości, a niejednokrotnie słyszałam, że oni czują się Europejczykami i to mówienie o Polsce to nie w ich stylu. No i zaczęły się podchody damsko-męskie. Szef próbował obdarzać mnie pewnymi względami, a ja przypominałam mu, że jestem jego podwładną. Bardzo często słyszałam komentarze na temat swojego wyglądu. Gdy ostro reagowałam, to stwierdzał, że ja chyba nie jestem Polką, bo Polki są takie uległe, a ja jestem taka konkretna, pewnie mam korzenie niemieckie.

No, z urody jest pani taki „nordycki typ", powiedziałabym...

W Polsce mówią, że słowiański, w Skandynawii, że nordycki. Przestałam w końcu na te zaczepki odpowiadać, kiedy stwierdził, że lubi, jak ja tak nerwowo reaguję... Ale potem nasiliły się te wycieczki narodowościowe, obrażanie Polaków, hitlerowskie pozdrowienia, wprowadzanie codziennie tej nazistowskiej retoryki, z czym ostro się kłóciłam i przeciwko czemu protestowałam.

I pewnego dnia postanowiła pani to nagrać bez wiedzy szefa.

Tak, on to mówił przy mnie i reszcie pracowników. Oni zwieszali głowy, patrzyli na czubki butów, biła z nich wyuczona bezradność. Wiedzieli, że nic z tym nie zrobią, więc lepiej udawać, że się nie słyszy. Pytałam ich, czy nie złożyliby razem ze mną jakiegoś pozwu zbiorowego o znieważanie nas jako Polaków, o poniżanie, o mobbing. Mówili, żebym dała spokój. A w czasie wyborów parlamentarnych, kiedy okazało się, że startuję z listy PiS, spotkało się to wręcz z agresją ze strony szefa i niektórych pracowników. Potrafił stawać za mną, udawać, że strzela, krzyczeć, atakować za to, co akurat zrobił prezydent Duda, bo przed chwilą np. przeczytał jakiś artykuł i ja mu muszę się wytłumaczyć, bo ja jestem „pisior", tak samo jak Duda. Krzyczał, co my wyprawiamy z tym krajem, że oni, Niemcy, tyle pieniędzy w nas władowali nie po to, żebyśmy my teraz niszczyli ten kraj. Miarka się przebrała, postanowiłam to nagrać. Wiedziałam, że nic nie zdziałam, nie mając dowodów, nikt mi nie uwierzy, że takie rzeczy się dzieją w Polsce w XXI w.

Czy te nagrania zostały dopuszczone przez sąd jako dowody w procesie?

Tak, zostały też sprawdzone przez dwóch biegłych sądowych. Potwierdzono ich oryginalność i to, że nie zostały w żaden sposób zmontowane.

Hans G. chciał ugody, pani się nie zgodziła. Wyrok w sprawie, którą mu pani wytoczyła, ma zapaść 4 grudnia tego roku.

Propozycja ugody, jej wartości i wskazanie organizacji, na którą mógłby wpłacić zadośćuczynienie (WOŚP) w wysokości 20 tys. zł, jest dla mnie nie do przyjęcia. Wnioskuję o 150 tys. na Muzeum w Piaśnicy, w miejscowości, w której inteligencja z Pomorza, z Kaszub, była mordowana przez Niemców. Tam były pierwsze masowe egzekucje już w październiku 1939 r. Miejsce to zwane jest „Kaszubską Golgotą".

Skąd pani czerpie tak głębokie poczucie polskości?

Pochodzę z rolniczej rodziny, wychowałam się wśród ciężko pracujących ludzi, którym ziemia jest najbliższa w znaczeniu dosłownym i metaforycznym. Ceni się w niej najważniejsze wartości – szacunek do pracy, wytwarzanych dóbr, jakimi jest żywność, oraz zwierząt. Wyrosłam też w romantycznym podziwie dla natury, polskich krajobrazów. To chyba dlatego, że moi rodzice są bardzo wrażliwymi i dobrymi ludźmi. W historii Polski rolnik był karmicielem, ale też obrońcą terytorium swojego kraju. Moja rodzina była zawsze bardzo propolska, dziadkowie i rodzice byli aktywni w naszej lokalnej społeczności, uczyli mnie i moją młodszą siostrę, że nie można poprzestawać na tym, co się robi dla siebie. Owszem, jest to praca przez całą dobę, także w święta, nie ma wakacji, a kaprysy pogody mogą zniweczyć cały wysiłek. Jednak trzeba patrzeć dalej, rozwijać się i dbać o tę społeczność, wśród której się żyje, ponieważ relacje są bardzo ważne.

I stąd pani reakcja na zachowanie Hansa G.?

Jeżeli przyjeżdża do Polski obywatel Niemiec – kraju, który wyrządził nam tyle krzywd – powinien wykazywać się wyjątkową wrażliwością, zrozumieniem, a nie wykorzystywać Polaków jeszcze bardziej. Kiedy Hans G. wyzywał Polaków, spytałam go, dlaczego w takim razie tutaj jest, skoro jesteśmy takim beznadziejnym narodem. Usłyszałam: „Bo wy jesteście tanią siłą roboczą".

Mówiła pani o zobojętnieniu na te antypolskie ataki Hansa G., ale te historie w Gdańsku, malowanie tramwajów w barwach Wolnego Miasta Gdańska, nadanie jednemu z rond imienia „Ronda granicznego Rzeczypospolitej i Wolnego Miasta Gdańska", uczynienie nazisty patronem tramwaju – to jakieś niemieckie

eprasa.pl 9c712df3b7

resentymenty czy taka sama obojętność?

To bardzo złożona kwestia, staram się to jakoś zrozumieć jako psycholog i jako człowiek, który działa społecznie. Widzę i jestem przekonana, że wielu gdańszczan jest zaniepokojonych budowaniem tożsamości Gdańska w oparciu o symbolikę Wolnego Miasta Gdańska, które było miastem antypolskim i rządzonym przez niemieckich nazistów. Prezydent Paweł Adamowicz ma jednak swoją politykę i mieszkańców nie słucha. 20-letnie rządy jednej osoby spowodowały, że mieszkańcy Gdańska nie są w stanie się przebić ze swoimi często żywotnymi problemami.

Bliższa ciału koszula...

Najważniejsza jest potrzeba bezpieczeństwa, a ona nie jest zaspokajana. Ludziom walą się lokale komunalne na głowę, miasto jest regularnie zalewane przy byle ulewie, podstawowe potrzeby mieszkańców nie są zaspokajane i oni nie są w stanie o to walczyć. Nie mieli dotychczas żadnego mecenasa tych swoich spraw, kogoś, kto by się za nimi ujął, kto ich by wysłuchał, bo jak się okazuje, często byli wyrzucani za drzwi albo słuchano ich jednym uchem i nic z tym nie robiono.

O historii zapomniano? To ma być to wstawanie z kolan?

Są środowiska współpracujące w tej kwestii z moim mężem, bo widzą, że taka polityka obecnego prezydenta prowadzi w bardzo złym kierunku, jest wręcz antypolska. Część mieszkańców Gdańska jest jednak skupiona na swoich podstawowych życiowych problemach, a pozostali są przez obecnego prezydenta wyszydzani.

Potrafi pani walczyć o swoje racje. Pani zdjęcia z bronią, które pani chętnie publikuje, mają odstraszać przeciwników?

Nie! [śmiech]. Ani broni nie demonizuję, ani nie uwielbiam. Tak jak widelec służy do jedzenia, grzebień do czesania, tak broń do obrony. Lepiej, by dysponowali nią obywatele praworządni, nie zaś niebezpieczni, którzy wchodzą w jej posiadanie w sposób nielegalny. Inaczej mówiąc, gdy trzeba szybko działać, złego człowieka z bronią powstrzyma jedynie dobry człowiek z bronią. Kiedyś kultywowano sztukę strzelania z broni w różnych szkółkach, bractwach strzeleckich. Dzięki takim umiejętnościom powstańcy, partyzanci, żołnierze niezłomni potrafili się bronić. Jestem zwolenniczką twardej dyscypliny i myślę, że młodym ludziom bardzo tego potrzeba. Cieszę się, że Wojska Obrony Terytorialnej wreszcie powstały, ponieważ pomagają wypełnić tę lukę w budowaniu postawy proobronnościowej. Obywatele, którzy potrafią się posługiwać bronią, są w stanie obronić swoje państwo, bo tylko z samym regularnym wojskiem nie zdołamy zadbać o bezpieczeństwo kraju. To lokalni mieszkańcy najlepiej znają teren i im najmocniej zależy na obronie swoich małych ojczyzn.

> Pochodzę z rolniczej rodziny, wychowałam się wśród ciężko pracujących ludzi. Moja rodzina była zawsze bardzo propolska, aktywna w naszej lokalnej społeczności

Broni używają także myśliwi. Ale pani chyba nie poluje?

Mój szacunek do życia nie ogranicza się jedynie do tego ludzkiego. Nie wyobrażam sobie zabijania dla sportu. Jak wspomniałam, wychowałam się na wsi. Nieopodal jest las, wiele pól. Niejednokrotnie widziałam, jak przebiegają polowania, jak bardzo dysfunkcyjny jest Polski Związek Łowiecki. To relikt najgorszych czasów komunizmu.

Mają państwo jakieś zwierzęta?

Kota. Kilka lat temu, w październiku, jakaś dziewczynka wrzuciła do internetu rozpaczliwy apel. Napisała, że chodzi do stoczni w Gdyni dokarmiać bezdomne koty, zaczęły się przymrozki, boi się, że zwierzęta zamarzną, a rodzice nie pozwalają jej wziąć ich do domu. Pojechaliśmy tam i zabraliśmy te kotki – jeden jest u nas, drugi u moich rodziców.

Bardzo mocno wspiera pani męża w kampanii wyborczej. Odłożyła pani na bok swoją karierę polityczną?

Kandydując w 2015 r. z 21. miejsca na liście, wiedziałam, że wygrana będzie bardzo trudna. Wstąpiłam do PiS w trakcie kampanii prezydenckiej Andrzeja Dudy, nie mając żadnych ambicji politycznych, jedynie przeświadczenie, że mamy świetnego kandydata, którego należy wspierać. Miałam dość tych pseudoelit, które trawiły naród polski i pasły się na ciężkiej pracy Polaków. To był taki moment sprzeciwu, chęć włączenia się, bo bardzo mi zależy na tym, aby cały czas być aktywną społecznie. Ambicje polityczne absolutnie nie są na pierwszym miejscu, polityka ma służyć czemuś, nie powinna być celem, a narzędziem, by zmieniać, poprawiać, naprawiać. Ponarzekać każdy z nas sobie lubi, ale narzekać mamy prawo, jeśli chcemy coś zmieniać i faktycznie coś robić. Nie myślę o swojej karierze, kiedy wiem, że jestem potrzebna mężowi, który jest bardziej społecznikiem niż politykiem. I to nas także zbliżyło do siebie.

Gdyby Kacper Płażyński został prezydentem Gdańska, a pani dostała w 2019 r. propozycję startu w wyborach parlamentarnych, co pani by odpowiedziała?

Nie wiążę się sztywno z polityką... Dobrze się czuję, pracując z ludźmi, kiedy jakaś sprawa jest bliska memu sercu, wymaga interwencji, energicznego, dynamicznego działania i mogę coś zrobić. Może nie powiem „nie", ale też nie mówię, że jest to jakiś mój cel, marzenie, które muszę zrealizować. Jestem młodą kobietą, świeżo po ślubie. To zmienia i cele, i marzenia.

eprasa.pl 9c712df3b7

Patrzymy na Polskę z nadzieją



Na Białorusi zrównywanie tego, co dziś dzieje się w Polsce, z sytuacją pod rządami Łukaszenki, może budzić tylko wesołość. To zdanie podzielają także ci białoruscy opozycjoniści, którym bliżej do polskiej opozycji

Z Aleksandrem Stralcovem-Karwackim, zastępcą przewodniczącego Białoruskiego Frontu Narodowego, rozmawia Jacek Karnowski

Reprezentuje pan ugrupowanie konserwatywne, narodowe, najstarsze na Białorusi, związane z Prawem i Sprawiedliwością umową o współpracy i partnerstwie.

Aleksander Stralcov-Karwacki: Działam w Białoruskim Froncie Narodowym (BFN) od 1990 r. Na początku nie była to partia, ale szeroki ruch społeczny o charakterze niepodległościowym i narodowym. Przez te 30 lat nie brakowało problemów, ale wciąż jestem wierny swoim poglądom.

Jaka jest główna linia ideowa BFN?

Naszym najważniejszym celem jest dążenie do suwerenności i podmiotowości Białorusi – jako kraju i jako państwa. Musimy pamiętać, że jesteśmy na innym etapie tworzenia naszej państwowości niż Polska. To można porównać do końcowego okresu zaborów albo do I wojny światowej, gdy Polacy mogli już powoływać pewne instytucje, mieli namiastki państwowości i też zaczątki wojska. Oczywiście są to porównania ułomne, ale jednak coś istotnego mówiące.

Co różni BFN od innych sił opozycyjnych na Białorusi?

Przede wszystkim nasza orientacja narodowa. Działamy na rzecz wzmocnienia białoruskiej tożsamości. Inne partie – socjalne, liberalne, chadeckie – też o tym wspominają, ale dla nas jest to absolutnie najważniejszy, centralny punkt programu.

Czy inne partie godzą się np. z dominacją kultury rosyjskiej na obszarze Białorusi?

Na pewno nie cała białoruska opozycja jest dziś antyrosyjska. Są politycy, zwłaszcza lewicowi, których zdaniem nie powinniśmy zrywać więzi z Rosją. Oni wierzą, że można te relacje ułożyć w sposób korzystny dla obu stron. BFN i inne ugrupowania prawicowe podkreślają wagę niepodległości, a w naszych warunkach oznacza to przede wszystkim niepodległość od Rosji. Nie jesteśmy antyrosyjscy, jeśli miałoby to oznaczać nawoływanie do waśni czy siania nienawiści. Jesteśmy antyrosyjscy w sensie dążenia do zrzucenia rosyjskiej dominacji w różnych dziedzinach białoruskiego życia.

Czy Białorusini mogą dojść do pełnej niepodległości, pozbawionej rosyjskiego parasola i patronatu? To jednak naród znacznie mniej liczny niż Ukraińcy, bardziej zrusyfikowany, z elitami, które zostały wymordowane, zanim jeszcze zdołały się wykształcić.

Tak, w latach 30. nasze elity zostały wymordowane w stopniu niemal całkowitym. Nie mam wątpliwości, że nasza

eprasa.pl 9c712df3b7



Fot. Fratria

droga do niepodległości jest trudniejsza i bardziej kręta niż droga ukraińska. Jestem jednak dobrej myśli. Każdy rok istnienia państwowości, nawet tej obecnej, niedoskonałej, dodaje nam sił i wzmacnia białoruską tożsamość. Nie tylko w obszarze języka i kultury, lecz i w obszarze pewnych propaństwowych nawyków. Jednak nie jesteśmy dziś częścią Rosji.

Współczesna Białoruś, świadomie czy nie, przygotowuje Białorusinów do pełnej niepodległości?

Tak, to jest proces wychowywania do odrębności. Nawet rosyjskojęzyczni mieszkańcy mają jasność, że są obywatelami Białorusi; wiedzą też, że nie są obywatelami Rosji. Oczywiście tym procesom trzeba pomagać. Dlatego BFN nastawia się przede wszystkim na pracę organiczną, podnoszenie świadomości, nawiązywanie do dobrych wzorców historycznych. Dla mnie osobiście ważne jest Wielkie Księstwo Litewskie i jego dziedzictwo. Tu na marginesie warto podkreślić, że inaczej niż Ukraińcy Białorusini nie mają tradycji buntu przeciwko I Rzeczypospolitej. Byliśmy lojalnymi obywatelami naszego wspólnego państwa.

Gdyby dziś na Białorusi odbyło się referendum, w którym by zapytano: czy jesteś za likwidacją państwa i połączeniem z Rosją, czy za dalszym istnieniem samodzielnej Białorusi, to jaki byłby wynik takiego głosowania?

Takie badania były przeprowadzane i choć można kwestionować warunki badawcze, to jednak wyniki konsekwentnie pokazują, że wyraźna większość, ok. 80 proc. Białorusinów, nie godzi się na likwidację podmiotowości. Ci ludzie mogą popierać takie czy inne związki z Rosją, ale nie chcą jednak stać się po prostu jednym z regionów zarządzanych z Moskwy; chcą związku równych państw, partnerstwa. Osobiście nie mam jednak żadnych złudzeń: każde realne „zjednoczenie" Białorusi z Rosją będzie oznaczało koniec naszej podmiotowości.

Jaka jest realna siła białoruskiej opozycji? Jakie są jej wpływy?

Myślę, że – znów sięgając po polskie porównanie – jesteśmy po stanie wojennym, gdzieś w połowie lat 80. Jesteśmy podzieleni, jest dużo napięć, zasięg naszych działań jest ograniczony, ale wciąż działamy, a nasza idea żyje. Tego nie widać na ekranach państwowej telewizji, to są działania może mało efektowne, ale są. Gdy nadejdzie czas zmiany, znajdą się ludzie przygotowani, świadomi, którzy będą wiedzieli, co i jak należy robić.

Jest też telewizja Biełsat, finansowana przez Polskę. Czy jej działalność jest istotnym wsparciem dla opozycji?

Oczywiście to bardzo potrzebna inicjatywa, bo dzięki temu jest ośrodek medialny niezależny od białoruskich władz państwowych, nadający po białorusku. Możemy nie zawsze się zgadzać z treścią poszczególnych programów, ale to jest naturalne, bo Biełsat nie jest naszą telewizją partyjną. Musimy jednak pamiętać, że media nie mogą istnieć w próżni;

> Gdyby polska opozycja próbowała przenieść swoje metody działania z Warszawy do Mińska, po pierwszej próbie wylądowałaby w aresztach

musi istnieć proces, który opisują, musi istnieć rzeczywistość, do której nawiązują. Moim zdaniem to wszystko należy wyważyć. Dziś wiele sił w Polsce i na Zachodzie koncentruje się nieco przesadnie na problemie dotarcia do ludzi z informacją. Życzyłbym sobie, by więcej wysiłku kierowano w kierunku edukacji i kształcenia.

Media nie tylko informują, także kształcą i edukują.

Bez wątpienia. Chcę jedynie powiedzieć czytelnikom, że Białoruś współczesna to nie Chiny ani Korea Północna. Dostęp do informacji nie jest problemem; jeśli ktoś chce się dowiedzieć, to się dowie, nie będzie miał z tym problemu.

eprasa.pl 9c712df3b7

Biełsat jest wyjątkowy, bo przedstawia inną rzeczywistość, nadaje po białorusku i formuje tożsamość narodową, ale to jest telewizja, są także inne media, inni nadawcy i wydawcy.

Na ile obecne władze Białorusi są odporne na presję ideologiczną płynącą z Zachodu, a na ile jej ulegają?

Prezydent Łukaszenka próbuje się bronić przed poprawnością polityczną, która na Białoruś też dociera. Ale robi to w swoim stylu, a więc niekonsekwentnie, a często dość pokracznie, humorystycznie, w sposób łatwy do ośmieszenia. Nie do końca chyba rozumie także metody i sposoby działania, za pomocą których różnego rodzaju eksperymenty są promowane i wdrażane. Instynktownie odrzuca pewne złe wzorce, ale przy zderzeniu z nowymi ideologiami instynkt to za mało. W niektórych obszarach Łukaszenka ulega, np. niedawno parlament przyjął dość radykalną ustawę o przeciwdziałaniu przemocy w rodzinie. Na Zachodzie często mówi się o Łukaszence jako o „ostatnim dyktatorze Europy", ale nie dodaje się, że jest to dyktator lewicowy w sferze poglądów socjalnych oraz liberalny w sferze obyczajowej.

Z domieszką swoistej „tutejszości".

I także sowieckości, ludowości. Ale Łukaszenka też ewoluuje, dopuszcza zmiany, reaguje na nowe nurty. To trzeba widzieć.

Jak pan ocenia system rządów stworzony przez prezydenta Łukaszenkę?

W niektórych aspektach funkcjonowania państwa ten system wykazuje pewną skuteczność. To trzeba powiedzieć. Na Białorusi nie ma anarchii. Problem polega na czymś innym: ten system hamuje i niszczy inicjatywę jednostek. To był zasadniczy problem komunizmu, który powielał system pracy niewolniczej, wychowując do bierności. Tą samą ścieżką poszedł Łukaszenka; oczywiście, to nie jest to system ani tak brutalny, ani tak szczelny jak Związek Sowiecki. Ci, którzy mówią, że na Białorusi wciąż istnieje komunizm, też się mylą. Dziś jest więcej zachęt, więcej nacisku na konformizm, represje nie są ani masowe, ani choćby w przybliżeniu tak ostre jak kiedyś.

Na ile trwały jest system zbudowany przez Łukaszenkę?

System wkroczył w fazę, w której jego możliwości wyraźnie się wyczerpują, i to na wielu polach. Również gospodarczo: odziedziczone po komunizmie przedsiębiorstwa nie są już w stanie choćby poprawnie funkcjonować. Stąd liczne wybuchy złości prezydenta, stąd częsta wymiana kadr w rządzie i w państwowych firmach; to są zarówno objawy frustracji, jak i szukanie kozłów ofiarnych. Łukaszenka wie, że trzeba szukać nowych form działania, że Białoruś musi znaleźć na światowym rynku nowe nisze, bo stare już jej nie utrzymają na powierzchni.

Czy ma jakiś pomysł?

By ruszyć do przodu, potrzebne są nowe, kreatywne kadry. Zastąpienie jednych czynowników innymi wiele nie pomoże. Łukaszenka wie, że ma z tym poważny problem, bo musi stworzyć nowy system motywacji kadr, przy zachowaniu udziałów państwowych w gospodarce.

Czy elity opozycyjne, w razie upadku Łukaszenki, będą w stanie utrzymać suwerenność Białorusi w obliczu tak wielkich presji i tak olbrzymiej przewagi Rosji?

To jest z pewnością pytanie zasadne, które należy sobie stawiać. BFN od dawna głosi tezę, że zmiana na Białorusi powinna się odbyć bez załamania się obecnego systemu, zburzenia obecnego systemu władzy. To oczywiście nie będzie łatwe, bo często jest tak, że albo system trwa w starej formie, albo dochodzi do rewolucji. W naszym przypadku scenariusz rewolucyjny mógłby się jednak okazać zabójczy dla państwa; pojawiłaby się bowiem okresowa słabość, zapaść, którą Rosja z pewnością by wykorzystała. Stawiamy więc na zmiany ewolucyjne, na zmiany poprzez wchodzenie do systemu nowych ludzi.

> Łukaszenka po Majdanie wyraźnie się ocknął. Wcześniej prezentował pewną naiwność w stosunku do Rosji – nie zakładał, że może ona być wrogiem. Dziś wie, że jeśli ktoś go obali, to tylko Rosja

Sztywne systemy polityczne najczęściej albo nie wpuszczają nowych ludzi, albo szybko przerabiają ich na swoje podobieństwo.

Rzeczywiście, system władzy na Białorusi broni się jak mógł przed nowymi ludźmi, ale dzisiaj bez wątpienia nie jest to również system w pełni monolityczny. Pewne podziały już się zarysowują, widać napięcie między technokratami a przedstawicielami resortów siłowych, najmocniej związanych z Rosją. To ta ostatnia grupa pilnuje, by Mińsk nie zbudował bliższych relacji z Zachodem. Liczymy, że proces rozdźwięku w elicie władzy będzie się pogłębiał. Jeśli Polska chce działać skutecznie, powinna razem ze wsparciem społeczeństwa obywatelskiego także wspierać aktywnie prozachodnie, narodowe skrzydło władzy.

Jak konkretnie?

Trzeba zacząć od odejścia od haseł na rzecz pragmatyki. Polska nie powinna wybierać: albo współpraca z władzą, albo z niezależnym społeczeństwem. Trzeba robić jedno i drugie, nie można się miotać od ściany do ściany. Polska powinna mieć jeden cel: wzmacnianie podmiotowości i niezależności Białorusi. Od władzy trzeba się domagać ustępstw, zarówno w obszarze swobód społecznych, jak i liberalizacji rynku, korzystnego dla polskich firm. Ale też trzeba myśleć realnie:

eprasa.pl 9c712df3b7

jeśli ktoś od razu żąda wolnych wyborów, to kończy dialog, zanim go zaczął.

Jakie wnioski wyciągnęło białoruskie społeczeństwo z ukraińskiego Majdanu?

Dla społeczeństwa ukraiński Majdan był wydarzeniem przerażającym. To scenariusz, który na Białorusi nie ma żadnych szans. Nie tylko dlatego, że nawyki ludzi są inne; również z tego powodu, że w dość powszechnej opinii to Majdan sprowokował rosyjską agresję przeciwko Ukrainie. Oczywiście prawda jest inna, bo Rosja gdy chce, to zawsze znajdzie pretekst. Ale i ja podzielam zdanie, że Majdan oznaczałby dla Białorusi nieszczęście. Jesteśmy słabszym państwem niż Ukraina, i pod względem intensywności przeżywania świadomości narodowej, i pod względem demograficznym, i pod względem umiejętności działania w typie powstańczym. Majdan doprowadziłby do likwidacji państwowości białoruskiej.

Majdan i rosyjska agresja przeraziły jednak także Aleksandra Łukaszenkę.

Łukaszenka po Majdanie wyraźnie się ocknął. Wcześniej prezentował pewną naiwność w stosunku do Rosji – nie zakładał, że może ona być wrogiem, widział w niej jedynie życzliwego, choć trudnego partnera. Teraz zobaczył, że może być różnie. Dziś wie, że jeśli ktoś go obali, to tylko Rosja. Nie może jednak gwałtownie zmienić kursu, na skutek własnej polityki jest od Moskwy bardzo uzależniony.

Mógł wyrąbać sobie większe pole manewru, większą dozę swobody?

Mógł bardziej lawirować, częściej zmieniać kierunek, bardziej niuansować, korzystać z okazji, gdy Rosja była słabsza. Ale lepiej późno niż wcale. Dziś Łukaszenka zajmuje bardziej pragmatyczne stanowisko, nie uznał niepodległości Osetii Południowej i Abchazji, w zasadzie nie uznał zajęcia Krymu, niektóre przedsiębiorstwa białoruskie nawiązały współpracę z firmami zbrojeniowymi z Ukrainy, Białoruś dostarcza olej napędowy swojemu południowemu sąsiadowi.

W polskiej debacie publicznej słowo „Białoruś" pada ostatnio często. Zdaniem naszej opozycji, obóz rządzący buduje nad Wisłą replikę tego, co jest za Bugiem. Jak pan odniesie się do takich porównań?

To są twierdzenia bez jakichkolwiek podstaw, intelektualnie jałowe. Ludzie, którzy tak mówią, zdradzają ignorancję. I to podwójnie. Po pierwsze, Białoruś jest dziś innym krajem niż 20 lat temu. A po drugie, Polska jest dziś krajem w pełni wolnym z dobrze funkcjonującym systemem politycznym, z żywą, dobrze działającą demokracją, bez żadnego „ale". W Polsce każdy ma prawo do demonstrowania swoich poglądów politycznych, polska opozycja w pełni z tego prawa korzysta. Instytucje państwa korzystają ze swoich uprawnień w sposób więcej niż umiarkowany.

Zdaniem opozycji szpaler policjantów w letnich mundurach broniących Sejmu przed szturmem to już są represje.

Ci, którzy przywołują w Polsce ową Białoruś, rzadko rozumieją, że na Białorusi represje dotyczą nie tylko sfery aktywności politycznej, lecz także naruszania autorytetu władzy jako takiej. W Polsce z władzy można sobie żartować, kpić i właściwie nikt na to nie reaguje. Na Białorusi zrównywanie tego, co dziś dzieje się w Polsce, z sytuacją pod rządami Łukaszenki może budzić tylko wesołość. To zdanie podzielają także ci białoruscy opozycjoniści, którym bliżej do polskiej opozycji. Gdyby polska opozycja próbowała przenieść swoje metody działania z Warszawy do Mińska, po pierwszej próbie wylądowałaby w aresztach. Najpierw na 15 dni, później na dłużej. Komuś by zarzucono handel narkotykami, komuś coś innego.

W Polsce dokonują się jednak ważne zmiany, zmierzające do wzmocnienia państwa polskiego. Czy na Białorusi są one zauważane? Czy są komentowane?

Świadomość tego procesu jest w społeczeństwie dość niska. Główną przyczyną jest dominacja rosyjskich mediów, które o Polsce nie mówią zbyt wiele. A jeśli mówią, to Polska pojawia się głównie w świetle negatywnym, przy okazji skandali, awantur, ostatnio w kontekście ustawy o IPN. Wiem, że w Polsce dużo się mówi o konieczności dobrego imienia na Zachodzie, ale to samo dotyczy przestrzeni rosyjskojęzycznej; polskie władze powinny poświęcać temu więcej uwagi. Potrzebne jest medium rosyjskojęzyczne, które tłumaczyłoby pewne sprawy.

A więc nie tylko Poland24, lecz i Polsza24.

Oczywiście. Białorusini, którzy interesują się polityką, mają świadomość, że Polska próbuje obecnie zająć mocniejszą pozycję na arenie międzynarodowej. To jest oczywiste. Jak to jest oceniane? Różnie. To zależy od orientacji geopolitycznej poszczególnych środowisk. Wielu krytyków Polski na Białorusi czy w Rosji ma powiązania z tymi siłami na Zachodzie, które negatywnie oceniają obecną politykę Warszawy. Czasem jest to powielanie poglądów niemieckich, izraelskich, innych. Natomiast siły chrześcijańskie, patriotyczne, patrzą na Polskę z nadzieją. W polityce obecnego rządu nie brakuje pomysłów, które chcielibyśmy wprowadzić i u nas.

Polska coraz mniej interesuje się Białorusią. W głowach milionów pozostał zrytualizowany obraz mniej więcej sprzed 20 lat i niewiele więcej.

Żałuję, że w Polsce nie zauważono obchodów 100-lecia Białoruskiej Republiki Ludowej, które odbyły się 25 marca w Mińsku. To było wydarzenie zorganizowane przez siły niezależne, ale przy zgodzie władz, co samo w sobie było ewenementem. Wzięło w nim udział 50 tys. osób, a więc jak na nasze warunki ogromna rzesza ludzi. Białoruś się zmienia, warto na nią patrzeć.

Aleksander Stralcov-Karwacki, ur. w 1970 r. w Mińsku na Białorusi (wtedy ZSRS), zastępca przewodniczącego partii BFN, prezes zarządu Fundacji Dziedzictwo Wielkiego Xięstwa Litewskiego, tradycyjny katolik, ma czworo dzieci.

eprasa.pl 9c712df3b7



Niekończące się raty i niebotyczne kary za każdy dzień opóźnienia w spłacie pożyczki. Łatwiej się zabić, niż rozliczyć z lichwiarzem. Nawet śmierć pożyczkobiorców nie powstrzymuje lichwiarzy przed egzekucją długu, więc na bruk trafiają rodziny tragicznie zmarłych. Wojnę lichwiarskiej mafii wypowiedziano dopiero po reformie prokuratury w 2016 r. Oto, jak wyglądał mechanizm ich oszustw

W mackach lichwiarskiej mafii

eprasa.pl 9c712df3b7

57-letni Andrzej M. z Żor powiesił się, gdy lichwiarz zagroził zabraniem mu domu. Wraz z żoną pożyczyli od niego 25 tys. zł. Po roku ich dług wynosił już blisko 200 tys. zł. W końcu lichwiarz zażądał ich domu wartego 300 tys. zł. Tragiczna śmierć pana Andrzeja nic nie zmieniła. Oszust przejął majątek i sprzedał na wolnym rynku.



WOJCIECH BIEDROŃ

Z kolei 71-letni Ryszard K. rzucił się pod pociąg na oczach żony. Nie mógł znieść, że lichwiarz zabrał mu dom, który zbudował dla swojej rodziny. Pan Ryszard z żoną i córką wziął od lichwiarzy 55 tys. zł. I podpisał umowę, której nie rozumiał. A zapisane w niej było, że w razie problemów ze spłatą pieniędzy rodzina odda lichwiarzom dom z działką wart ok. 235 tys. zł. I tak też się stało.

AFERA TORUŃSKA

Kolejne cztery osoby zabiły się po tym, jak zostały oszukane i wpędzone w gigantyczne kredyty przez toruńskich lichwiarzy. Oszuści z Torunia najpierw kusili ludzi ulotkami, w których obiecywali im „oddłużenie", czyli wyczyszczenie historii w Biurze Informacji Kredytowej, by mogli się starać o pożyczki w tradycyjnych bankach. Potem, już podczas bezpośrednich spotkań, opowiadali, że są „finansowymi pośrednikami" i mają tak dobre relacje z komornikami i bankierami, że pomogą im zaciągnąć kolejny kredyt. I od razu dawali do podpisu mnóstwo dokumentów, wśród których były m.in. weksle in blanco i zgoda na pośredniczenie w załatwieniu pożyczki.

Po dwóch dniach pośrednicy dzwonili z informacją, że pieniądze już są przygotowane, ale należy przyprowadzić jeszcze kogoś znajomego, kto ma zdolność kredytową. Kłamali, że oficjalnie pożyczkobiorcą będzie ta druga osoba, ale po trzech miesiącach do bankowych dokumentów zostanie wpisane już właściwe nazwisko. W ten sposób oszukiwali już dwie osoby. Kolejne kłamstwa były serwowane lawinowo, a nieznający się na prawnych kruczkach ludzie nie wiedzieli, co tak naprawdę podpisują ani na co się zgadzają. Po jakimś czasie wychodziło więc na jaw, że kwoty pożyczek są znacznie wyższe niż te, o które się ubiegali, a raty ogromne, znacznie wyższe niż renty czy emerytury pożyczkobiorców. Ale i na to przestępcy mieli odpowiedź – nadwyżkę kredytu kazali przelewać na konto kancelarii prawnej, która rzekomo pośredniczyła w rozmowach z prawdziwym bankiem.

W tym oszukańczym procederze uczestniczyło kilka firm, m.in. EGF Council SA, Personal Finance, Aurum Finance oraz kancelaria prawna Proculus. Prokuratura Regionalna we Wrocławiu już postawiła zarzuty 78 osobom, które oszukały ok. 3 tys. osób. Śledczy dokładnie sprawdzili, kim były ofiary „pośredników" z Torunia. To starsi schorowani ludzie, najczęściej z wykształceniem zawodowym, którzy nie znają się na prawie, nie rozumieją finansowego języka ani nie mają świadomości mocy podpisywanych dokumentów.

Dokładnie w takiej sytuacji znalazła się też mieszkanka Sopotu. Kobieta chciała wyremontować łazienkę. Pożyczyła od lichwiarza 15 tys. zł. Pojęcia jednak nie miała, że podpisała z nim umowę, w której wcale nie brała pożyczki, a po prostu sprzedała mu swoje mieszkanie! Była pewna – bo tak też mówił jej lichwiarz – że w dokumentach zapisane jest, że dopiero w razie problemów z oddaniem długów mieszkanie przejdzie na jego własność. Kobieta była spokojna, bo mimo dość niskiej pensji starała się w terminie spłacać raty. Pożyczyła nawet pieniądze od rodziny, by pozbyć się długu u lichwiarza. Jednak w pewnym momencie lichwiarz przestał odbierać telefony od kobiety, która chciała się z nim umówić i oddać pożyczone pieniądze. Dopiero wtedy się zorientowała, że padła ofiarą oszusta.

ZMIANY W PROKURATURZE

Prokuratura w lutym 2016 r. umorzyła jednak sprawę. Nie dopatrzyła się żadnych nieprawidłowości. Sopocianka, która przez lichwiarza straciła przecież mieszkanie, gdzie żyła razem z rodziną, nie poddała się i złożyła w sądzie prywatny akt oskarżenia. Dopiero gdy minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro został na początku marca 2016 r. prokuratorem generalnym, polecił sprawdzić wszystkie śledztwa dotyczące lichwiarskich pożyczek. Śledczy dotarli też do sprawy mieszkanki Sopotu i dokładnie sprawdzili, jak wyglądała jej pożyczka, co się stało

REKLAMA



27/0518/F

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9c712df3b7

z mieszkaniem i wreszcie, jak było prowadzone śledztwo. Okazało się, że wcześniej prokuratorzy umorzyli śledztwo, choć nie przesłuchali świadków, nie sprawdzili zapisów w oszukańczej umowie, a przede wszystkim dali wiarę lichwiarzowi, który wmawiał im, że utrzymując się z renty, kupił za gotówkę mieszkanie warte prawie 1 mln zł. Prokuratura przystąpiła więc do postępowania przed sądem, który w końcu wydał wyrok na lichwiarza – rok i cztery miesiące więzienia.

GEHENNA W SĄDACH

Dziewięć długich lat sądowej batalii z lichwiarzami – to cena, jaką małżeństwo 60-latków ze Starachowic, Dorota i Andrzej K., zapłaciło za przysługę wyświadczoną chrześnicy. Wygrali bój o cały swój majątek – 56-metrowe mieszkanie – gdy do sprawy włączyła się prokuratura. Lichwiarze odpowiadają przed sądem. Rodzinna tragedia zaczęła się w 2006 r., gdy w finansowe kłopoty popadła chrześnica pani Doroty, Marzena. Wraz z mężem Dariuszem miała aż 60 tys. zł długu. I żaden bank nie chciał im dać kolejnego kredytu na spłatę tego zadłużenia.

Przez internet znaleźli mężczyznę, który obiecał im „pomoc w wyjściu z długów". Skontaktował ich z lichwiarską firmą B.

Zastawem miało być mieszkanie matki chrzestnej Marzeny. Kobieta się zgodziła. Nie miała pojęcia, że przysługa zakończy się dla niej takimi problemami. 14 listopada 2006 r. Dorota i Andrzej K. podpisali u notariusza niezbędne umowy, choć nie byli świadomości ich znaczenia. Mają tylko podstawowe wykształcenie, a prawnicze pisma były dla nich zupełnie niezrozumiałe. Z podpisanych dokumentów wynikało, że zabezpieczyli pożyczkę chrześnicy, ustanawiając hipotekę na 60 tys. zł na swoim mieszkaniu w Starachowicach. Podpisali też dokumenty, w których upoważnili lichwiarzy do sprzedaży ich mieszkania w razie braku spłaty pożyczki w wyznaczonym terminie. Niestety, zadłużona już wcześniej chrześnica znów nie poradziła sobie ze spłatą kolejnych rat. W połowie czerwca 2007 r. lichwiarze przejęli więc mieszkanie K. i wystąpili do Sądu Rejonowego w Starachowicach o ich eksmisję. Nie czekali jednak na rozstrzygnięcie. Oddali mieszkanie małżonków innej firmie, E., w ramach spłaty własnych długów. I to ta firma ponownie wystąpiła do tego samego sądu o eksmisję państwa K.

27 czerwca 2013 r. zapadł wyrok – Sąd Rejonowego w Starachowicach uznał, że małżonkowie nie mają już praw do swojego mieszkania. I znów z pomocą przyszła Prokuratura Okręgowa w Gliwicach. Jeszcze w 2012 r. wystąpiła do Sądu Okręgowego w Kielcach z pozwem przeciwko lichwiarzom. Zażądała w nim unieważnienia dokumentów podpisanych przez rodzinę K. i przejęcia mieszkania przez oszustów. 13 czerwca 2014 r. sąd przyznał rację prokuraturze. Ale to nie był koniec sądowej walki. Prokuratura złożyła kolejny pozew, by unieważnić oddanie mieszkania firmie E. Prawomocny wyrok zapadł dopiero 1 marca 2016 r. Sąd Apelacyjny w Krakowie przyznał rację prokuraturze – potwierdził nieważność transakcji między lichwiarzami a firmą E. Tym samym mieszkanie mogło wrócić do jego prawowitych właścicieli, czyli Doroty i Andrzeja K. Prokuratura Rejonowa w Starachowicach pomogła im jeszcze potem w złożeniu wniosku do sądu, by małżonkowie znów zostali wpisani do księgi wieczystej jako właściciele mieszkania.

OSZUSTWO NA 20 MLN ZŁ

Jedną z największych spraw prowadzonych przez śledczych jest afera, którą rozwikłała Prokuratura Regionalna w Gdańsku. W grę wchodzić może nawet 7 tys. mieszkań, które wyłudzono lub próbowano wyłudzić na podstawie lichwiarskich umów. Grupa przestępcza liczyła 20 osób, wśród których znajdowali się biznesmeni i notariusze. Straty ofiar oszustów wyceniane są na kwotę 20 mln zł! Grupa działała perfekcyjnie. Najczęściej kontaktowała się z pokrzywdzonymi przez pośredników, którzy zajmowali się wyszukiwaniem składanych przez pokrzywdzonych ogłoszeń w internecie na tzw. giełdzie pożyczek gotówkowych o zamiarze zaciągnięcia pożyczki albo pokrzywdzeni byli wyszukiwani np. w urzędzie miejskim na tablicy ogłoszeń licytacyjnych.

> Z lichwiarskich pożyczek mogło skorzystać nawet 10 proc. Polaków

– W toku prowadzonego postępowania Prokuratura Regionalna w Gdańsku ustaliła ponad 400 pokrzywdzonych – ludzi, którzy stracili mieszkania i domy. Przestępcy proponowali swoim ofiarom pożyczki pod zastaw ich mieszkań. Ich wysokość wynosiła od 1 tys. do 50 tys. zł. Pokrzywdzeni dostawali tylko część obiecanych pieniędzy. Wartość ich mieszkań była zaniżana nawet o połowę, a ukryte oprocentowanie sięgało 80 proc. Ofiary lichwiarzy często były oszukiwane nawet wtedy, gdy rzetelnie zwracały pieniądze. Nie dostawały za to pokwitowań. Przy podpisywaniu umów lichwiarze uzyskiwali od nich zgodę na wymeldowanie ich i ich rodzin z mieszkania. Potem egzekwowali zapisy z umowy, zmuszając pokrzywdzonych różnymi metodami do opuszczenia nieruchomości – relacjonuje prokurator Ewa Bialik, rzecznik prasowy Prokuratury Krajowej.

MAFIA

Lichwiarze, którzy w ten sposób odbierają ludziom mieszkania, domy czy działki za niewielkie kwoty pożyczek, działają jak mafia. Mają w swych strukturach przekupnych notariuszy, którzy zamiast chronić przed oszustwem, sami biorą w nim udział. Szykują dokumenty, kłamią, że ich treść jest zgodna z prawem i udają, że tłumaczą znaczenie sporządzonych umów. Prokuratura zatrzymała już czterech takich notariuszy z Warszawy i jednego z Trójmiasta. W sumie przedstawiono im ok. 120 zarzutów niedopełnienia obowiązków w celu osiągnięcia korzyści majątkowej i pomocnictwa w oszustwach.

eprasa.pl 9c712df3b7



Figura pełna uczuć

Wie, co znaczy odpowiednie wejście. Umiała tę wiedzę wykorzystać na festiwalu w Gdyni. Czy jednak wysmuklona, nomen omen, figura i blond afro zapewnią ***Katarzynie Figurze*** *powrót do kina? Trzeba przyznać, że w wypełnionym gwiazdami filmie „7 uczuć" Marka Koterskiego nie dała się zepchnąć w cień, ale też nie błyszczała jak dawniej*

Fot. Podlewski/AKPA

eprasa.pl 9c712df3b7



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Andrzej Chyra i Katarzyna Figura w filmie „7 uczuć”

Fot. WFDiF

Jak przystało na gwiazdę – nawet tę, która tytuł pierwszoplanowej rodzimej seksbomby zdobyła w siermiężnych peerelowskich realiach i która potrafiła utrzymać ten status przez kolejne dekady zmian (również we własnym wyglądzie) – Katarzyna Figura znów zaskoczyła widzów. Oraz koleżanki z ekipy „7 uczuć”.

SEKSBLOND

Efekt „wow” został osiągnięty po raz pierwszy, gdy odpowiednio spóźniona pojawiła się na konferencji najnowszego filmu Marka Koterskiego. Burza platynowych loków, podkreślony karminową szminką hollywoodzki uśmiech, kocie ruchy eksponujące figurę i strój odsłaniający słynne nogi na kilka minut przykuły uwagę dziennikarzy oraz fotoreporterów. Nie do końca starczyło tego zainteresowania na wypowiedzi aktorki, która z chęcią zagarnęłaby widownię dla siebie na dłużej. Musiała się jednak dzielić z resztą imponującej obsady. Notabene w wielu przypadkach świecącej na ekranie o wiele mocniej niż Katarzyna Figura, obsadzona – jakże by inaczej – „po warunkach”, czyli w roli najpopularniejszej dziewczyny z klasy, kradnącej serca wszystkim chłopakom.

SZKOLNA OPRESJA

Przewrotność pomysłu twórcy filmu – by w szkolne mundurki przebrać współczesne polskie gwiazdy i z całym ich dzisiejszym emploi przenieść je w peerelowskie realia – nie każdemu jednak posłużyła. Genialnie odnalazła się w konwencji Gabriela Muskała, zagarniając każdą scenę z udziałem znerwicowanej prymuski. W świat Koterskiego, po raz kolejny diagnozującego stan ducha i fobie ulubionego bohatera, zarazem swojego alter ego, jak w masło weszli dawni aktorzy filmów o Adasiu Miauczyńskim, wśród nich: Adam Woronowicz, Ilona Ostrowska, Robert Więckiewicz, Cezary Pazura. W swój czas i formę trafił syn reżysera Michał (jako Adaś – dorosły i dziecięcy). Odnaleźli się w tym klimacie grający po raz pierwszy u Koterskiego m.in. Maja Ostaszewska, Marcin Dorociński, Joanna Kulig czy Sonia Bohosiewicz. Trochę niewygodnie było za to w nim Andrzejowi Chyrze i – niestety – Katarzynie Figurze.

Fakt: uczniowski mundurek nie najlepiej podkreśla zewnętrzne atrybuty. O jedną sceną za dużo, by wybronić dystans do tej postaci, przyniosło też szkolne przedstawienie, w którym bohaterka na plecach swoich kolegów, niczym Nel na wielbłądzie odgrywa scenę z „Pustyni i w puszczy”.

LATO ZMIAN

„7 uczuć” Marka Koterskiego raczej nie wesprze rynkowej pozycji aktorki, ale Katarzyna Figura ma w zanadrzu nie tylko temperament gwiazdy, lecz i świetnie opanowany triki autoprezentacji. Tego lata, po okresie wyciszenia, zaczęła bywać na co znaczniejszych nadmorskich imprezach.

Na festiwalu w Gdyni przypomniała, że pierwszą aktorską nagrodę, i to za główną rolę, zdobyła dzięki Markowi Koterskiemu i jego filmowi „Ajlawju”. Było to w 1999 r., 12 lat po tym, jak ruszył dla niej „Pociąg do Hollywood”. Potem zdarzyły się w jej życiu lata niespełnionych marzeń o sławie w prawdziwym Hollywood, a także niezmienna adoracja polskich widzów, wspominających jej role w filmach „Kingsajz”, „Porno” czy obu „Kilerach”, ale też doceniających pracę w „Zemście”, „Żurku” czy „Ubu Królu”, który 2003 r. przyniósł jej w Gdyni kolejną nagrodę za główną rolę kobiecą.

Następne sezony – z wyjątkiem eksperymentalnego „Summer Love”, gdzie goliła głowę, krótkometrażowej „Arii Divy” Agnieszki Smoczyńskiej czy „Yumy”, w której sprowadzała na złą drogę Jakuba Gierszała, oferowały jej już niestety role „konfekcyjne” i coraz mniejsze.

POCIĄG Z GDYNI

Cztery lata temu zdecydowała się przenieść z córkami i mamą nad morze. Otoczona zainteresowaniem mediów na dobre zamykała za sobą warszawski etap życia, w tym czas burzliwego związku z amerykańskim biznesmenem i producentem Kaiem Schoenhalsem (za którego wyszła za mąż w bajkowej scenerii, ojca jej dwóch córek, z którym przez parę odpowiednio nagłośnionych sezonów prowadziła w stolicy restaurację i z którym rozstała się, ogłaszając publicznie, że była ofiarą przemocy domowej).

Opuszczała miasto kuszące wizją kariery kolejne pokolenia aktorów, by w Gdyni – co podkreśla w wypowiedziach zaraz po przeprowadzce, ale i najnowszych – wejść w inny rytm życia. Tu, po zamknięciu współpracy z warszawskim Teatrem Dramatycznym, znalazła sceniczne wyzwania w Teatrze Wybrzeże w Gdańsku, ale też etat dający finansową stabilność. Teraz najwyraźniej znów marzy, by pociąg częściej zawoził ją na duży ekran.

eprasa.pl 9c712df3b7



Bill Cosby ze swoim rzecznikiem Andrew Wyattem przed sądem w Montgomery w Norristown, 10 kwietnia 2018 r.

Bill Cosby w wieku 81 lat trafił do więzienia. Spędzi tam od trzech do dziesięciu lat. Szok? Nie dla Amerykanów, którzy nie mają oporów, by za kratki posyłać celebrytów. W Polsce jest to rzecz raczej niespotykana

Hollywood za kratkami

Fot. Shutterstock (4)



ŁUKASZ ADAMSKI

W kwietniu tego roku sąd uznał Billa Cosby'ego za winnego wykorzystywania seksualnego kobiety. Aktor był oskarżony o podanie środków odurzających i molestowanie seksualne Andrei Constand. Podczas ogłoszenia wyroku na sali była obecna Lili Bernard, którą Cosby także miał molestować. W płaczu wyznała, że wyrok przywrócił jej wiarę w ludzkość. Cosby został oskarżony o molestowanie 32 kobiet. To, obok sprawy Harveya Weinsteina, najbardziej brutalna historia wywołana ruchem #MeToo.

Do zdarzenia z Constand doszło w 2004 r. w domu aktora. „Ofiara nie wyraziła na żadną z czynności seksualnych zgody i zeznała, że nie była w stanie się poruszać ani mówić, czuła się zmrożona i sparaliżowana" – mówił Kevin R. Steele, zastępca prokuratora okręgowego. Według „New York Timesa" Cosby wiele lat wcześniej przyznał się (sprawę załatwiono ugodą), że kupował tabletki Quaalude „z zamiarem podawania ich młodym kobietom, z którymi chciał uprawiać stosunki seksualne". Według oskarżających go kobiet Cosby miał zawsze ten sam schemat działania. Wabił kobiety na obietnice pomocy w karierze aktorskiej. Zapraszał na drinka albo kawę i dosypywał do nich narkotyki. Potem uprawiał z kobietami seks.

IKONA ZA KRATKAMI

Bill Cosby kilkanaście dni temu rozpoczął odsiadywanie wyroku w Stanowym Centrum Korekcyjnym w Phoenix. Więzienie znajduje się 40 km od miejsca jego zamieszkania. Dawna ikona amerykańskiej telewizji i gwiazda konserwatywnego show dziś musi się przedstawiać jako więzień numer NN7687. Upadły celebryta wielką willę zamienił na celę o wymiarach 2,7 m na 4 m. Amerykańskie media wciąż żyją sprawą Cosby'ego, relacjonując, jakie jest menu w nowym miejscu zamieszkania tego rozmiłowanego w hedonistycznym życiu aktora. Skąd takie podejście do Cosby'ego?

eprasa.pl 9c712df3b7



Od lewej: Martha Stewart, Robert Downey Jr. i Wesley Snipes

To nie tylko aktor. To wręcz ikona show-biznesu. „New Yorker" opisywał historię modelki i aktorki Barbary Brown, która poznała Cosby'ego w wieku 17 lat. Traktowała go jako mentora i autorytet. Również w jej przypadku skończyło się na podaniu tabletek gwałtu. „Był ulubionym tatą Ameryki. Sądziłam, iż dla mnie też nim będzie. Wykorzystał moje słabości. Przekonał mnie, że zadba o mnie niczym ojciec, że kocha mnie niczym córkę" – wyznawała w tekście Brown. Szokujących relacji kobiet zmuszanych do seksu, szantażowanych i manipulowanych było znacznie więcej. W kilku przypadkach doszło jednak do przedawnienia. Można zadać pytanie, dlaczego kobiety były tak uległe wobec czarnoskórego aktora. Odpowiedź kryje się w serialu, który przez osiem lat królował w amerykańskiej telewizji. Chodzi o nadawany w latach 1984–1992 „Bill Cosby Show". Show cieszył się ogromną popularnością również w Polsce.

Cosby doskonale pasował do amerykańskiego mitu o self-made manie. Został ikoną telewizji i jednym z najsłynniejszych telewizyjnych ojców, uosabiających amerykańskie wartości w czasach, gdy czarnoskórzy aktorzy nie osiągali tak łatwo sukcesu. Był pierwszym komikiem, który przetarł szlaki takim afroamerykańskim królom komedii jak Eddie Murphy, Chris Rock, Martin Lawrence czy Dave Chappelle.

NIEPOPRAWNY POLITYCZNIE KOMIK

Cosby wychował się w biedzie i pełnej przemocy części Filadelfii. Studia skończył dzięki stypendium dla sportowców. Przeszedł drogę od stand-upera w podrzędnych klubach do gwiazdy telewizji, której nazwisko widniało w tytule show. Niewielu dostępuje takiego zaszczytu. W „Bill Cosby Show" wciela się w rolę powszechnie szanowanego lekarza. Jego żona jest prawniczką. Mają pięcioro dzieci. Serial był ekranizacją marzeń każdego Amerykanina. Twórcy mówili przeciętnemu Amerykaninowi: możesz być biedny, ale ciężką pracą i uczciwością osiągniesz sukces w USA. Nawet jeżeli jesteś czarnym mieszkańcem getta. Taka była wymowa serialu, który był atakowany przez czarnoskórych artystów (m.in. przez komika Richarda Pryora) za pomijanie realnych problemów czarnych w Stanach Zjednoczonych. Cosby nie tylko nic nie robił sobie z ataków, lecz je podsycał, bezczelnie łamiąc normy poprawności politycznej. W 2004 r. odbierał wyróżnienie za działalność charytatywną na wielkiej gali w Waszyngtonie, wydanej z okazji 50. rocznicy wyroku Sądu Najwyższego zakazującego segregacji rasowej w amerykańskich szkołach. W obecności murzyńskich działaczy, gwiazd i polityków zaatakował czarnoskórych mieszkańców slumsów. Oskarżył ich nie tylko o brak ambicji, przemoc, zażywanie narkotyków, lecz również o złe wychowywanie dzieci i „beztroski seks nastolatków".

„Afroamerykanie stoją tylko na rogu i nawet nie znają angielskiego. Ja rozumiem język, którego oni używają: »Czemuś był coś?«, »Gdzieś ty byłem?«. Winiłem za to te dzieciaki, dopóki nie usłyszałem, jak wyraża się ich matka" – mówił Cosby, wprawiając słuchaczy w coraz większe zdumienie. „A potem usłyszałem ojca. Wszyscy wiedzą, że nauka angielskiego jest bardzo ważna, tylko nie te głąby. Przecież nikt nie zostanie lekarzem, gdy z ust wydobywa mu się tylko ten syf. Tych ludzi nic nie usprawiedliwia. Przecież od pokoleń mieszkają w Ameryce, a ich angielski jest gorszy od angielskiego Koreańczyków, którzy tu niedawno przyjechali" – kontynuował. Jego wystąpienie wywołało ogólnonarodową debatę. Oskarżano go, że stał się biały. „Wuj Tom!" – krzyczano. Duża część Afroamerykanów wzięła go jednak w obronę. Dlaczego? Uznano, że tak

eprasa.pl 9c712df3b7

ważna publiczna postać ma prawo krytykować patologie dotyczące jej własnej rasy.

CELEBRYCI Z WYROKAMI

Właśnie taka ikona i celebryta, któremu wybaczono łamanie politpoprawnych norm, dziś siedzi w więzieniu. Nie w areszcie domowym. Nie z zawieszoną karą. 81-letni Bill Cosby spędzi co najmniej trzy lata z Afroamerykanami, o których mówił tak podczas słynnego przemówienia w 2004 r.: „A ci, co siedzą w więzieniach? To nie są żadni więźniowie polityczni. To są ludzie, którzy ukradli puszkę coca-coli. Dostają kulkę w łeb za kawałek ciastka. A my się oburzamy, krzyczymy, że policja nie powinna do nich strzelać. Tylko co oni do cholery robili z tym skradzionym ciastkiem w ręku?".

Bill Cosby nie jest jedynym celebrytą, który trafił za kratki mimo swojego statusu społecznego i miłości milionowej widowni. To prawda, że przez lata wykpiwał się od wyroku, zawierając finansowe układy ze swoimi ofiarami. Przecież tak samo niewyjaśnione do dziś kontrowersje z pedofilią w tle załatwiał Michael Jackson. Haniebnym wyrokiem było uniewinnienie od podwójnego morderstwa sportowca i aktora O.J. Simpsona, choć jego sprawa miała podtekst polityczny i społeczny. W innych głośnych przypadkach wymiar sprawiedliwości nie był tak łagodny dla idoli mas.

Wiele gwiazd Hollywood trafiało na krótki czas do aresztu za posiadanie narkotyków czy jazdę pod wpływem alkoholu. Zdarzały się też zatrzymania za łamanie prawa podczas politycznych manifestacji. Gwiazda kina Roberta Rodrigueza Danny Trejo przed karierą aktorską spędził za różne rozboje i przestępstwa ponad 11 lat w więzieniu. Najciekawsze są jednak przypadki postaci, które już będąc częścią show-biznesu, szły za kratki. Cosby nie jest odosobniony.

W 1992 r. Mike Tyson został uznany za winnego gwałtu na Miss Black America Desiree Washington. Ówczesny król boksu, niekwestionowany champion, został skazany na 10 lat więzienia. Sędzia ostatecznie zawiesił ostatnie cztery lata. Filmowa gwiazda lat 90. Wesley Snipes został skazany na trzy lata więzienia za niezapłacenie 40 mln dolarów podatków. Konkretnie chodziło o różne nieprawidłowe zwroty podatków i pobierane ulgi. Aktor próbował kreować się na ofiarę sędziów, którzy chcą skazać znaną osobę, ale niewiele wskórał. Nie udało mu się też podnieść kwestii rasowej. Ostatecznie gwiazda „Blade'a" i „Człowieka demolki" spędziła w więzieniu dwa i pół roku, resztę kary odbywając w domu. Od razu po wyjściu Snipes zagrał zabawny epizod w „Niezniszczalnych" Sylvestra Stallone'a. Wcielił się w najemnika odbijanego przez kompanów... z więzienia. 42 dni w kalifornijskim więzieniu Chino State Prison spędził w 1977 r. Roman Polański. Na mocy ugody (zerwanej potem) w sprawie seksu z nieletnią Polański miał w więzieniu badać się psychiatrycznie. Po wyjściu uciekł do Paryża. Do dziś jest ścigany przez amerykański wymiar sprawiedliwości.

> Bill Cosby, dawna ikona amerykańskiej telewizji i gwiazda konserwatywnego show, dziś musi się przedstawiać jako więzień numer NN7687

Pięć miesięcy w więzieniu spędziła Martha Stewart. Ikona amerykańskiej telewizji, która przez lata mówiła Amerykanom, jak urządzać dom i co jeść, była oskarżona o transakcję papierami wartościowymi z wykorzystaniem poufnych informacji, niedostępnych zwykłym inwestorom (insider trading). Wszystko po tym, jak w grudniu 2001 r. sprzedała swoje akcje firmy farmaceutycznej na dzień przed ich radykalnym spadkiem na giełdzie. Ostatecznie skazana została tylko za utrudnianie śledztwa, co i tak zaprowadziło ją za kratki na prawie pół roku. W 2013 r. raperka Lauryn Hill spędziła w więzieniu trzy miesiące. Również za niepłacenie podatków. Sąd skrócił jej karę z uwagi na to, że była niekarana i jest matką sześciorga dzieci. Mniej szczęścia miała raperka Lil' Kim, która trafiła do więzienia na ponad rok za krzywoprzysięstwo. Trzy miesiące w więzieniu musiał odsiedzieć Christian Slater, skazany w 1997 r. za pobicie swojej dziewczyny i naruszenie nietykalności cielesnej policjanta. Aktor i raper Ja Rule trafił za kratki na ponad dwa lata za nielegalne posiadanie broni palnej i oszustwa podatkowe.

Najgłośniejsza była jednak sprawa innego aktora. Robert Downey Jr. jest dziś twarzą serii „Avengers". Za 15-minutowy występ w roli Iron Mana w „Spider-Man: Homecoming" (2017) dostał 10 mln dolarów. W latach 2013–2014 za role Tony Starka w „Iron Man 3" i „Avengers: Czas Ultrona" zgarnął, uwaga, 75 mln dolarów. Nie zawsze mu się wiodło tak dobrze. Wychowany w artystycznej rodzinie chłopak od dziecka miał problemy z narkotykami. Nominacja do Oscara za rolę Charliego Chaplina (1992) wyniosła go na sam szczyt hollywoodzkiej drabiny. Upadek był bardzo bolesny. Downey Jr. został aresztowany w czerwcu 1996 r. za posiadanie kokainy, heroiny i pistoletu. Dostał wyrok w zawieszeniu, który szybko złamał. Po naruszeniu warunkowego zwolnienia po raz trzeci w 1999 r. został skazany na rok i trzy miesiące więzienia. To była tylko część kary, która przez lata wisiała nad jego głową. W 2015 r. gubernator Kalifornii Jerry Brown ułaskawił aktora, argumentując, iż otrzymał potwierdzenie sądowe świadczące, że „od zwolnienia z więzienia prowadził uczciwe i praworządne życie, prezentował dobrą postawę moralną i był przestrzegającym prawa obywatelem".

Ciekawe, czy Bill Cosby kiedykolwiek jeszcze usłyszy, że prowadzi praworządne życie i ma dobrą postawę moralną? Jak widać, w USA nawet 81-letnia gwiazda Hollywood ma szansę na resocjalizację. W pomarańczowym kombinezonie i z numerem więziennym.

eprasa.pl 9c712df3b7

Światowa rozrywka straciła jedną ze swych wielkich legend. W wieku 94 lat zmarł Charles Aznavour – francuski piosenkarz, kompozytor i aktor, który nigdy nie zapomniał o swych ormiańskich korzeniach. Jego kariera trwała ponad 80 lat. Wielokrotnie występował w Polsce, prawdziwi melomani pamiętają go do dziś



Charles Aznavour: pożegnanie nestora piosenki



ADAM CIESIELSKI

Skromnie mawiał o sobie, że jest autorem piosenek, które czasami ośmiela się sam wykonywać. Faktycznie stworzył ponad tysiąc przebojów dla siebie i innych, spopularyzowanych na 200 mln płyt. Jest symbolem francuskiej kultury, a urodził się 22 maja 1924 r. w Paryżu jako Szahnur Waghinak Aznawourian, w rodzinie ormiańskich emigrantów z Turcji. Już w wieku dziesięciu lat występował – wraz z siostrą Aidą – w restauracji swego ojca. Marzył o aktorstwie, lecz edukację w szkole dramatycznej musiał przerwać, by zarabiać na życie. Wierzył w swe szanse artystyczne, choć z powodu niskiego wzrostu (161 cm) i brzmienia głosu z nosową wibracją nie wróżono mu sukcesów scenicznych.

Na estradzie zaistniał w duecie z Pierre'em Roche'em. Potencjał debiutantów dostrzegła Edith Piaff, niekwestionowana gwiazda. Zaprosiła ich w 1946 r. na swe tournée po Francji, a potem na występy w USA. Gdy Roche ożenił się w Kanadzie i tam został, Aznavour po powrocie do Paryża kontynuował współpracę z Piaff, pisał także dla innych pieśniarzy.

Od połowy lat 50. XX w. z powodzeniem rozwijał własną karierę. Zarówno wokalną, jak i filmową. Światową sławę przyniosły mu śpiewane przez niego w wielu językach szlagiery w rodzaju „La Bohème", „La Mamma", „Emmenez-moi", „Isabelle", „She" oraz role w filmach z „Taksówką do Tobruku" czy „Blaszanym bębenkiem" na czele. Wypełniał największe audytoria – od paryskiej Olympii po londyńską Royal Albert Hall i nowojorską Carnegie Hall. W Polsce – wylansowany przez Lucjana Kydryńskiego w jego radiowej „Rewii piosenek" – gościł po raz pierwszy bodaj w 1963 r., wracając potem wielokrotnie. Z ostatnich jego przyjazdów pamiętam koncert w Operze Leśnej w Sopocie (1984 r.) i w Sali Kongresowej (2014 r.).

W 1998 r. w plebiscycie CNN i magazynu „Time" został uznany za Artystę Estradowego XX w., dostając więcej głosów niż Elvis Presley czy Bob Dylan.

Bywałem wielokrotnie na jego występach w Polsce, ale możliwość rozmowy z artystą miałem w 2009 r. na targach muzycznych w Cannes. Gdy pytałem, jaki jest sekret jego niezmiennie znakomitej formy, odpowiedział, że dawno rzucił papierosy, z alkoholi pija tylko lekkie wina, ale najważniejsza jest umiejętność czerpania radości z życia i aktywność. „Zawsze żyłem szybko i lubiłem odmiany. Długoletnia podwójna przygoda z estradą i filmem była nie lada frajdą, jedna kariera nakręcała drugą. Dziś na obie te dziedziny mam coraz mniej czasu, bo wciąga mnie działalność dyplomatyczna i charytatywna na rzecz tak bliskiej memu sercu Armenii. A przecież jest jeszcze życie rodzinne – mam sześcioro dzieci, liczne wnuki i prawnuki, które też mnie potrzebują". Na pożegnanie Aznavour wyznał, że choć mieszka w Szwajcarii, wytchnienia od swych niezliczonych zajęć szuka w prowansalskim Mourie's. „Mam tam 600 drzew oliwnych, niech pan mi wierzy – niewiele jest przyjemności większych niż doglądanie zbioru owoców, transportu do tłoczni, odbiór i smakowanie własnej oliwy. Radzę spróbować samemu".

Aznavour niedawno koncertował w Japonii. W maju złamał rękę, ale już wydobrzał, bo w listopadzie od Paryża miał zacząć tournée po Francji. Teraz, jak zawsze na przełomie lata i jesieni, zjechał odetchnąć do Prowansji, którą mi tak rekomendował. Zmarł 1 października w swym domu w Mourie's.

Fot. Shutterstock

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Samotność przyzwoitego posła

„Niejaki Rejtan, zresztą poseł z Nowogrodu,/ Co w jakiś sposób jego krok tłumaczy mi,/ Z szaleństwem w oczach wszerz wyciągnął się na progu/ I nie chciał puścić posłów w uchylone drzwi" – śpiewał Jacek Kaczmarski. Opisał jeden z najsławniejszych obrazów Jana Matejki. Gdzie malarz pomieszał zdarzenia roku 1772 i z czasów konfederacji targowickiej. Ale umocnił mit posła na Sejm, co z odsłoniętą piersią próbował się sprzeciwiać zdradzie.

Aktor Sambor Czarnota miał rację, mówiąc na prapremierze Teatru Telewizji „Rejtan. Druga strona drzwi" (do obejrzenia w ten poniedziałek), że ten sprzeciw wobec ratyfikacji pierwszego rozbioru Polski to temat na fascynujący film. Jakub Pączek i Piotr Derewenda napisali telewizyjne widowisko, a ten pierwszy je wyreżyserował.

Tadeusz Rejtan swój tragiczny gest wykonał w wieku 31 lat, a zmarł śmiercią samobójczą, pogrążony w szaleństwie, w wieku 38. Może najciekawszym tematem sztuki jest jego samotność. Przywykliśmy postrzegać Polaków jako naród pięknych gestów. A Rejtan w swojej walce ma przy sobie niewielu, na końcu nikogo. Jego obłęd to ucieczka przed tą straszną prawdą.

Świetna jest scena, kiedy przyjmujący marszałka Sejmu, sprzedajnego Ponińskiego, rosyjski ambasador Stackelberg szykuje przyjęcie dla polskich dostojników. Miejsca przy stole wyznacza się kolejnym znanym nazwiskom. Oni wszyscy byli wtedy tam właśnie, w obcej ambasadzie. Wrażenie robi rozpaczliwa szamotanina Rejtana i jego kolegów, aby użyć archaicznego prawa dla zatrzymania tego, co bezprawne i złe. Druga strona zawsze ich wyprzedza – mieszanką kruczków i coraz bardziej otwartej przemocy.

Mamy też szerszy dylemat. Czy Rzeczpospolita z własnej winy skazana na bezsiłę powinna się szarpać z pętlą na szyi? Czy cierpliwie unikać gwałtownych ruchów. Cóż z tego, kiedy ostrożność, dająca się w teorii bronić, wygląda tak niegodnie. Jej rzecznikiem jest król Stanisław August, inteligentny, ale operetkowy, bez charakteru. Choć rzecznikiem tej postawy staje się też towarzysz Rejtana w oporze Samuel Korsak. W pewnym momencie zmienia kontusz na cudzoziemski strój i zaczyna deklamować o reformach.

To materia na większe komplikacje, brakło mi tu trochę mocniejszego wyczucia historycznych paradoksów. Tekst dobrze oddaje ciąg zdarzeń, jednak bez dramaturgicznego naddatku.

Jakub Pączek debiutował tą inscenizacją. Brakło mu daru kreowania wielkiego widowiska, które cechowało choćby przedstawienie „Trzeci Maja" Grzegorza Królikiewicza z 1976 r. Tym bardziej brak tu porywającej natury historycznych przedstawień Teatru Telewizji z poprzednich sezonów. Wawrzyniec Kostrzewski zrobił z „Listów z Rosji" perfekcyjny polityczny balet. Tu wszystko jest zgaszone, senne. Może to celowe, mamy odczuwać smutek. Ale jego też jest za mało.

Mirosław Haniszewski po głównej roli w „Jestem mordercą" wydawał się wymarzony do oddania szamotaniny Rejtana. Przekonujący jest, gdy pokazuje go jako skupionego, kalkulującego opozycjonistę. Nie dźwiga przemiany w szaleńca. Dobrze wypadają: Cezary Kosiński jako Poniński czy Andrzej Mastalerz jako Ryx. Ledwie poprawnie prezentuje się król Pawła Deląga. Może najlepszy jest Sambor Czarnota jako psychotyczny Stackelberg. Za dużo tu jednak ról, które łatwo się zapomina.





A jednak wdzięczny jestem Teatrowi Telewizji za przywołanie tego archetypu. Jest o czym myśleć w stulecie niepodległości. Dobrze to czy źle, że tyle było w polskiej historii pragmatyzmu łamanego przez oportunizm? Kto był grabarzem Polski – ci, co się szarpali, czy ci, co chcieli żyć wygodnie?

Piotr Zaremba

Urok chopinowskich brzmień

Głośnym echem – nie tylko w kraju – odbił się I Międzynarodowy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych. Zwycięstwo wyeksponowało talent mało dotychczas znanego 23-letniego polskiego pianisty Tomasza Rittera, a sama impreza okazała się eksperymentem godnym kontynuacji



ADAM CIESIELSKI

Jak faktycznie brzmiał Chopin? Przywykli do jego dzieł wykonywanych na współczesnych fortepianach Steinwaya, Yamahy czy Faziolego nie pamiętamy, że nasz geniusz tworzył i grał na inaczej zbudowanych, delikatniejszych akustycznie instrumentach z I połowy XIX w. zwanych fortepiano czy piano forte. Nurt wykonawstwa historycznego (funkcjonującego na świecie pod angielską nazwą „historically informed performance") dał w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat odkrywcze efekty w odniesieniu do muzyki renesansu i baroku, pojawiły się więc opinie, że wreszcie czas przybliżyć autentyczne brzmienia romantyzmu.

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina korzystając ze stale powiększającej się swej kolekcji instrumentów z epoki, od dawna zachęcał artystów do wykonywania na nich utworów patrona placówki. Z inicjatywy Stanisława Leszczyńskiego, wicedyrektora NIFC i pomysłodawcy międzynarodowego festiwalu „Chopin i jego Europa", bywalcy tej warszawskiej imprezy od lat nie tylko mieli okazję słuchać koncertów na dzisiejszych instrumentach, lecz też byli oswajani z atutami interpretacji zorientowanych historycznie. Ideę zorganizowania osobnego festiwalu takich ujęć wsparł minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński, zapewniając niezbędne finansowanie. Gdy w marcu 2018 r. ogłoszono, że już we wrześniu odbędzie się I Międzynarodowy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych, przyznam, że termin wydał mi się mało realny.

Zdążono jednak ze wszystkim. Dzięki kontaktom międzynarodowym NIFC wieść o nowym konkursie rozeszła się błyskawicznie. Wobec krótkiego terminu liczbę 58 zgłoszeń wypada uznać za sporą, choć przecież w „wielkim", organizowanym od 1927 r. konkursie chopinowskim, jest ona współcześnie kilkakrotnie wyższa. Do udziału zakwalifikowano 30 pianistów, w tym 16 z Polski. Do dyspozycji uczestników było aż 19 instrumentów z epoki oraz kopii z kolekcji NIFC i zbiorów prywatnych. Każdy z występujących w I etapie mógł swój program realizować na trzech różnych instrumentach, co wymagało ekwilibrystyki w dokonywaniu szybkich zmian na estradzie.

Decyzją międzynarodowego jury, tworzonego przez renomowanych artystów, zwycięzcą został 23-letni Tomasz Ritter, lublinianin z urodzenia, od 2014 r. student Konserwatorium Moskiewskiego. Od I etapu grał pewnie, stylowo, ze zrozumieniem wyjątkowości brzmieniowej fortepianu historycznego. To nowa, nader obiecująca postać w gronie młodych polskich pianistów. Kolejne nagrody: II – ex aequo dla Polki Aleksandry Świgut i Japończyka Naruhiko Kawaguchiego, III – dla kolejnego rodaka, Krzysztofa Książka – wzbudziły już kontrowersje. Niedocenieni wydali mi się oryginalny Rosjanin Dmitry Ablogin (dostał tylko wyróżnienie) oraz Ukrainka Dinara Klinton.

Warszawska impreza cieszyła się dużą frekwencją, obszernie relacjonowały ją TVP i Polskie Radio. Zainteresowały się nią również zagraniczne media. W filharmonii miałem przyjemność spotkać Johna Allisona, znakomitego krytyka brytyjskiego, szefa „Opera Magazine", piszącego również dla „Daily Telegraph" i pism amerykańskich.

Na platformie streamingowej YouTube konkurs miał 445 tys., na Facebooku – 160 tys. wyświetleń. To dobry wynik jak na debiutujące wydarzenie. Trzeba iść za ciosem. Druga edycja Konkursu Chopinowskiego na Instrumentach Historycznych jest planowana na rok 2023. Wcześniej, bo już w 2020 r., w Warszawie odbędzie się XVIII Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina.



I Międzynarodowy Konkurs Chopinowski na Instrumentach Historycznych, Filharmonia Narodowa, 2–14 września

Autopromocja

eprasa.pl 9c712df3b7



TERAZ JESTEŚMY TAKŻE W

upc

NA POZYCJI

339 dekoder Mediabox

121 dekodery KAON i Horizon

oraz w internecie:

- **www.wPolsce.pl**
- **www.wPolityce.pl**

eprasa.pl 9c712df3b7



Trzecia ciemność

Solidną monografię historyczną czyta się trochę jak „Morfinę" Twardocha, tak perfekcyjnie pokazuje dwuznaczność i brutalność podziemnych gier okresu okupacji

Wojciech Stanisławski

„Polska Armia Ludowa" (nie należy mylić tej nazwy z komunistyczną AL) to jedyny w swoim rodzaju fenomen: już z samej nazwy nieuprzedzony czytelnik próbuje wyciągnąć wnioski o manii wielkości, od której musieli być niewolni jej twórcy, o sympatiach politycznych, ale sama formacja pozostaje niemal nieznana. Pojawia się w opracowaniach, zazwyczaj w postaci abrewiatury PAL, jeśli nie w przypisach, to w zestawieniach „pomniejszych formacji zbrojnych lat wojny i okupacji w Polsce", usiłujących ugrać swoje podczas akcji scaleniowej podjętej przez Armię Krajową, a potem w tragicznych popowstaniowych miesiącach.

Również zawodowi historycy poświęcali jej uwagę rzadko, już to za sprawą skąpych i trudnych w interpretacji źródeł, już to świadomi, jak grząski jest to temat, pełen niejednoznaczności, sprzeczności, oskarżeń. Wielu uznanych nawet autorów prześlizgiwało się po fenomenie PAL lub zgoła go nie dostrzegało, powtarzając obiegowe sądy o formacji zbrojnej związanej z lewym skrzydłem PPS i syndykalistami, grawitującej ku ośrodkom władzy związanym z Moskwą, a w 1945 r. płynnie wtapiającej się w struktury Ludowego Wojska Polskiego.

Gdybyśmy nawet podejrzewali, że nie jest to cała prawda (w latach 1939–1945 nie zdarzały się na ziemiach Polski proste historie), monografia niewielkiej formacji zbrojnej czynnej przed kilkudziesięciu laty należy do tej kategorii prac, które zwykle omawiane są w periodykach fachowych, wysoko cenione przez zawodowych historyków, trafiają do uczelnianych księgarń. Tymczasem z informacją o tej książce warto dotrzeć do znacznie szerszego grona dla dwóch co najmniej powodów.

Po pierwsze, ponieważ to benedyktyńskie dzieło, którego autor tylko przez skromność prezentuje jako „zbiór szkiców raczej niż biografię", jest ponadprzeciętnie odkrywcze. Mamy do czynienia z opisem genezy, struktury, przywódców i losów formacji o zdumiewających ambicjach i powiązaniach, której twórca i komendant główny – Józef Borucki „Czarny" – jawi się nam jako skrzyżowanie fantasty, mitomana, geniusza organizacyjnego oraz osoby związanej z gestapo i innymi służbami. Zapiera dech lista tajemniczych momentów i zwrotów w dziejach PAL, lojalnie wymienianych przez autora już we wstępie: począwszy od dwukrotnych ucieczek Boruckiego z rąk gestapo, poprzez niejasne rodowody polityczne i przedwojenne zaangażowania innych wysokich rangą dowódców PAL, aż po relacje między kontrwywiadem KG AK a PAL.

Lista zagadek na tym dopiero się jednak zaczyna: niejasna jest natura relacji między PAL (stanowiącą wszak z założenia formację zbrojną radykalnego skrzydła socjalistów) a organizacją Miecz i Pług czy strukturami NSZ; próby organizowania swoistej frondy przeciw dowództwu powstania warszawskiego oraz alternatywnych struktur wojskowych – tzw. Połączonych Sił Zbrojnych. Co dopiero mówić o przechodzeniu do PAL w ostatnich miesiącach wojny żołnierzy AK i NSZ – a jednocześnie udziale oficerów PAL w pruszkowskim aresztowaniu „szesnastu"?

Ta przeszłość odtwarzana jest przez autora na podstawie niezwykłego zestawu źródeł: obok wybrakowanych, lecz cennych

eprasa.pl 9c712df3b7

ort ekstremalny

akt PAL i AK, drugim podstawowym zasobem danych okazały się zapisy śledztw prowadzonych przez Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, zachowane w IPN. Obfitość tego zasobu (kilkanaście tysięcy stron!) nie czyni go bardziej przejrzystym: stanowi on mieszaninę informacji rzeczywistych, fałszywych oraz inspirowanych przez śledczych, którzy prowadzili na rozmaitych szczeblach różnego rodzaju gry operacyjne o nie zawsze przejrzystym dla nas celu. Co więcej, gry te nie skończyły się wraz z odwilżą, zakończeniem dziewięcioletniego (!) śledztwa w sprawie Boruckiego, jego zwolnieniem z więzienia, a następnie rehabilitacją w roku 1958. Przez kolejnych kilka lat dawny komendant główny PAL był nadal przedmiotem inwigilacji, a jednocześnie, na innym piętrze, uczestnikiem „gry o ZBOWiD", toczonej między weteranami AK a członkami innych formacji, której wynikiem żywo zainteresowane były i Stronnictwo Demokratyczne, i różne frakcje w PZPR, i PAX.

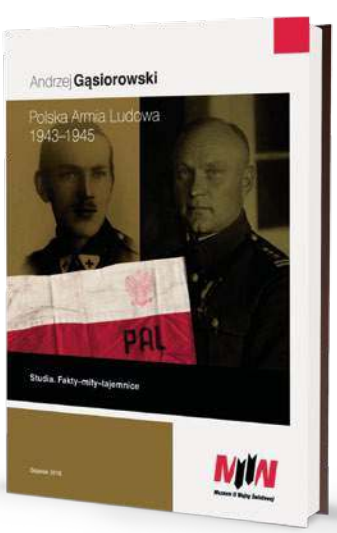
Mamy zatem do czynienia z pracą traktującą szczegółowo o latach 1943–1945, w niektórych ustaleniach i spekulacjach wybiegającą jednak daleko poza ten czas, ukazującą związki ludzi PAL z całą paletą polskich środowisk politycznych. Jest to zarazem praca, której autor stwierdza, że nie sposób uzyskać odpowiedzi na pytanie o charakter Polskiej Armii Ludowej bez dostępu do archiwów wywiadu sowieckiego, będących obecnie w gestii rosyjskiej. Już to sprawia, że mamy do czynienia z książką ważką, której ustalenia powinny zostać uwzględnione w przyszłych syntezach traktujących o historii II wojny na ziemiach polskich, inspirującą i budzącą kontrowersje.

Monografię prof. Gąsiorowskiego, jeśli czytelnik zdoła powstrzymać spojrzenie ześlizgujące się w dół strony, ku puchnącym w przypisach sygnaturom akt AAN i IPN, można czytać w zupełnie innym kluczu niż klasyczną pracę historyczną. Rzecz o Polskiej Armii Ludowej warto zestawić z wydaną przed niespełna pół rokiem, miejscami sfabularyzowaną, biografią „wielokrotnej agentki" Wandy Kronenberg pióra Michała Wójcika oraz z literaturą czystej wody, „Morfiną" Szczepana Twardocha z roku 2012. Obie te książki zasługują w swojej kategorii na wysokie noty, bardzo wybitna literacko „Morfina" doczekała się wielu laurów. A zarazem – piszę to wolny od intencji umniejszenia ich wartości – „Polska Armia Ludowa", w okładce powściągliwych barw, idzie dalej niż oba głośne tytuły w wysiłku odkrywania nieznanego, unikanego obrazu okupacji hitlerowskiej.

Nie mam przy tym na myśli prostych antyheroicznych demitologizacji, których entuzjaści, reagujący alergicznie na spiż jak inni na pyłące trawy, usiłują co kilka lat zorganizować jakiś skandalik. Nie idzie mi też o spór (banalizowany choćby w rocznicę powstania warszawskiego), w którym kładziona jest na szalach walka powstańców i męka ludności cywilnej, narracja podkreślająca bohaterstwo walczących lub doświadczenia ofiar. Nie, odkrywczość „Morfiny", biografii Kronenbergówny, a teraz monografii PAL polega na ukazaniu przerażającej wieloznaczności, ludzkiej i politycznej, tamtego czasu.

Zaryzykowałbym wręcz tezę, że mamy do czynienia z odkrywaniem „nowej ciemności". Przez lata poznawaliśmy tę pierwszą: przejmującą, narzucającą się ciemność cierpień obywateli Rzeczypospolitej, ciemność Szucha, Pawiaka, getta i kanałów Starówki. Pół wieku po zakończeniu wojny zaczęliśmy poznawać inną, trudniejszą do udźwignięcia ciemność ludzkich upadków, zdrady, szmalcownictwa, dowiedzieliśmy się więcej o donosicielach smarujących swoje nieortograficzne listy do „Szanownego pana Giestapo". Dodać trzeba, że zarówno gorączkowe, dyktowane złą wolą wysiłki, by zdemitologizować dziedzictwo tamtych lat, jak równie nieraz gorączkowe zapieranie się, negowanie niewygodnych faktów zaprowadziło na manowce kilku badaczy i wielu publicystów.

Książki, które wymieniam powyżej, ukazują nam „trzecią ciemność": niejednoznaczność, ludzką i polityczną, wielu ówczesnych zaangażowań. Mniejsza o rozproszenie organizacyjne, o sytuację, w której każdy, kto dysponuje zdezelowanym powielaczem i kilkoma pistoletami maszynowymi, jest w stanie stworzyć własną formację. Mniejsza o gry wywiadów, w których nieraz nie wiemy, czy mamy do czynienia z podwójnym agentem, czy z dwiema osobami połączonymi literówką konspiracyjnej maszynistki. Idzie raczej o atmosferę brutalizacji działań, zacierania granic między „eksami" na rzecz organizacji a napadami rabunkowymi, desperacji. „A kiedy w nocy domy syczą/ I w oknach pożar jest źrenicą/ Nad litrem z osowiałą twarzą/ Zasiedli bracia Karamazow" – jak pisał uważny, choć mocno nieżyczliwy obserwator Warszawy ostatniego roku okupacji.



Andrzej Gąsiorowski, „Polska Armia Ludowa 1943–1945", Muzeum II Wojny Światowej, Gdańsk, 2018

Zawarty w książce opis „zamachu likwidacyjnego" w jednej z wielu mordowni na Służewie, przeprowadzonego 22 czerwca 1944 r., choć sporządzony zgodnie z wszelkimi regułami warsztatu, mógłby być równie dobrze cytatem z Twardocha: są w nim zajeżdżające z chicagowskim sznytem półciężarówki, wrzask: „Strzelać wszystkich s...synów", brzęk butelek, granatowa policja pozorująca napad rabunkowy, by ukraść utarg, chaotyczna strzelanina nad kartofliskami, pozorowany pośpiech Niemców i zachowana w strzępach meldunków zapowiedź krwawego uderzenia odwetowego w środowisko domniemanych sprawców. Tak wyglądały rozgrywki przedwojennych dziennikarzy i działaczy, którzy swoje cywilizowane ambicje i niechęci z czasów II RP przenieśli w czasy wojny światowej. Warto o nich czytać: ku przestrodze.

eprasa.pl 9c712df3b7

Adamski



Miauczyński wraca!



Adaś Miauczyński to najsłynniejszy neurotyk polskiego kina. Postać mogąca spokojnie stanąć obok Allenowskich dziwaków z Manhattanu. Marek Koterski stworzył jedną z najbardziej charakterystycznych postaci w historii polskiej tragikomedii. Nauczyciel, filmowiec czy pracownik naukowy. Nieważne, jaką funkcję w społeczeństwie pełnił. Zawsze wyrażał frustrację polskiego inteligenta, naznaczonego ciągiem fatalnych nawyków umęczonych w PRL Polaków.

Alkoholizm, nerwica, depresja. Marek Koterski w każdym z filmów ukrywał swoje największe lęki, frustracje i emocjonalne pogruchotanie pod warstwą specyficznego humoru i języka, który sam wykreował na ekranie. „7 uczuć" to jego najbardziej osobiste dzieło. To powrót do dzieciństwa, a więc okresu, gdy najmocniej kształtują się nasze emocje i uczucia. Strach, złość, smutek, radość, wstręt, zazdrość, wstyd – siedem uczuć, których uczymy się w dzieciństwie.

Nagrodzone na festiwalu w Gdyni „7 uczuć" to dzieło naprawdę nowatorskie w formie. Dorośli wcielają się tutaj w dzieci! W rolach 12-latków zobaczymy całą plejadę gwiazd polskiego kina na czele z Marcinem Dorocińskim, Katarzyną Figurą (jej matkę gra Joanna Kulig!), kradnącą cały show znakomitą Gabrielą Muskałą czy przezabawnym Andrzejem Mastalerzem. W Miauczyńskiego wcielił się tym razem Michał Koterski. Ten sam, który w poprzednich filmach grał syna najsłynniejszego filmowego neurotyka znad Wisły. Wielkie to wyzwanie, skoro aktor „jednej roli" musi się wcielić w postać graną w absolutnie kultowych dla Polaków filmach przez Marka Kondrata i Cezarego Pazurę.

Michał Koterski wywiązał się z zadania znakomicie, bo „7 uczuć" jest skrojone pod jego ekspresyjność i image. To duży dzieciak doskonale odnajdujący się na kolanach mamusi. Jest równie zabawny jak wzruszający. Rozczula tak samo mocno, jak irytuje.

Film otwiera jego spowiedź u psychologa o głosie, a jakże, Krystyny Czubówny. Miauczyńskiemu rozpadło się małżeństwo. Nie potrafi kochać. Żyje w ciągłej depresji. Jest na dnie. Koterski zabiera nas do jego, a właściwie swojego, dzieciństwa. Do głębokiego PRL z kostycznymi nauczycielami (brawa dla Marcina Kwaśnego), podwórkowymi trzepakami, skakankami na szkolnym boisku i dziecięcymi zabawami tego okresu. Koterski wraz z aktorami bawią się pomysłem, by dorośli grali dzieci (odwrotność triku Alana Parkera z „Bugsy Malone"), co samo w sobie jest przezabawne.

Niektórych widzów może razić dosłownie wykrzyczany w finale morał, jaki serwuje Koterski. Jest on jednak ujmująco szczery. „7 uczuć" jest filmową spowiedzią człowieka szukającego w najdalszych rejonach umysłu i duszy źródeł własnych problemów emocjonalnych. Reżyser przeprowadza na ekranie psychoterapię samego siebie. W kinie taka bezkompromisowa szczerość jest coraz rzadsza. Cieszę się, że Koterski wrócił do swojej formy po nieudanym „Baby są jakieś inne". Okazuje się, że rozmawiając o dzieciach, ma o wiele więcej mądrych pytań. I odpowiedzi.

„7 UCZUĆ", REŻ. MAREK KOTERSKI, DYSTR. KINO ŚWIAT



Blu-Ray

Gwiezdny western

Nie zadowolił Disneya finansowy wynik tego filmu. „Han Solo. Gwiezdne wojny – historie" podobno zatrzymał produkcje kolejnych spin-offów najsłynniejszej filmowej sagi w historii naszej galaktyki. To zaskakujące, bo film zbierał naprawdę niezłe recenzję i nie wzbudzał kontrowersji jak nowe filmy o epopei Skywalkerów. Polubiłem ten gwiezdny western od pierwszego wejrzenia, mimo że Harrison Ford jako Han Solo był zawsze moim ulubionym bohaterem „Star Wars" i trudno było mi sobie wyobrazić w jego roli kogokolwiek innego. Choć fabuła jest banalna i pretekstowa, to wyjętemu fachurze Ronowi Howardowi udaje się wyciągnąć cały klimat scenariusza Lawrence'a Kasdana, który pisał przecież wybitne „Imperium kontratakuje". Jest industrialny mrok, szarzyzna galaktyki opanowanej przez dyktaturę Imperium i na dodatek nie ma nigdzie metafizyki Jedi. Alden Ehrenreich jako młody Solo nie imituje Forda. Jego relacja z Chewbaccą i zawadiackość dopiero się rodzą wśród bandy gwiezdnych piratów, którzy... a zresztą obejrzyjcie sami. To naprawdę przepyszna rozrywka dla dużych chłopców.

„HAN SOLO. GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE", REŻ. RON HOWARD, DYSTR. GALAPAGOS

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl 9c712df3b7

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca



Urocza komedia

Kino

Potrzebuję takich filmów. Szczególnie po dłuższym czasie zanurzania się w ciężkim, psychologicznym kinie, coraz bardziej pokręconych serialach i awanturze o kolejny obraz Smarzowskiego. Potrzebuję ciepła, wzruszenia i pozytywnych wartości.

Ten film mi to daje w stu procentach. Poznajcie Felice Castriotta (Fabrizio Ferracane). To kochający luksusowe życie hedonista. Lubi przepych. Kocha mamonę. Pazerność powoduje, że popada w tarapaty. Spokojne życie bogatego księgowego pcha go w ramiona mafioza U'Pacciu (Christian Iansante). Jak można się domyślić, Felice pierze mu brudne pieniądze. No i wpada w ręce policji. Ma wybór: więzienie albo świadek koronny. Księgowy wybiera to drugie. Jego kryjówką będzie kościelny szpital dla upośledzonych. Hedonista poznaje nagle zupełnie inne życie. Złoto i grube pliki banknotów zamienia na opiekę nad niepełnosprawnymi. Łącznie ze zmianą pieluch.

„Mam przyjaciół w niebie" to prosta i trafiająca w serce opowieść o przyjaźni, poświęceniu i dojrzewaniu do prawdziwych wartości. Oś scenariusza jest zbudowana wokół przyjaźni Felice z niepełnosprawnym Antoniem (Antonio Folletto), z którym niegdyś cyniczny i zakochany w sobie księgowy wystawia w zakładzie przedstawienie. Co ciekawe, pensjonariuszy grają niepełnosprawni z Ośrodka Don Guanella w Rzymie. Niesamowity zabieg. Pełen czułości i humanizmu.

Oczywiście nie spodziewajcie się po tym filmie wielkich zaskoczeń narracyjnych. Skoro zły hedonista odnajdzie prawdziwe ja i nawet zbliży się do nienawidzącej go wcześniej kobiety, to przeszłość i tak go dopadnie. W najmniej spodziewanym momencie. No, ale łatwiej ją pokonać, będąc innym człowiekiem. Nieprawdaż? Widzieliśmy już te schematy. Co jednak z tego, skoro pewne bajki kochamy za każdym razem.

Reżyser Fabrizio Maria Cortese aplikuje nam wiele dobra, ciepła i po prostu pozytywnie nastraja do życia. Nie jest to żadne wybitne kino. Jednak Włosi potrafią nawet z prostych historii zrobić coś zaskakującego smacznego. Cóż, to oni w końcu wymyślili pizzę! Ten film jest taką dobą pizzą. Znamy jej pospolity smak, ale przyrządzona przez osobę kochającą swoją pracę smakuje wybornie.

„MAM PRZYJACIÓŁ W NIEBIE"
REŻ. FABRIZIO CORTESE, DYSTR. RAFAEL

Spowiedź ikony

VOD/telewizja

Córka ikony amerykańskiego snu i konserwatywnych wartości Henry'ego Fondy, która stała się twarzą skrajnie lewicowego buntu pokolenia '68. Dwukrotna zdobywczyni Oscara i wybitna aktorka dramatyczna, będąca w pewnym momencie kariery seksbombą w „Barbarelli". Żona multimilionera, która w młodości poświęciła się walce z amerykańskim korporacyjnym kapitalizmem. W końcu gwiazda fitness, zarabiająca miliony na eksponowaniu własnego ciała, choć kilka lat wcześniej kreowała się na ostrą feministkę. Jane Fonda – chodząca sprzeczność. W ujęciu Susan Lacy obnaża swoją dzisiejszą twarz. Jane Fonda w haniebny sposób



zdradziła własny kraj, fotografując się na dziale przeciwlotniczym armii komunistycznego Wietkongu, mając za plecami tzw. Hanoi Hilton, gdzie torturowano amerykańskich jeńców. Miała czelność mówić amerykańskim jeńcom, że są zbrodniarzami wojennymi i „są odżywieni" w komunistycznym więzieniu. Nie wybaczyli jej tego nawet weterani z Wietnamu, którzy protestowali przeciwko wojnie. W tym filmie 80-letnia ikona kina przeprasza i rozlicza się ze swoją przeszłością. W naiwny i infantylny sposób. Warto tę spowiedź jednak zobaczyć.

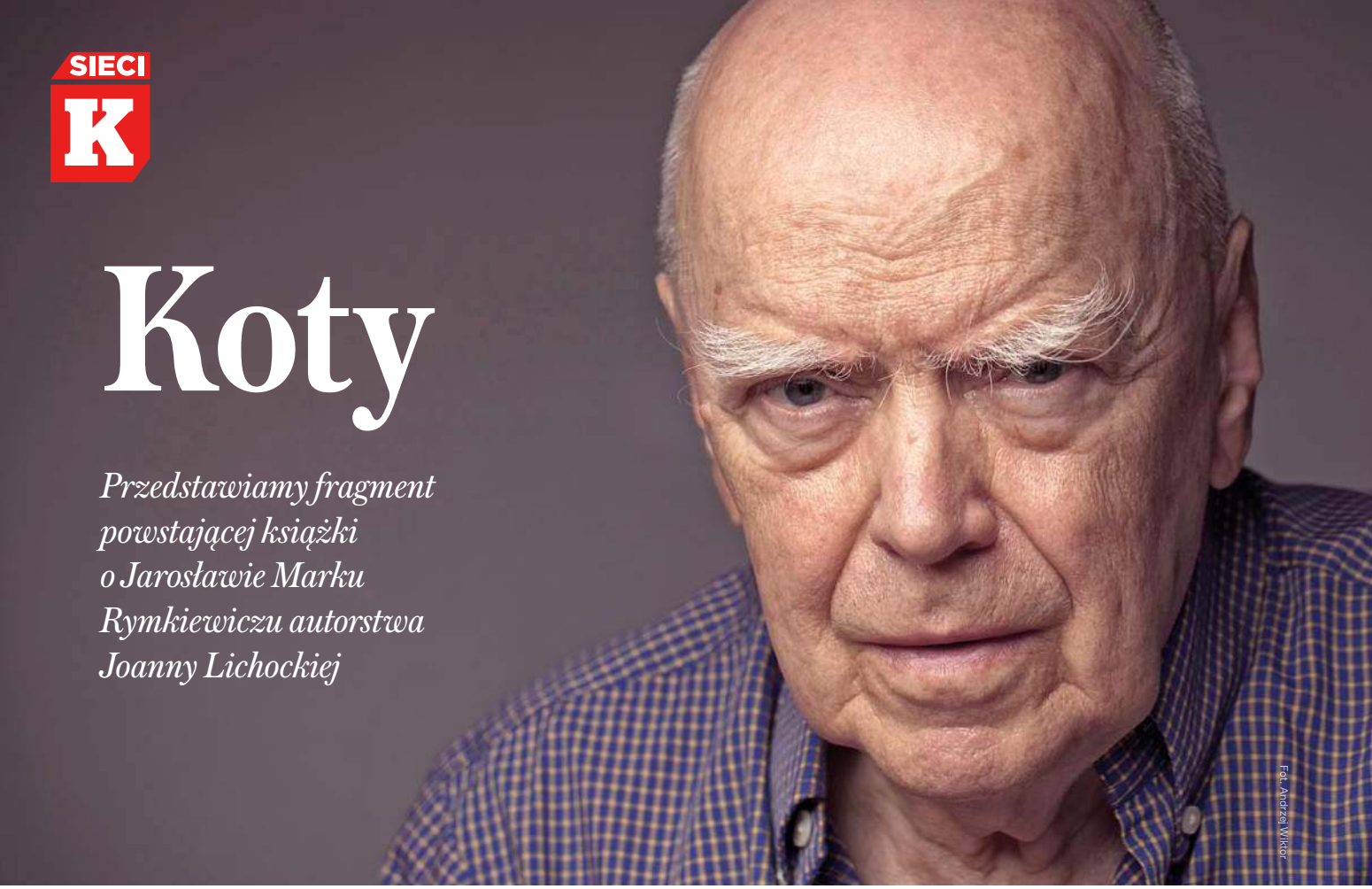
„JANE FONDA W PIĘCIU ODSŁONACH"
DOSTĘPNY NA HBO I HBO GO

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl 9c712df3b7

Koty

Przedstawiamy fragment powstającej książki o Jarosławie Marku Rymkiewiczu autorstwa Joanny Lichockiej



Fot. Andrzej Wiktor



JOANNA LICHOCKA

Jesienią, był to już najpewniej początek października 1939 roku, rodzina poety dotarła do majątku babki Baranowskiej pod Pułtuskiem. Po kilku tygodniach wędrówki różnymi podwózkami i najmowanymi wozami, po owej „rajzie wrześniowej", która była wtedy udziałem setek tysięcy Polaków, zatrzymali się w Świerczynie. Mieszkanie na Nowogrodzkiej nie nadawało się do użytku, Śródmieście Warszawy zniszczone było od niemieckich bombardowań – nie było tam czego szukać. Zostało kilka migawek – „kawałek ulicy Nowogrodzkiej, który było widać z dziecinnego pokoju, rękę, która w salonie na Nowogrodzkiej nakręca patefon (patefony były wtedy na korbkę), żeby puścić mi płytę z moją ulubioną pieśnią pod tytułem »Flisacy«" („Kinderszenen", str. 20) – niewiele więcej. „Niemiecka wojna zrobiła mnie tym, kim teraz jestem. Byłem chłopcem ze środka Warszawy, z rogu Marszałkowskiej i Koszykowej, i to, co wtedy widziałem, ukształtowało całe moje życie. To kształtowało mnie potem przez lata, w jakiś sposób dla mnie niezauważalny. Wreszcie przyszła taka chwila, kiedy zrozumiałem, że to jest fundament mojej osobowości, że mam to za plecami i o to się opieram – że myślę tak, jak chciała i nadal chce wojna. Dlatego w mojej książce pojawia się taki rozdziałek, który nazywa się »Głowa Wojny«. Grecy nazywali to Mojrą, czyli przeznaczeniem. Dla mnie tamta niemiecka wojna okazała się rodzajem przeznaczenia – to był mój los, wszedłem w krąg wojny i nie było z niego wyjścia. Ta wojna była i pozostaje moim losem" – mówił Jarosław Marek Rymkiewicz po opublikowaniu „Kinderszenen" („Rozmowy polskie w latach 1995–2008", Rozmowa z Krzysztofem Masłoniem, str. 230). Jednak w „Kinderszenen" „Głowa wojny" jest dopiero rozdziałem w środku książki – licząc razem ze wstępem „Od Autora", to część dwunasta. Znacznie wcześniej, otwierający bezpośrednie wspomnienie z czasu wojny jest rozdział trzeci, następujący po wstępie i po rozdziale „Dowód osobisty". Nosi tytuł „Koty w Gnojnie". Najwcześniejsze, konkretne wspomnienie z tamtego czasu, nie migawka, chwila, ale porządne, fabularne wspomnienie, z początkiem, rozwinięciem i zakończeniem, „pierwsza wspomnieniowa całość" z tego czasu, kluczowego dla dalszego życia poety, dotyczy kotów. To one, a nie spadające za oknem hotelu w Brześciu lub w Lublinie bomby, nie żołnierz niemiecki z bronią na moście na Bugu, który przepuścił rodzinę przyszłego pisarza z powrotem w kierunku Warszawy, nie bombardowania dróg, którymi uciekali z i wracali do Warszawy, a które mały Jarek wedle opowieści starszej siostry komentował „ale walą, ale walą" – zatem żaden z tych obrazów jak z kadrów klasycznych filmów wojennych – uświadomiły czteroipółlatkowi to, że jest śmierć. „Spróbujcie wytłumaczyć to

eprasa.pl 9c712df3b7

komuś, kto nie wie, nie ma pojęcia, że coś takiego jest w ogóle możliwe, a przekonacie się, jakie to zrobi na nim wrażenie" – pisze narrator w „Kinderszenen". Gdy w poezji dorosłego Rymkiewicza na dobre zagoszczą koty – pojawiają się na przełomie 1996 i 1997 roku – to na początku w kontekście śmierci. „Nicość ma kocie pazurki, jest kocia": „Nicość chodzi pod jabłonką/ Na pazurkach pomalutku",(„Nicość. Trzecia piosenka" w tomiku „Znak niejasny, baśń półżywa") albo: „Marzec czyli miesiąc koci/ Na pazurkach się przybliża/ Duch nicości bardzo psoci/ Lepiej strzeż się tego żwirza [...] Kiedy miauczy jak kot dziki/ Ja się żegnam znakiem krzyża" („Koci miesiąc. Pierwsza piosenka" w tomiku „Znak niejasny, baśń półżywa").

Koty „nietzscheańskie mają ciągoty" i biegną w „Wielkim Biegu", bo „Wielkie Koło/ Znowu toczy się wesoło", („Kocie zaloty. Druga piosenka" w „Znak..."), są mieszkańcami kosmosu: „I w kosmosie – jest kota natura prawdziwa/ I ukryte w kosmosie – jest istnienie kocie", a na dodatek „I jeszcze nie wiadomo – czy to Bóg je słucha/ Gdy z istnienia wystaje mu kawałek ucha" („Ogród w Milanówku, koty pod koniec stycznia" w „Znak..."), bo Bóg też może jest koci? Koty w poezji Jarosława Marka Rymkiewicza zagościły na dobre od 1996 roku nieprzypadkowo. Wtedy, niedługo po przeprowadzce do Milanówka, w życiu rodziny Rymkiewiczów pojawiły się na stałe i koty. Zapanowały w domu i ogrodzie i, stopniowo w kolejnych wierszach. W ciągu kilku lat stały się kluczowymi bohaterami poezji autora „Do widzenia gawrony". „Koty, szalone koty, mają specyficzny status egzystencjalny, którego nawet człowiek, niby ta korona stworzenia, nie posiada" – zauważył w posłowiu do „Zachodu słońca w Milanówku" Ryszard Przybylski – „Każdy kot to wąsate ujednostkowienie" („Zachód słońca w Milanówku", Posłowie str. 71). Niekiedy kocia podmiotowość wzmocniona jest przypisem poety: „Kotka Psotka – postać rzeczywista", jak w wierszu „Kosmiczny walc Johannesa Brahmsa" z tomiku pt. „Zachód słońca w Milanówku" z 2002 roku.

Ale wybiegliśmy w przyszłość – wróćmy do tego pierwszego, traumatycznego spotkania małego Jarka z kocim losem zimą 1939/1940 roku. Była mroźna i śnieżna. W Gnojnie/Świerczynie – jak czytamy w „Kinderszenen" – „były nawet takie tygodnie, kiedy dwór babki był zasypany śniegiem po skraj jego skośnego dachu". Jest na ten temat wiele świadectw. O „wyjątkowo srogiej zimie" pisała na przykład Karolina Lanckorońska we „Wspomnieniach wojennych", meteorolodzy sklasyfikowali ten czas – od grudnia do marca – jako jeden z najchłodniejszych w XX wieku – temperatury spadły poniżej minus 30 stopni, a rekord, minus 41 stopni, zanotowano w styczniu 1940 roku w Siedlcach. „Wielka i sroga zima z roku 1939 na 1940 mogła również być powodem tego, że wszystkie koty babki (prawdopodobnie wszystkie) mieszkały wtedy we dworze" – czytamy w „Kinderszenen" – „Jeśli tej zimy koty mieszkały we dworze, moja babka, inaczej być nie mogło, musiała wyrazić na to zgodę, musiała więc uznać, że na dworze, gdzieś w lasku czy w obejściu, kotom będzie za zimno – że tam nie przeżyją. [...] Jeśli [...] wpuściła koty na zimę do domu, jeśli nie dała im zamarznąć na dworze, to może miała twarde serce, ale tylko dla ludzi. Dla ludzi serce twarde, a dla kotów miękkie" („Kinderszenen", str. 22).

Kotów było co najmniej kilkanaście, ale jakie były – szare, czarne, z krawatem, ze skarpetkami, żółte czy brązowe? „Jak wyglądały babcine koty, tego moja pamięć nie zapamiętała" – mówi narrator („Kinderszenen", str. 21–22). Ale po napisaniu książki Jarosław Marek Rymkiewicz we „Fragmencie autobiografii", czyli „Liście do pani Bożenny Kucharczyk", napisał tak: „Pamiętam też oczywiście żółte i czarne koty babki Aliny". Nie jest tego najwyraźniej pewny, bo natychmiast wartość wspomnienia podważa: „Ale co z tego należy zaliczyć do rzeczywistości, a co było tworem wyobraźni pięciolatka? Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć". Ale nie pomylimy się zapewne, że skoro tych kotów u babci Aliny było tak wiele – może było ich i ze dwadzieścia? – to można założyć, że były pośród nich także żółte i czarne. „Pamiętam tylko, że kotów było wiele, że biegały z pokoju do pokoju i że biegałem za nimi, wchodziłem za nimi pod łóżka, choć nie potrafię dojść po co" („Kinderszenen", str. 22–23). I tu zaczyna się już dokładniejsze wspomnienie: „Gdzieś na przedwiośniu, może nawet wcześniej, koty zaczęły umierać [...] umierały w sposób, który trzeba określić jako obrzydliwy [...] Konwulsje, wzdęte brzuchy, rzyganie, futra pokryte żółtą mazią [...] rzygowiny żółto-krwawe [...] Umieranie było masowe, to znaczy koty umierały dzień po dniu, aż do tego dnia, w którym umarł ostatni z nich [...] żółte i żółto-krwawe kałuże w pobliżu łóżek, mojego i siostry, to jest właśnie to, co najlepiej z tego wszystkiego zapamiętałem". A gdy umarł ostatni kot, wtedy też „pierwsza zima niemieckiej wojny dobiegła końca". „Stałem na Skarpie i czekałem, żeby między białymi taflami kry pojawiły się martwe koty – płynące w czarnej lub w zielonej wodzie w kierunku Kleszewa i dalej, do Pułtuska i Warszawy. [...] moja wyobraźnia chciała, żeby koty miały wodny pogrzeb – chciała, żeby Narew zabrała je z Gnojna i żeby popłynęły, między białymi taflami kry, razem z ich żółtymi rzygowinami, gdzieś daleko, żeby zniknęły za zakrętem, tam gdzie rzeka zakręcała w kierunku Pułtuska i zaczynało się wielkie czarne rozlewisko".

I co z tym zrobić? Nikt martwych kotów nie spławiał Narwią, co narrator „Kinderszenen" zaraz przecież wyjaśnia. Ale niespełna pięciolatek ma wizję wodnego pogrzebu kotów, stoi na skarpie, na brzegu przepaści, i czeka. Skąd taki pomysł? Potraktować to poważnie? Czy jednak tego akurat ze wspomnień zawartych w „Kinderszenen" nie należy włożyć w nawias kreacji narratora (albo chociaż traktować nieufnie)? Co jakiś czas z „Kinderszenen" porządny krytyk literatury musi mieć taki kłopot – co jest autobiografią, prawdziwym wspomnieniem Jarosława Marka Rymkiewicza, co kreacją pisarza? – nie do zweryfikowania. Biedny teoretycy niech się męczą. A my? Dajemy sobie z tym radę tak: ponieważ w jak najbardziej autobiograficznym „Liście do pani Bożenny Kucharczyk" wspomnienie to pisarz potwierdza („Stoję na szczycie skarpy, pod stopami, w przepaści, mam przedwiosenną Narew (trochę ciemnozieloną, trochę czarną) i czekam, żeby pojawiły się zmarłe koty, które z Narwią powinny popłynąć z Gnojna do Pułtuska"), to nie

eprasa.pl 9c712df3b7

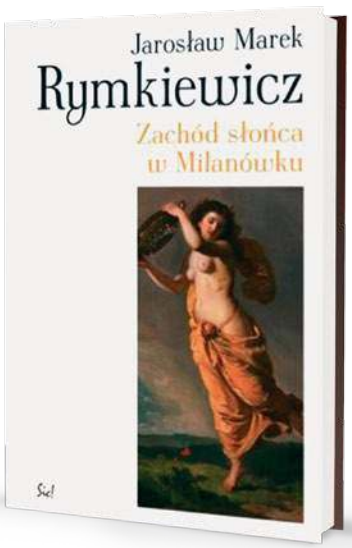
pozostaje nic innego, jak przyjąć je za fakt biograficzny. W marcu 1940 roku Jarosław Marek Rymkiewicz czekał na martwe koty płynące Narwią pośród kry.

W tej historii warto zwrócić uwagę nie tylko na ów mitologiczny, literacki, w kolejnych warstwach kultury zapisany motyw śmierci i rzeki, pogrzebu i przemijania, w który wpisała się wyobraźnia kilkulatka (lub pisarz chciał, aby się wpisała). Warto przyjrzeć się nie tyle postrzeganiu Narwi w ten śmiertelny, wojenny czas jako Styksu lub Acheronu, choć to także jest ciekawe i pewnie zakopalibyśmy się w gąszczu odniesień, symboli i znaczeń na wiele, wiele kolejnych stron – zostawmy to jednak innym. Tu przyjrzyjmy się temu, jakim językiem 73-letni, gdy pisał „Kinderszenen", twórca, sprawę opisuje.

Koty zaczęły „umierać", były „zmarłe", miano do czynienia z „kocimi zwłokami". Nie „zdychały" ani nie było „trupa". Autor od razu sprawę wyjaśnia: „Powinienem raczej napisać, że zaczęły zdychać, ale różnica miedzy umieraniem a zdychaniem jest co najmniej wątpliwa [...] nie ma żadnej różnicy – skutek umierania jest bowiem akurat taki sam jak skutek zdychania. Skutek jest taki, że coś, co było żywe, przestaje być żywe. Życie (kompletnie nie wiadomo dlaczego) gdzieś ucieka, gdzieś się ulatnia, rozwiewa, znika – tyle wynika ze zdychania oraz z umierania".

Ale co to znaczy, że różnicy między umieraniem a zdychaniem nie ma? Że koty równie dobrze umierają, co zdychają, że zostają zwłoki, a nie trupio? Pomocny nam tu będzie Guślarz z „Dziadów" – ten co „z duchami gadał". A właściwie pierwowzór Mickiewiczowskiego Guślarza – Józef Oleszkiewicz. Malarz, mistyk, dobry znajomy Mickiewicza. Zanim jednak zajmiemy się nim w kontekście naszego poety z Milanówka, opiszmy koty w domu Rymkiewiczów – miały kluczową rolę, decydujący, przez swe konkretne istnienie, udział w doborze tego języka.

Psotka, Żółtek 1, Żółtek 2, czyli Filemon lub Filek oraz Szarak, zwana także Uszatą. Oto korowód Rymkiewiczowskich kotów w Milanówku. Wcześniej, w Łodzi i w Warszawie, kotów w domu poety nie było. Pierwszego przyniosła



znajoma, żona lekarza w Milanówku, mieszkająca kilka ulic od domu poety. To wiem – i wszystko co poniżej notuję o kocich postaciach w domu poety – od Ewy i Jarosława Rymkiewiczów. Latem 2017 roku robiliśmy na użytek tej książki koci przegląd. Ta sąsiadka, Halszka Nowodworska, miała ilość kotów niezliczoną. I wśród tych kotów były hierarchie. Koty, którym wolno było mieszkać w domu. Były koty gorszego sortu, które mieszkały w piwnicy. I były koty najniższego sortu, którym wolno było mieszkać tylko w ogrodzie. A wszystkie te koty pani Nowodworska karmiła i wszystkimi się opiekowała. Było ich ze 20 zwykle, choć różnie bywało – czasem więcej, czasem mniej. Przyniosła pewnego dnia w 1996 roku Rymkiewiczom kocię z wiosennego miotu porzucone przez matkę. Trzeba było karmić butelką. Psotka była cała brązowa, z jasnym krawatem. Widać ją w filmie Grzegorza Brauna „Poeta pozwany", siedzi pod domem. Dzika, choć ta dzikość nie przeszkadzała jej włazić do łóżka i spać pod kołdrą. Miała tylko kawałek ogona – przeszedł amputację po tym, jak pewnego dnia usiadła na środku jezdni i jakiś samochód po nim przejechał. „Czy pani lubi Brahmsa – pytam kotki Psotki/ Co do koncertu – mówi – to jest bardzo słodki [...]/ Nagi Brahms tańczy walca na kosmicznej scenie/ To wierszyk kotki Psotki – takie ma widzenie" („Kosmiczny walc Johannesa Brahmsa").

A potem pojawił się Filemon.

A nie, jeszcze wcześniej był ten, co poszedł do Pana Boga. „Kot żółty poszedł na poszukiwanie/ I może wcześniej on przed Bogiem stanie" („Ogród w Milanówku. Pieśń nocnego wędrowca" z tomiku „Zachód słońca w Milanówku"). Nazywał się Żółtek. Był drugim w kolejności kotem. Też pochodził od pani Nowodworskiej. Pewnej nocy, gdy było 20 stopni mrozu, wyszedł z domu i nie wrócił. Niezwykle inteligentny. Był kotem, który otwierał sobie drzwi klamką. Robił to tak: skakał, chwytał się klamki, zwisał na jednej, a drugą łapę kładł na pierwszej. Naciskał i ściągał klamkę w dół – drzwi się otwierały. Był w domu Rymkiewiczów dwa lata. Nie wiadomo, co się właściwie z nim stało – pewnie niestety gdzieś zamarzł. „Kot żółty poszedł na poszukiwanie/ Zaniósł do Boga nasze zapytanie" („Ogród w Milanówku. Pieśń nocnego wędrowca" w „Zachód...").

Psotka go nie lubiła, była okropnie zazdrosna – był w końcu ulubionym kotem poety. A poeta płakał nad Żółtkiem: „Żegnaj, żegnaj żółty kocie mój kolego/ Jadą zmarli jak w kadencjach u Schnittkego" („Jadą zmarli" w „Zachód słońca w Milanówku"). Psotka polubiła za to drugiego Żółtka, którego Rymkiewiczowie niedługo potem wzięli od znajomego fotografa. Kotek był żółty, ale miał białą łatę i nogi w paski. Zatem „Majtki-W-Paski" – tak też się nazywał. Oficjalne imię brzmiało jednak Filemon, zdrobniale Filek. „Kot śpi z ogonem w pysku na kaloryferze/ [...]/ Kot porusza się we śnie – ogon w pysku trzyma/ Śni Boga – Bóg ma postać Dobrego Olbrzyma/ I Bogu – także Jemu! – śni się ogon koci/ Ogon, który tam we śnie tuż przy Bogu psoci" („Ogród w Milanówku. Sen zimowy" w „Zachód...").

Psotka miała wyrazistszy charakter, niekiedy była nieprzyjemna, potrafiła ugryźć boleśnie, bywała agresywna i miała zwykle jakieś swoje interesy. Nie życzyła sobie, by ktoś, bez jej zgody, brał ją na ręce. Żółtek Drugi był uprzejmiejszy.

A potem pojawił się Szarak i były w domu już trzy koty. Ktoś wrzucił małego kota przez płot, tuż obok wielkiego cisu. W sobotę w Milanówku odbywa się targ, kręci się mnóstwo ludzi – nie wiadomo, kto to zrobił. Podrzutek Szarak był żeńskim kotem, zwała się także Uszatą, bo gdy była mała miała wielkie uszy. To była kotka zupełnie inna od tamtych – i Psotka, i Żółtek były agresywne, walczyły o swoje interesy, były niezależne. A Szarak siadała naprzeciw poety i wpatrywała się w niego przez go-

eprasa.pl 9c712df3b7



dzinę, albo – gdy pisał przy komputerze – siadywała przy nodze i nie odstępowała na krok. To była wielka miłość. Nie można było na nią odpowiedzieć inaczej, jak tylko miłością.

„Idzie sobie kot uszaty/ Ten sam co szedł przed stu laty/ Idzie sobie trochę skośnie/ Sika przy tej samej sośnie/ Czarne łapy białe wąsy/ Jakieś planetarne pląsy [...] Trochę z rumby coś z fokstrota/ Wieczny powrót mego kota" („Kot uszaty – wieczny powrót tego samego" w „Do widzenia gawrony").

Odchodziły wedle wieku. Pierwsza Psotka. Miały po 16–17 lat.

„Każdy ma prawo wchodzić do ogrodu/ Chodź bury kocie tyś z ludzkiego rodu" („Ogród w Milanówku. Pieśń nocnego wędrowca" w tomiku „Zachód słońca w Milanówku").

To samo życie jest w nich – z ludzkiego rodu – ta sama śmierć, to samo nieistnienie.

To teraz wróćmy do Oleszkiewicza. Adam Mickiewicz pisze o nim w „Dziadów części III Ustępie" tak: „...Polak, jest malarzem,/ Lecz go właściwiej nazywać guślarzem/ Bo od dawna od farb i pędzla odwyknął/ Biblią tylko i kabałę bada/ I mówią nawet, że z duchami gada".

Mistyk, mason, filozof. Mieszkał w Petersburgu. Specjalizował się w portretach rosyjskiej i polskiej arystokracji. Jego sceny rodzajowe określane są zwykle jako akademickie i sztywne – nie cieszą oka. Czym innym są portrety – miał zdolność subtelnego upiększania portretowanych i miał wzięcie. Jego prace są w muzeach w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Mińsku czy Moskwie, pojawiają się też niekiedy na aukcjach – ale bardzo rzadko – ceny zaczynają się od kilkudziesięciu tysięcy złotych. Ile wtedy Oleszkiewicz mógł brać za portret? W każdym razie tyle, że wystarczyło mu na utrzymanie – nawet wtedy, gdy malował już mniej – siebie i kotów. Ustawiali się do niego w kolejkach arystokraci i arystokratki, a pracownię miał w domu, w którym mieszkał. Pewną przeszkodą dla dam był... okropny smród koci, który – zdarzało się – damy przyprawiał o mdłości. Antoni Odyniec w swych „Listach z podróży" pisał tak: „Jakkolwiek Oleszkiewicz wszystkie bez wyjątku żyjące istoty równą troskliwością ogarnia, najpierwszym wszakże przedmiotem upodobania jego są – koty". Stanisław Morawski wspominał zaś („W Peterburku 1827–1838"): „To pewna, że Oleszkiewicz bez kotów żyć nie mógł [...] Zwykle na oczach i w pokojach było u niego od ośmiu do dwunastu kotów różnego wieku, maści i kształtów [...] Każdy z tych kotów miał swoje imię. Ten Jaś, ten Michaś, ten Ignaś, ta – Zosia, Marynia, Rózia". Oleszkiewicz był blisko z Mickiewiczem, zdaniem Stanisława Pigonia odegrał kluczową rolę w rozwoju duchowym autora „Ballad i romansów" – najprościej to ujmując, uświadomił mu to, że jest wieszczem. Namalował też jego portret w czasie, gdy Mickiewicz przebywał w Petersburgu. Młody (przystojny!), uduchowiony poeta siedzi oparty o książki ze wzrokiem utkwionym gdzieś w górze. Obraz można zobaczyć w krakowskim Muzeum Narodowym w Sukiennicach. Ale Jarosław Marek Rymkiewicz zajmując się Oleszkiewiczem w książce „Adam Mickiewicz odjeżdża na żółtym rowerze" (książki, która zostanie wydana pod koniec tego roku), opiera się także na relacji innego kolegi Mickiewicza i znajomego Oleszkiewicza zarazem, Józefa Przecławskiego. Otóż kotów na salonach malarza-mistyka było co najmniej dwanaście. „Ta dwunastka, jak określał to Przecławski – pisze Rymkiewicz – to były koty etatowe, niekiedy nazywane też kadrowymi". Ale oprócz nich było też mnóstwo innych kotów, „zwanymi nadliczbowymi", kotów podrzutków i tych znalezionych na ulicy. Oleszkiewicz opiekował się nimi, leczył, odkarmiał i rozdawał, często wraz z kilkurublowym stypendium na utrzymanie stworzenia. Koty kadrowe miały imiona arystokratycznych znajomych Oleszkiewicza – była więc na przykład „kotka Julia, koloru szarego lub szaroburego, bezzębna i trochę wyłysiała, nazywała się w istocie, jak tłumaczył Przecławski, Julia Osipowna Szyszkowa, a z domu była Narbuttówna". Jak u pani Nowodworskiej w Milanówku 170 lat później – ściśle ustalona kocia hierarchia.

Współcześni Oleszkiewiczowi (i relacjonujący ich wspomnienia Rymkiewicz) piszą, że malarz uznawał kocie istnienie – ale także każde inne – równe istnieniu ludzkiemu, ba, uważał także, że koty czy konie mają swoją mowę, zupełnie jak ludzie – co więcej, mowę koni, jak twierdził, rozumiał. Autor cyklu Mickiewiczowskiego twierdzi, że Oleszkiewicz przeprowadził także dowód na komunikację kotów, szczypaw i koni – zrobił to wtedy, gdy umarł. „I właśnie wtedy na rogu Wozniesieńskiej i Jekaterynhofskiej usłyszano wielki koci lament" – pisze Rymkiewicz. Miauczały żałośnie koty, nawet na drewnianym przepierzeniu, za którym leżały zwłoki Oleszkiewicza, „chodziły różne robaki, karaluchy i szczypawy również zaprzyjaźnione z Oleszkiewiczem" („Adam Mickiewicz odjeżdża..." w „Twórczość", nr 9, 2018). Skądś wiedziały, że ich przyjaciel umarł. „Każda tutejsza odmiana życia ma swój własny (tutejszy lub nietutejszy) rozum jej tylko dany i dla niej przeznaczony" – wyjaśnia Rymkiewicz dowód Oleszkiewicza – „każda odmiana życia ma dokładnie tyle rozumu, ile jej potrzeba do życia". A to oznacza, że „nie da się więc powiedzieć, że jakieś życie (coś, co żyje) jest lepsze lub gorsze od jakiegoś innego życia (od czegoś innego, co także żyje), że jest mniej lub więcej warte od innego życia; że jest mniej lub bardziej godne (zbawienia)" („Adam Mickiewicz odjeżdża...").

Wszystkie istnienia są równe w istnieniowym bycie – tak jak równe są w przechodzeniu do nicości czy w Wielkim Biegu na nietzscheańskim Wielkim Kole. To dlatego mały-duży Rymkiewicz opowiada w „Kinderszenen" o umieraniu kotów. Dlatego śmierć kotów w Gnojnie jest pierwszym wojennym wstrząsem koniecznym do opowiedzenia – obrazem masowej śmierci, kręgu, z którego nie ma ucieczki.

eprasa.pl 9c712df3b7

Abyśmy byli jedno


Fot. Bożena Sztajner

II Międzynarodowy Kongres Ruchu „Europa Christi", który przebiegać będzie pod hasłem: „Wizja Europy w ujęciu św. Jana Pawła II", odbędzie się w Polsce od 14 do 22 października 2018 r. „Europa Christi" to nazwa ruchu, który od kilku lat podejmuje sprawy dotyczące wielkich zagrożeń dla Europy, jej tożsamości i kultury. Europy, która przez ponad 2 tys. lat była kształtowana przez wiarę chrześcijańską, szczególnie przez Ewangelię i Dekalog

Z ks. inf. Ireneuszem Skubisiem,
honorowym redaktorem naczelnym tygodnika katolickiego „Niedziela" i moderatorem Ruchu „Europa Christi",
rozmawia Artur Ceyrowski

W czasie naszej ostatniej rozmowy zachęcał ksiądz nas, chrześcijan, do tego, abyśmy się policzyli i zwarli szeregi w obliczu wielu zagrożeń, przed jakimi stoi współczesny Kościół. Dziś to nasze „liczenie się" zyskuje szczególny wymiar, bo Kościół narażony jest na zorganizowany w swojej formie atak, prowadzony na wielu płaszczyznach przez środowiska liberalno-lewicowe. Marzena Nykiel, redaktor naczelna wPolityce.pl, pisała nawet w tygodniku „Sieci", iż „drwiny z Eucharystii, szydzenie ze spowiedzi, demonizowanie duchownych są planem uśmiercenia starego chrześcijańskiego świata". Jak ksiądz odbiera te ataki?

Ireneusz Skubiś: Działanie szatańskie, bo tak je trzeba nazwać, widać nie tylko w Polsce, lecz także w Europie, a może i na całym świecie. Trzeba zauważyć, że nasilenie się ataków na Kościół jest bardzo precyzyjnie przygotowane. To nie są działania przypadkowe, ktoś bardzo mocno pracuje, aby dokonać zniszczenia tego, co jest fundamentem kultury ogólnoludzkiej, kultury naznaczonej Ewangelią i przykazaniem miłości bliźniego. A przecież to właśnie chrześcijaństwo legitymuje się miłością. Atak na te podstawowe wartości jest atakiem pochodzącym wprost od szatana. Komu może zależeć na zniszczeniu kultury zbudowanej wokół tych wartości, jeśli nie szatanowi? Również w Polsce mamy do czynienia z bardzo mocnym i dobrze przygotowanym atakiem na Kościół. Proszę zauważyć, że to nie jest tylko film „Kler", lecz wiele innych działań. To nie jest, jak mógłby ktoś pomyśleć, atak na księży, to atak na całą wspólnotę i jej wartości. Trzeba też powiedzieć wprost, że takie ataki nie są niczym nowym, były już w przeszłości prowadzone, także w czasach, gdy Polską rządzili komuniści. Od lat 40 obserwujemy systematyczne próby niszczenia Kościoła w Polsce. Wystarczy tu przypomnieć choćby sfingowane przez władze komunistyczne procesy księży kurii krakowskiej czy też proces wytoczony biskupowi kieleckiemu Czesławowi Kaczmarkowi. To robili komuniści, ale dziś te ataki wciąż są prowadzone. To dlatego film „Kler" jest prezentem danym Kościołowi w Polsce na 100-lecie naszej niepodległości. To jest prezent nieudany, brzydki i skandaliczny. To właśnie dlatego namawiamy chrześcijan do tego, abyśmy się policzyli, bo ludzi oddanych Kościołowi są miliony. Po drugiej stronie jest garstka osób bogatych, przygotowanych technologicznie i medialne do tego, aby atakować chrześcijaństwo. W obliczu zagrożeń wzywamy chrześcijan do solidarności i to jest podstawowe zadanie Ruchu „Europa Christi".

Na ile uderzenie w duchowieństwo stanowi próbę rozbicia świata zbudowanego wokół wartości, których nie podzielają ci, którzy walczą z Kościołem?

Przypomnijmy tu słowa Jezusa: „Uderzę pasterza, a rozproszą się owce". Jeśli uderzy się w księdza, to wielu ludzi znajdzie się w sytuacji, w której zostają pozbawieni przewodnika duchowego. Nikt nie zadba o ich wiarę, nikt nie zapozna ich z informacjami pochodzącymi z prasy katolickiej, nikt nie zajmie innego stanowiska niż liberalna lewica. Często powtarzam, że owszem, na Słońcu są plamy, ale to Słońce świeci

eprasa.pl 9c712df3b7



i jest potrzebne do życia całego globu. Nie mówimy, że nie jesteśmy grzeszni. Są tacy ludzie w Kościele. Mówił o tym św. Jan Paweł II, o tym mówi papież Franciszek. Ale ten grzech jest odrzucany i potępiany. Kościół wzywa do pokuty za grzechy. I jednocześnie Kościół jest piękny, daje życie, daje Dekalog, daje wspaniałą nadzieję człowiekowi. Kościół ma także przełożenie na życie społeczne, działa charytatywnie, wspomaga biednych i chorych, pociesza cierpiących. To jest wspaniała robota Kościoła. Tymczasem we wspomnianym wcześniej filmie widzimy jedynie ohydę, która też jest obecna. Nie jest ona jednak istotą Kościoła, ale jedynie jego marginesem.

Co mogą w obliczu tego zagrożenia robić ci, którzy są częścią Kościoła? Albo może inaczej, co powinni robić ci, którym na sercu leży dobro Kościoła?

Przede wszystkim musimy budować świadomość chrześcijańską. Musimy budować świadomość kultury chrześcijańskiej. Musimy przypominać, że kultura chrześcijańska jest budowana przez Kościół od 2 tys. lat. I jest dowodem zakorzenienia Europy w Ewangelii. To właśnie Ewangelia kształtowała kulturę europejską. To ona powoływała wspaniałych ludzi, którzy uczyli rzeczy podstawowych, od kultury agrarnej, poprzez uniwersytety, które też mają swój początek w Kościele. To w Kościele rodziło się szpitalnictwo, ale także wielka architektura, która powstawała przez wiele stuleci. Ona także wyrastała z ducha Ewangelii. Podobnie literatura, muzyka i inne dziedziny sztuki, które są wyrazem kultury chrześcijańskiej. Trzeba Europejczykom przypominać, że wielkość Europy płynie z nauki Jezusa Chrystusa. Zaburzenia wypływają ze słabości, ale nie stanowią istoty Kościoła. Wiek XX przyniósł ogrom cierpienia, wyroki śmierci na miliony niewinnych ludzi, ale to właśnie jest dziełem ateistów albo ludzi, którzy pożegnali się z Ewangelią i rozstali z Kościołem. To wielkie nieszczęście ludzkości, które stworzyli bolszewicy, komuniści czy naziści, jest wytworem systemów, które uciekały od Boga. Ci ludzie przy biurkach wymyślali argumenty przeciwko Bogu i przeciwko temu, co głosi Kościół. Dlatego my musimy wrócić do świadomości tego, czym jest Ewangelia i czym jest przykazanie miłości Boga i bliźniego. To są te wartości, o których chcemy mówić na kongresie Ruchu „Europa Christi".

Rozmawiamy w szczególnym momencie, w roku jubileuszowym, w którym świętujemy 100-lecie naszej niepodległości. Ta niepodległość i utrzymanie jedności naszej wspólnoty to w ogromnej mierze także

eprasa.pl 9c712df3b7

zasługa Kościoła, który pomógł przetrwać zabory, zsyłki, a także programowe niszczenie narodu i religii przez nazistów i komunę. To nasze świadectwo siły może stanowić dar dla Europy?

Kościół uczył nas wolności i niepodległości. Na kartach historii polskość jest zrośnięta z Kościołem, widać to zwłaszcza po zaborach, gdzie naród w dużym stopniu przetrwał właśnie przy polskim księdzu, przy polskiej parafii i polskim biskupie. Tak było przez wiele lat, również w czasach Polski międzywojennej. Ksiądz kard. August Hlond był człowiekiem najwyższego formatu, który stanowił wzór wielkiego patrioty. Później kard. Wyszyński, którego znałem osobiście i który mianował mnie moderatorem Ruchu Kultury Katolickiej „Odrodzenie" i do dziś tym moderatorem jestem, bo nikt mnie z tego obowiązku nie odwołał. Jeszcze później na straży Kościoła stał kard. Karol Wojtyła, który pokazał się światu jako papież, dziś święty Jan Paweł II. Nie na darmo nasz wielki rodak ucałował polską ziemię wówczas, gdy przybył do Warszawy w 1979 r. Całował Polskę jak matkę i uczył nas tym pocałunkiem patriotyzmu. To jest nasze wielkie, duchowe dziedzictwo, o którym nie wolno zapomnieć. Choć Ojciec Święty był pasterzem całego Kościoła, to dbał o Polskę szczególnie. Każda jego wizyta w ojczyźnie była przypomnieniem o wartościach, które dla nas Polaków są szczególnie ważne.

Kongres „Europa Christi" w tym roku odbędzie się pod hasłem „Wizja Europy w ujęciu św. Jana Pawła II". Jaką wizję Starego Kontynentu miał nasz wielki rodak?

Nikt nie zrobił dla jedności Europy i Kościoła w Europie tyle, ile św. Jan Paweł II. Właśnie dlatego uważam, że powinien on dołączyć do patronów Europy, i mocno zabiegamy, żeby papież Franciszek podjął taką decyzję. To nie jest tylko głos płynący z Polski. Ksiądz kardynał Stanisław Dziwisz dał mi dwa woluminy, w których są zawarte podpisy Hiszpanów, 14 tys. osób, którzy proszą papieża Franciszka, aby uczynił Jana Pawła II patronem Europy. My idziemy tym śladem. Mam nadzieję, że ta liczba w Polsce urośnie do wielu tysięcy. Mam też nadzieję, że nasi rodacy będą nas wspierać w tych staraniach. Studiowanie wypowiedzi ojca św. Jana Pawła II, szczególnie Aktu Europejskiego ogłoszonego w 1982 r. w Santiago de Compostela, gdzie papież wypowiedział swoje credo na temat Europy, to są nie tylko słowa patrona Europy, lecz wręcz ojca Europy, bo tak się powinno nazywać Jana Pawła II. To dlatego ten kongres chcemy dedykować największemu z Polaków.

Nikt nie zrobił dla jedności Europy i Kościoła w Europie tyle, ile św. Jan Paweł II. Właśnie dlatego uważam, że powinien on dołączyć do patronów Europy, i mocno zabiegamy, żeby papież Franciszek podjął taką decyzję

Opowiedzmy więcej o samym kongresie. Jak wygląda plan tego wydarzenia, które też będzie pielgrzymką po wielu miejscach w Polsce?

Kongres rozpocznie się 14 października na Jasnej Górze, przewodniczyć mu będzie abp Wacław Depo. Kolejnego dnia, na Uniwersytecie Kardynała Wyszyńskiego, odbędzie się sesja „Kościół w Europie", na której wystąpią wspaniali prelegenci. 16 października, w rocznicę wyboru Jana Pawła II na papieża, w podrzeszowskiej Jasionce odbędzie się wielki koncert pod kierunkiem Marcina Pospieszalskiego, na którym wystąpią artyści z całego świata, z Polski, z Irlandii, z Syrii. To będzie artystyczna uczyta dla kilku tysięcy słuchaczy. 17 października przenosimy się na Katolicki Uniwersytet Lubelski, gdzie odbędzie się sesja na temat „Prawo a wartości w Europie", z udziałem wielu znakomitości naukowych. Omówimy kwestie dotyczące prawa i prawodawstwa. 18 października znajdziemy się w Senacie RP, gdzie przemawiać mieli premierzy Polski i Węgier, niestety w tym czasie obaj będą w Salzburgu, gdzie akurat tego dnia urządzono zjazd premierów Europy. Wiele wskazuje jednak na to, że zarówno premier Morawiecki, jak i premier Orbán wygłoszą swoje przemówienia i będziemy mogli je pokazać na wideo. W Senacie RP wystąpi też kard. Gerhard Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary, a także najwyższy rycerz Zakonu Rycerzy Kolumba Carl A. Anderson oraz znakomity biograf św. Jana Pawła II dr George Weigel. Będziemy mieli przedstawicieli nauki z Włoch i innych państw. Kolejnego dnia, czyli 19 października, udajemy się do Łodzi, tam w Wyższej Szkole Ekonomii i Zarządzania będziemy rozmawiać o „Europie Męczenników". Następny dzień przywitamy na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego, gdzie odbędzie się sesja „Silna rodzina siłą Europy". Wreszcie 22 października w Częstochowie, w auli Tygodnika Katolickiego „Niedziela", a później w kaplicy Cudownego Obrazu Matki Bożej na Jasnej Górze, gdzie modlić się będziemy pod przewodnictwem abp. Wacława Depy, i w sanktuarium św. Jana Pawła II w Krakowie, zakończymy kongres uroczystą Eucharystią, której będzie przewodniczył ks. kard. Stanisław Dziwisz. Całość zostanie poświęcona myśli Jana Pawła II, także dzięki osobistym relacjom i świadectwom bliskich papieża.

Mam nadzieję, że kongres Ruchu „Europa Christi" będzie wielkim wydarzeniem dla Kościoła w Europie. Chcielibyśmy żeby treści, o których będziemy mówili w Polsce, mogły się odbić szerokim echem na całym Starym Kontynencie. Mieliśmy już jednodniowe sesje w Ołomuńcu, w Brukseli, w Wilnie. Przygotowujemy kolejne spotkania w Kolonii,

49/0818/F

eprasa.pl 9c712df3b7

w Oslo i w Paryżu. Ruch „Europa Christi" chce powiedzieć chrześcijanom w całej Europie: „Policzmy się". Nie dajmy się kierować garstce ateistów, którzy mają środki do tego, aby zmieniać oblicze Starego Kontynentu.

Aby się policzyć, potrzebujemy zgodności. I tu z pomocą znów przychodzi nam myśl św. Jana Pawła II, dla którego wielką troską było budowanie chrześcijańskiej jedności Europy. Dziś, kiedy jest ona szczególnie potrzebna, plan Jana Pawła II mówiącego o „dwóch płucach Europy" wydaje się szczególnie aktualny. Nasz rodak, jako wielki orędownik ekumenizmu, wskazywał wielokrotnie, że rozłamy chrześcijaństwa w XI i XVI w. pogłębiły istniejące różnice między narodami. Jak możemy przezwyciężać te problemy i różnice?

Chrześcijanom na świecie najbardziej potrzebne są właśnie jedność i solidarność. Wspomnijmy słowa, którymi Pan Jezus modlił się do swojego Ojca, w transkrypcji łacińskiej: „Ut unum sint", czyli „Aby byli jedno", aby byli razem. Trzeba tu brać pod uwagę doświadczenia polskiej „Solidarności" z lat 80., która obaliła komunizm. Pamiętam moje spotkanie z Janem Pawłem II, który prosił nas, abyśmy wydrukowali w „Niedzieli" słowa niemieckiego kanclerza i polskiego papieża, którzy wspólnie mówili o przyszłości Europy. Ja to wówczas zrobiłem, a dziś ta wizja Jana Pawła II mówiącego o dwóch płucach Europy musi wybrzmieć i wybrzmi na kongresie. Będzie to widoczne szczególnie na sesji kongresowej w Łodzi, na którą zaprosiliśmy przedstawicieli prawosławia i protestantyzmu. Ten wątek ekumeniczny jest niezwykle istotny, bo dziś chrześcijanie muszą być razem. To dlatego Ruch „Europa Christi" nie jest formalną strukturą organizacyjną, jest jedynie powietrzem, którym oddychamy. Chcemy się odwoływać do słów Jana Pawła II, który mówił o tym, iż Europa musi być jednością ducha. My, chrześcijanie, mamy szansę, aby tę wspólnotę podtrzymywać i pogłębiać. Musimy być zwarci, aby powiedzieć szatanowi: „Nie, nie zgadzamy się na wojnę, nienawiść i na poniżanie ludzi". Wszyscy jesteśmy grzesznikami, ale mamy też obowiązek bronić dorobku Kościoła, który nie może być atakowany przez ludzi, którzy nie potrafią dostrzec Jego świętości. Mamy jako chrześcijanie obowiązek bronić Kościoła, bo tylko Kościół może uratować Europę. Jeśli Jego zabraknie, to zostanie zniszczony Stary Kontynent. Dlatego Ruch „Europa Christi" mówi o tym, aby wyrobić paszport dla Chrystusa do wszystkich krajów Europy. To wołanie wpisuje się w hasło św. Piusa X: „Instaurare omnia in Christo", czyli „Wszystko odnowić w Chrystusie". Dlatego łączymy papieża z początku XX w. ze świętym Janem Pawłem II, który mówił: „Otwórzcie drzwi Chrystusowi". Abyśmy byli jedno.

REKLAMA



25 lat
KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Już teraz złóż wniosek!
801 600 100
(koszt wg taryfy operatora)

kasastefczyka.pl

Przykład reprezentatywny z dnia 1.04.2018 r. dla Pożyczki Zaratka: Całkowita kwota kredytu wynosi 1000,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją 0 zł) wynosi 9%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 9,38%. Czas obowiązywania umowy – 48 miesięcy, 47 miesięcznych rat równych: 24,89 zł oraz ostatnia, 48. rata: 24,93 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 1194,76 zł, w tym odsetki: 194,76 zł.

Pożyczka Zaratka dostępna wyłącznie w kwotach 1000 zł, 2000 zł, 3000 zł lub 4000 zł, dla Członków nieposiadających pożyczek lub kredytów w Kasie w okresie co najmniej 6 miesięcy przed dniem złożenia wniosku. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

eprasa.pl 9c712df3b7

Mord Żydów pod Dziadkowicami,

czyli o naukowej twórczości prof. Barbary Engelking

Mimo stworzonego przez Niemców systemu represji Polacy próbowali ratować Żydów. Zdumiewa więc to, że badacze relacji polsko-żydowskich w czasie II wojny światowej, doskonale znający realia okupacji, na dużą skalę manipulują źródłami i obciążają Polaków zbrodniami, których nie popełnili, a nawet ludzi ratujących Żydów opisują jako współwinnych zbrodni Holokaustu



PIOTR GONTARCZYK

Historia ta wydarzyła się w czasie II wojny światowej. Wkrótce po jej rozpoczęciu Niemcy, kierowani obłędnymi teoriami rasowymi i nienawiścią do Żydów, postanowili naród ten wymordować. Swój pomysł realizowali wszędzie, gdzie sięgnęła ich władza: od Francji na zachodzie do Stalingradu na wschodzie, od Norwegii na północy do afrykańskiej Tunezji na południu. Żeby oszczędzić sobie kłopotów logistycznych i kosztów (to było centrum Europy i tu mieszkało najwięcej europejskich Żydów), na terenach okupowanej Polski wybudowali obozy zagłady, w których metodami przemysłowymi mordowali zwożonych z całego kontynentu synów Izraela.

Realizując swój zbrodniczy plan, Niemcy stworzyli taki system funkcjonowania podbitej ludności, żeby im nikt nie przeszkadzał. Żydzi zostali zamknięci w gettach i odizolowani od Polaków, którzy z jednej strony zostali poddani brutalnej propagandzie hitlerowskiej o „Żydach roznoszących tyfus", z drugiej byli wielokrotnie uprzedzani, że pomoc udzielona Żydowi (przechowywanie, podwiezienie wozem, podanie kromki chleba) będzie traktowana jako przestępstwo zagrożone karą śmierci, która zostanie wymierzona „przestępcy", a czasem jego rodzinie i sąsiadom. Na wielu spotkaniach organizowanych dla polskich sołtysów sprawę stawiano jasno: znajdziemy Żyda, to wieś pójdzie z dymem, a wszyscy odpowiedzialni zostaną wymordowani.

Kolejnym elementem hitlerowskiego reżimu okupacyjnego było powołanie systemu straży, których członkowie odpowiadali za porządek we wsi. Straże te miały wyłapywać wszystkich obcych na terenie wsi: Żydów, zbiegłych jeńców sowieckich, uciekinierów z robót przymusowych. Czasem nazywani w dokumentach „dziesiętnikami" lub wręcz „zakładnikami" członkowie straży wiejskich byli uprzedzeni, że wypadku znalezienia Żyda na terenie wsi spotkają ich represje.

W taki to perfidny sposób hitlerowcy angażowali polskich leśników, sołtysów, czasem zwykłych chłopów w poszukiwanie ukrywających się żydowskich nieszczęśników. Chłopi wydawali ich czasem w ręce żandarmów, bo sami byli przerażeni, że zostaną „spaleni" lub zamordowani. Czy ci Polacy to zbrodniarze, jak usiłuje się ich dziś przedstawiać? A może jednak byli ofiarami tej wojny?

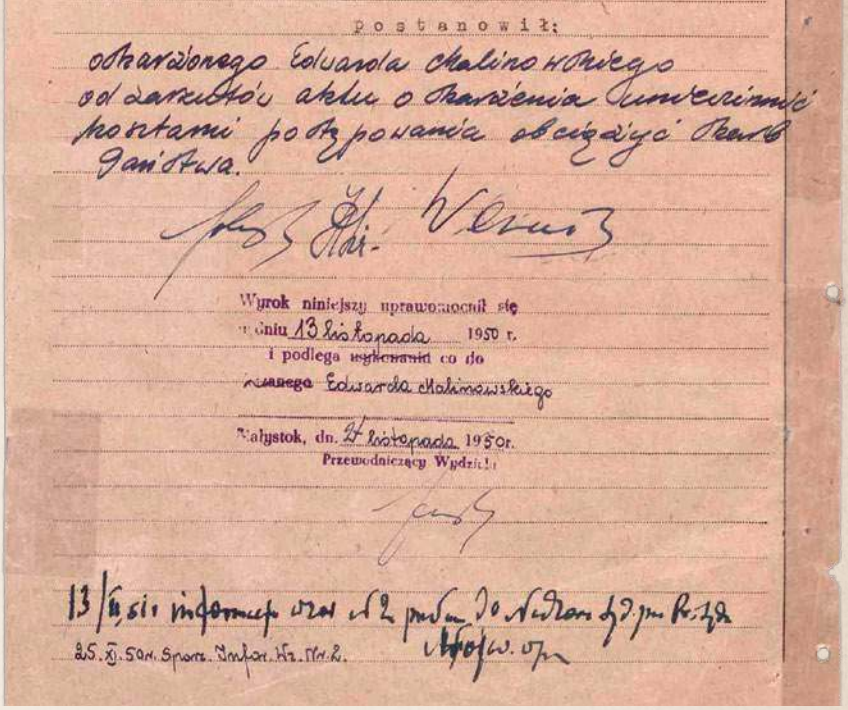
Warto jednak dodać, że mimo drakońskich kar wprowadzonych przez Niemców wielu Polaków próbowało ratować Żydów. Tak jak sołtys Edward Malinowski ze wsi Malinowo w powiecie bielskim województwa białostockiego.

MORD

Malinowo to typowy szlachecki zaścianek na Podlasiu położony kilkanaście kilometrów od Siemiatycz. Edward Malinowski pełnił w nim funkcję sołtysa od 1943 r. Wedle zgodnej opinii większości mieszkańców (zawsze znajdą się jacyś niezadowoleni) zachowywał się przyzwoicie – nie był gorliwy w wypełnianiu niemieckich zarządzeń.

Ale pewnego zimowego dnia 1943 r. w Malinowie wydarzyła się tragedia. Do sołtysa przyjechali niemieccy żandarmi, którzy zażądali wezwania leśniczego. Sołtys wysłał więc po niego jako gońca Kazimierza Krasowskiego. Jednocześnie Niemcy nakazali, żeby sołtys wyznaczył kilku mieszkańców wsi, którzy mieli się stawić u niego z łopatami. Kiedy wezwany

eprasa.pl 9c712df3b7



postanowił:
oskarżonego Edwarda Malinowskiego
od zarzutów aktu o skazanie [illegible]
kosztami postępowania obciążyć Skarb
Państwa.

Wyrok niniejszy uprawomocnił się
w dniu 13 listopada 1950 r.
i podlega wykonaniu co do
[illegible] Edwarda Malinowskiego

Białystok, dn. 27 listopada 1950 r.
Przewodniczący Wydziału

Wyrok sądu w sprawie Edwarda Malinowskiego uwalniający go od wszelkich zarzutów przyczynienia się do śmierci Żydów

leśniczy dotarł do sołtysa, wszyscy weszli w głąb lasu. Ani sam Malinowski, ani wyznaczeni przez niego chłopi początkowo mieli nie mieć pojęcia, po co cała ta eskapada i po co te łopaty. Leśniczy poprowadził Niemców leśnymi drogami prawie do wsi Dziadkowice, gdzie w leśnym bunkrze ukrywało się 15 Żydów. Żandarmi strzałami zmusili jego lokatorów do wyjścia na zewnątrz, po czym pozbawili ich ubrań i kosztowności. Potem hitlerowcy Żydów rozstrzelali, a Polakom nakazali zakopanie zwłok. Ponieważ zrobiło się ciemno, sołtys Malinowski odłożył sprawę na następny dzień i wrócił z chłopami do wsi.

W domu czekało na niego trzech Żydów, prawdopodobnie związanych z grupą ukrywającą się bunkrze, ale szczęśliwie nieobecnych tam w czasie akcji niemieckiej żandarmerii. Kiedy Malinowski opowiedział, co się stało, jeden z nich imieniem Wolf zaczął straszliwie rozpaczać z powodu śmierci najbliższych i utraty całego dobytku (kosztowności), które mogłyby mu się przydać do dalszego ukrywania. Na drugi dzień sołtys z kilkoma wyznaczonymi chłopami pochował w lesie zamordowanych nieszczęśników. W czasie tych czynności zauważył w uszach jednej z kobiet złote kolczyki. Za bezsensowne uznał zakopywanie ich w ziemi, więc wypiął je z uszu ofiary i zabrał.

SPRAWA SĄDOWA

Po wojnie kilku mieszkańców wsi napisało donos na sołtysa Edwarda Malinowskiego, że w czasie wojny „wysługiwał się" Niemcom, przez co dotknęły ich represje. Oskarżono go także o denuncjację, a potem czynny udział w mordowaniu Żydów i obrabowanie zwłok. Malinowski został aresztowany, akt oskarżenia w jego sprawie w 1949 r. trafił do sądu. W czasie procesu oskarżony zaprzeczył wszystkim zarzutom, twierdząc, że w zadenuncjowaniu ani mordowaniu Żydów nie miał udziału. Przyznał, że zabrał jednej z ofiar złote kolczyki, żeby nie zostały zakopane, ale przekazał je ukrywającym się w okolicy Żydom. W obronie Malinowskiego list do władz napisało kilkadziesiąt osób z Malinowa, niektórzy złożyli korzystne dla niego zeznania w sądzie. Ich zdaniem za całą tragedię Żydów z leśnego bunkra mógł być odpowiedzialny leśniczy z pobliskiej wsi Czarne Wielkie.

W czasie przewodu sądowego jasne się stało, że ci, którzy donieśli na Malinowskiego, to ludzie niewiarygodni, którzy mieli z sołtysem zatargi. Wyszło także na jaw, że w czasie wojny Malinowski pomagał ukrywającym się w okolicy Żydom, żywiąc ich i przechowując w stodole. Zeznania w jego obronie złożyło trzech z nich.

6 września 1949 r. Chunia Kapłan powiedział: „Malinowski przechowywał mnie. Dawał mi chleb i słoninę za co nic nie płaciłem oraz ostrzegał nas żydów, byśmy się nie kręcili zanadto. Żydów w lesie wydali gajowy z Czarnej i Malinowa. [...] Kolczyki należące do narzeczonej Berka Zynkesa [? nieczytelne] odebrał on od Malinowskiego. Mówił mi o tym [pisownia oryg.]". Podobnie zeznawał Lejba Prybut, dodając, że oskarżony cieszył się dobrą opinią wśród ukrywających się w okolicy Żydów, mimo że był przecież sołtysem. Ważne zeznania w sprawie złożyła Maria Wiśniewska: „W czasie okupacji niemieckiej ukrywałam się jako żydówka w lesie koło Malinowa. Nikt mnie nie chciał przyjąć do domu. Weszłam więc do sołtysa Malinowskiego i ten mnie przyjął. Parę dobrych tygodni ukrywałam się w stodole Malinowskiego i on mnie karmił pomimo, że byłam bez grosza. W nocy w jego stodole było pełno Żydów, Malinowski dawał im jeść. Ja zawdzięczam Malinowskiemu życie, gdyż wyrobił mi aryjskie papiery, a potem umówiwszy się ze mną, zameldował, że uchylam się od robót przymusowych. Zostałam wówczas aresztowana i odesłana do Niemiec".

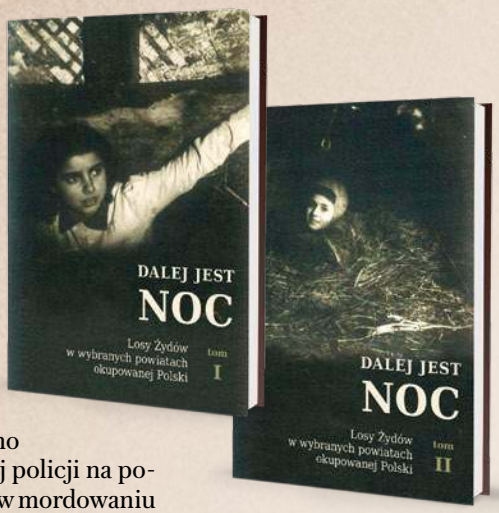
W konsekwencji zeznań polskich i żydowskich świadków Edward Malinowski został uwolniony przez sąd od zarzutów. Sprawa była tak oczywista, że prokurator nie złożył nawet apelacji.

HISTORIA À LA ENGELKING

Na tym można by zakończyć tę opowieść, gdyby nie prof. Barbara Engelking, która jest współredaktorką (z Janem Grabowskim) opublikowanego niedawno wydawnictwa „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski", a także autorką tej części książki, która dotyczy właśnie powiatu bielskiego. Wspomniana przeczytała akta sprawy Edwarda Malinowskiego i w książce zacytowała przytoczone wyżej zeznania Marii Wiśniewskiej. W treści relacji dokonała jednak znaczącej zmiany. Zdanie „on mnie karmił pomimo, że byłam bez grosza" przycięła tak, że zostały tylko pierwsze trzy słowa. Potem dopisała, że Malinowski Wiśniewską „ograbił" (s. 149). Źródła tej informacji nie podano.

Jeszcze ciekawszy jest dalszy fragment książki, w którym o zeznaniach Wiśniewskiej na temat Malinowskiego Engelking napisała: „Zdawała sobie sprawę, że jest on współwinny śmierci kilkudziesięciu Żydów, którzy ukrywali się w lesie

eprasa.pl 9c712df3b7



i zostali wydani Niemcom, mimo to na jego procesie po wojnie złożyła fałszywe zeznania w jego obronie" (s. 150). Jakie fałszywe zeznania? Jakie „kilkadziesiąt" ofiar? Nie wiadomo.

Pani Engelking powinna pokazać źródła, na podstawie których zrobiła z ratującego Żydów złodzieja i mordercę, bo ktoś może jej wytoczyć proces o zniesławienie. Zresztą z takimi pozwami może wystąpić więcej pomówionych przez nią osób, choćby rodzina Antoniego Szulca. Po wojnie oskarżono go o służbę (jako „szucmana") w niemieckiej policji na posterunku w Bielsku Podlaskim i współudział w mordowaniu Żydów. W czasie jego procesu w 1950 r. stało się oczywiste, że Szulc nie miał z Żydami nic wspólnego, bo pomylono go z inną osobą o tym samym nazwisku. Pani Engelking przeczytała akta sprawy Antoniego Szulca. A potem w książce napisała: „Wolf Kremberg i Jakub Rajbert, którzy uciekli z getta 2 listopada, zostali złapani przez szucmana Antoniego Szulca i zaprowadzeni na posterunek żandarmerii, gdzie ich rozstrzelano" (s. 126).

> Celem książki „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski" wydaje się przesunięcie Polaków z kategorii ofiar do grona sprawców za pomocą „polonizacji" części hitlerowskiego Holokaustu

Zarówno „polskich morderców", jak i ich rzekome ofiary autorka pomnaża, jak się tylko da. W tej drugiej kwestii przyjmuje zwykle najwyższe (choć nieprawdziwe) szacunki i dane. Jak ofiar wyszło za mało, te same osoby (z lekko zmienionymi nazwiskami lub inaczej przedstawione) opisuje po dwa razy. Generalnie w całej książce wyliczenia dotyczące zabitych i uratowanych Żydów w poszczególnych powiatach pozbawione są aparatu naukowego, który pozwalałby na ich weryfikację. Zamiast tego jest przypis o treści: „obliczenia własne". Toż to przecież zupełnie nic nie warte.

NA NAUKOWYCH MANOWCACH

Autorka nie rozumie okolicy, którą opisuje, chyba nie odróżnia Białorusinów od Polaków, a na mapie przed jej artykułem powiat bielski umieszczono koło... Brześcia nad Bugiem. Pomylić Bielsk Podlaski z Białostockiego z Białą Podlaską w Generalnym Gubernatorstwie? Dobrze, że nie wyszła Bielsko-Biała...

W sprawie Białorusinów w książce mamy głównie wachlarz niedomówień i przemilczeń. Polaków autorka przedstawia z jak najgorszej strony, przypisując im zbrodnie popełnione przez ich białoruskich sąsiadów. Pisze na przykład: „w powiecie bielskim szczególne miejsce wśród morderców Żydów zajmowali **polscy szucmani** [podkreślenie prof. Engelking], pracujący na posterunkach policji niemieckiej [...] przedstawię dwa charakterystyczne i dobrze udokumentowane przypadki. [...] historia dotyczy zamordowania Icka Chajta na kolonii Śliwowo [...] w egzekucji brał udział szucman z posterunku w Klejnikach Włodzimierz Naumiuk" (s. 129–130). Klejniki to wieś białoruska, a zatem Polaków tam w policji raczej nie było. Spokojny o efekt tego działania zajrzałem do akt Włodzimierza Naumiuka. W pierwszym napotkanym dokumencie – a informacja ta powtórzona jest w wielu innych – przeczytałem: „Naumiuk Włodzimierz syn Konstantego i Akuliny, narodowość białoruska". Co ciekawe, drugi omówiony w książce przypadek dotyczy Mikołaja Gonty, wtedy syna sołtysa białoruskiej wsi Mikłasze. No i po co było podkreślać tłustym drukiem, że mordercami Żydów byli „polscy szucmani"?

Kluczowe wyliczenia i wnioski Engelking w sprawie sytuacji Żydów na prowincji zwykle odbiegają od treści archiwaliów. Mimo wielu cięć i opuszczeń dokonanych w obrazie historii nawet z jej artykułu widać, że przyczyną przypadków wyłapywania Żydów był strach o życie własne i (szczególnie w wypadku sołtysów i członków wiejskiej straży) odpowiedzialność za życie wspólnoty. Widząc powyższe, należało się zastanowić nad rolą i odpowiedzialnością za tę sytuację Niemców. Zamiast tego autorka wysunęła twierdzenie, że chłopi denuncjowali Żydów z własnej inicjatywy, bo chcieli się przypodobać okupantom: „właśnie kategoria »przypodobania się Niemcom« otwiera całe pole rozważań na temat serwilizmu, uległości i podporządkowania się władzy oraz gotowości do gorliwego wypełniania jej poleceń..." (s. 166). Takie nonsensy stoją w sprzeczności z treścią wykorzystywanych przez autorkę źródeł i elementarną wiedzą na temat historii II wojny światowej.

ANTYHISTORIA

Przykłady Edwarda Malinowskiego, Antoniego Szulca czy „Polaka" Włodzimierza Naumiuka to tylko wizytówki metodologii i poziomu książki pod redakcją prof. Engelking i Jana Grabowskiego pod tytułem „Dalej jest noc. Losy Żydów w wybranych powiatach okupowanej Polski", w której próbuje się dowieść, że Polacy są odpowiedzialni za śmierć może nawet 100–200 tys. Żydów. Dowodów na to nie ma, a to,

eprasa.pl 9c712df3b7



Powiat bielski został umieszczony przez autorów książki w Generalnym Gubernatorstwie (w którym nigdy nie był) w miejscu, w którym znajduje się Biała Podlaska

co tu zaprezentowano, to często nie nauka, tylko literacka fikcja. Wiele opisów rabunków, mordów i innych przestępstw dokonanych rzekomo przez Polaków na Żydach podawanych jest w książce na podstawie bezpodstawnych oskarżeń odrzucanych przez sądy albo w oparciu o często jeszcze mniej wiarygodne relacje świadków.

Ale kluczowym narzędziem wykorzystanym przy opisywaniu historii są tu niezbyt cenione w humanistyce nożyczki, którymi ze źródeł na dużą skalę usuwano informacje niepasujące do założonego oglądu wydarzeń. Dotyczy to zarówno wycinania z pola widzenia Niemców (tak, Niemców!), jak i negatywnych postaw Żydów (wzajemne łupienie się, działalność policjantów żydowskich, szantaże i donosicielstwo). Jeśli o przedstawicieli tych nacji chodzi, autorzy książki w opisie Zagłady chętnie sięgają po formy bezosobowe („zabito", „zapędzono", „zadenuncjowano", „żądano zapłaty" itp.). Jednocześnie z tym zabiegiem z tła historycznego w książce znikały mechanizmy zarządzania przez hitlerowców podbitą ludnością. Przypadki denuncjacji czy zabójstwa Żyda opisuje się tak, jak autonomiczne decyzje Polaków. „Polskość" nieszczęść dotykających Żydów jest podkreślana nawet wtedy, kiedy jej przedstawiciele nie ponoszą odpowiedzialności za odbywającą się na ich oczach tragedię, a nawet w przypadkach, kiedy w opisywanych wydarzeniach w ogóle nie było Polaków (vide: Włodzimierz Naumiuk). Tutaj każdy przypadek patologicznej postawy Polaka daje się podnieść do rangi obowiązującej reguły. Tu człowieka ratującego Żydów daje się opisać jako chciwego złodzieja albo zbrodniarza (vide: sołtys Malinowski). Całość tej operacji ma chyba jeden główny cel, bo przecież tu w ogóle nie o wiarygodną rekonstrukcję historii chodzi. Tym celem wydaje się zmiana miejsca Polaków w II wojnie światowej, a także trochę w historii XX w. O ich przesunięcie z kategorii ofiar do grona sprawców za pomocą „polonizacji" części hitlerowskiego Holokaustu.

Na razie owego planu za pomocą tej książki łatwo przeprowadzić się nie da. Zawiera ona tak dużą liczbę błędów, zniekształceń i innych warsztatowych uchybień, że całe przedsięwzięcie wygląda po prostu niepoważnie. Ale nagroda za specyficzne wysiłki autorów w dziedzinie opisywania historii niewątpliwie się tu należy. W niektórych konkursach, choćby o tytuł naukowej kompromitacji dekady, trudno będzie nawet o znaczącą konkurencję.

Autor jest pracownikiem Instytutu Pamięci Narodowej

eprasa.pl 9c712df3b7

Do raju za karę



Krystalicznie czyste wody, białe plaże, zielone palmy i słońce. Maleńka wyspa dla wielu to dzisiaj raj na ziemi. Nie zawsze tak było. Dla tysięcy Mauritius stał się piekłem, do którego zsyłano ich wbrew woli. Doświadczyli tego także przybysze z Polski



TADEUSZ BRZOZOWSKI

Lewandowscy do Gdańska przybyli pod koniec lat 20. XX w. z Kościerzyna, Żukowa, Gniezna. Niedługo cieszyli się urokami nadmorskiej metropolii. Niemcy, po złamaniu oporu polskiej placówki na Westerplatte, wcielili Gdańsk do Rzeszy, a miejscowych Żydów spędzili do getta. Nie powiodła się pierwsza próba ucieczki we wrześniu 1939 r. Wówczas tylko 50 mężczyzn, członków zamożnych żydowskich rodzin, wyruszyło do Palestyny. Nigdy do niej nie dotarli. Po wielomiesięcznej podróży utknęli w Jugosławii, gdzie wraz z tysiącem innych uciekinierów zostali rozstrzelani przez Niemców.

Kolejna szansa pojawiła się rok później. Pod koniec czerwca 1940 r. Lewandowscy wraz z grupą ponad 500 gdańskich Żydów w eskorcie oddziału SS przemaszerowali przez Gdańsk do dworca kolejowego. Cały majątek nieśli w plecakach. Zaplombowany pociąg powiózł ich przez Wrocław do Bratysławy, gdzie dołączyli do tysięcy innych uciekinierów, z którymi Dunajem popłynęli do rumuńskiej Tulczy. Tam zaokrętowano ich na grecki, mocno wysłużony statek Atlantic. Przez Morze Czarne i Śródziemne popłynęli na południe. Młodzi, starzy, mężczyźni, kobiety, ortodoksi i niewierzący, bogaci i biedni, obywatele Czech, Austrii, Polski i bezpaństwowcy. Po dwóch miesiącach dotarli do Hajfy, myśląc, że najgorsze mają już za sobą. Niestety wkrótce zamiast w Palestynie znaleźli się w tropikalnym piekle.

W BRYTYJSKIM OBOZIE

Port, do którego w grudniu 1940 r. przybił Atlantic, jest dzisiaj nie do poznania. Na niegdysiejszych, przylegających do Oceanu Indyjskiego nieużytkach wybudowano centrum handlowe, o każdej porze roku pełne turystów z całego świata. Po drugiej stronie zawsze zakorkowanej ulicy, ciągnącej się z północy na południe wyspy, leży wciśnięty między ocean a góry Port Louis. Bez szansy na rozwój, już tylko z nazwy pełni funkcję stolicy Mauritiusa.

Przed 80 laty mieszkańcy Port Louis licznie zebrali się w porcie, bo każdy był ciekawy nowych przybyszów. Sprawujący tu wówczas rządy Anglicy zakazali bezpośrednich kontaktów z opuszczającymi statek pasażerami, dlatego – co można wyczytać w kronice miasta – pomarańcze, banany, ananasy i naręcza liczi przekazywane były wymęczonym podróżnym za pośrednictwem robotników portowych. Później będą wspominali uśmiechnięte, ciemne twarze Maurytyjczyków jako kontrast wobec ponurych, bladych angielskich strażników towarzyszących im w oceanicznej podróży.

Więźniów, bo taki status mieli europejscy przybysze, przewieziono kilkanaście kilometrów na południe, do Beau Bassin. Droga, jak dzisiaj, wiodła przez ciągnące się po horyzont pola trzciny cukrowej. Krótka podróż zakończyła się

eprasa.pl 9c712df3b7

w lokalnym więzieniu wybudowanym z kamienia wulkanicznego w latach 80. XIX w. Tu osadzono mężczyzn. Kobiety i dzieci rozlokowano w metalowych barakach, wiecznie rozgrzanych od tropikalnego słońca. Całość otaczał mur zwieńczony drutem kolczastym. Żydów na Mauritiusie Anglicy traktowali właśnie tak, jak traktuje się niebezpiecznych więźniów.

– Przez pierwszy rok nie wolno im było opuszczać obozu. Kobiety z dziećmi mieszkały w jednej części, mężczyźni w drugiej. Widzenia były zabronione. Podobnie jak kontakty z miejscową ludnością. Później zmieniono tę politykę. Żydzi musieli sobie radzić, by przetrwać. Zaczęli pracować poza obozem, założyli nawet całkiem popularną orkiestrę. Jak widzisz, te ponure mury mocno kontrastują z naszymi zielonymi górami i turkusowym morzem. Warunki jednak były tu ciężkie, w ciągu kilku pierwszych miesięcy zmarło w obozie ponad 40 osób – opowiada Vanessa, która dzisiaj opiekuje się niewielkim muzeum i przylegającym doń cmentarzem św. Marcina. W ciągu pięciu wojennych lat pochowano tu 128 zmarłych więźniów.

W jednej z mogił spoczęła przybyła z Polski Emma Lewandowski. Tych z polskimi nazwiskami jest tu więcej. Vanessa, gdy mówię, że jestem z Polski, z nadzieją pyta, czy nie znam rodziny Lange, jedynej, z którą nie nawiązała kontaktu. Pokazuje mi list pozostawiony przez Miriam Lange. Nie pomogę, napisany jest po czesku.

– W tamtym czasie na Mauritiusie mieszkała tylko jedna osoba wyznania mojżeszowego, Isia Birger, który w latach 30. przybył tu z Litwy i ożenił się z miejscową dziewczyną. Był dla więźniów błogosławieństwem, przynosił im jedzenie, lekarstwa, dostarczał w miarę możliwości informacji ze świata i przede wszystkim, poprzez dobre kontakty z żydowską gminą w Afryce Południowej, wywierał presję na Anglików, by złagodzili rygor w obozie. Jego grób jest też tutaj, na cmentarzu – pokazuje mi Vanessa.

Śmierć i tragedia były w obozie chlebem powszednim, tuż przed jego likwidacją wybuchła epidemia polio, a malaria i tyfus co roku zabijały kilkadziesiąt osób. Vanessą najbardziej wstrząsnęła historia Fritza Haendla, artysty z Wiednia, który powiesił się w obozie w wieku 34 lat. Jego dopiero co poślubiona żona mieszkała na wyciągnięcie ręki, ale oddzielona murem. Fritz nie mógł znieść rozłąki i zamknięcia, pozostawił po sobie kilka rysunków, które dziś zdobią skromną wystawę w muzeum. I syna, który urodził się w obozie kilka miesięcy później, a o którego istnieniu nie miał pojęcia.

Kiedy pozwolono na ponowne złączenie rodzin, w obozie urodziło się 60 dzieci. Czasami odwiedzają groby swych rodziców, o czym świadczą małe kamienie pozostawione na mogiłach i wpisy do pamiątkowej księgi muzeum.

Alain Soupe, niegdyś kapitan statku oceanicznego, dzisiaj przewodniczący towarzystwa przyjaźni maurytyjsko-izraelskiej, niewysoki, krępy zagaduje polskim „Dzień dobry", a później przez godzinę, nie dopuszczając mnie do głosu, opowiada o obozie i idei pojednania wszystkich religii. – To zadanie na resztę mych lat. Żydzi, hindusi, muzułmanie, chrześcijanie jakoś tu, na Mauritiusie, ze sobą żyjemy, nie skaczemy sobie do gardeł.

> W jednej z mogił spoczęła przybyła z Polski Emma Lewandowski. Tych z polskimi nazwiskami jest tu więcej

Alain często odwiedza Izrael i osoby związane z obozem. – Po wojnie Anglicy dali im wybór, mogli wrócić do swych europejskich ojczyzn albo wyruszyć do Palestyny. Na Mauritiusie pozostali tylko zmarli, reszta popłynęła do Hajfy – mówi.

PRZESTROGA DLA NAŚLADOWCÓW

Dlaczego zamiast do Palestyny Atlantic zawinął do Port Louis i jak tylu Żydom udało się uciec z okupowanej Europy? Większości z nas wydaje się to niemożliwe, ale exodus Żydów trwał aż do listopada 1941 r., kiedy Niemcy wstrzymali wszelką emigrację i przystąpili do ostatecznego rozwiązania. Ucieczka, choć logistycznie skomplikowana i bardzo kosztowna, była jednak możliwa. Niemcy za olbrzymie łapówki zezwalali na organizowanie transportów wywożących Żydów z Europy, bo początkowo było to zgodne z ich planem rasowego jej oczyszczenia. Konwoje organizował austriacki przedsiębiorca Bertold Storfer. I choć brzmi to dzisiaj niewiarygodnie, korzystał z pomocy SS i austriackiego Centrum Żydowskiej Emigracji, którym zarządzał wówczas Adolf Eichmann.

Gdańszczanie sprzedali wszystkie nieruchomości, łącznie z wielką synagogą, i opłaciwszy ludzi Eichmanna, wyruszyli do Palestyny. Kiedy pod koniec października 1940 r. konwój z Lewandowskimi dopłynął do Hajfy, Anglicy właśnie podjęli decyzję, że Żydzi zmierzający do Palestyny bez specjalnego zezwolenia mają być natychmiast deportowani na Mauritius oraz leżący na przeciwnej półkuli Trynidad. Na pokładach trzech statków – Pacific, Milos i Atlantic – znajdowało się 3,6 tys. pasażerów. W podróż do zamorskich brytyjskich kolonii miał ich zabrać francuski liniowiec Patria. W tym czasie na scenie pojawili się członkowie Haganach – żydowskiej samoobrony, która później stała się zaczątkiem armii Izraela. Chcąc zmusić Anglików, by pozwolili uciekinierom z Europy pozostać w Palestynie, podłożyli na statku niewielki ładunek wybuchowy. Czy źle obliczyli siłę wybuchu, czy wybrali nieodpowiednie miejsce, nie wiadomo. Na pokładzie byli już pasażerowie z dwóch pierwszych statków. Rozpoczął się transfer ze spóźnionego Atlantica. Wtedy doszło do wybuchu. Dziura średnicy 3 m posłała statek na dno wraz z 270 osobami. Churchill zadecydował, że ci, którzy przeżyli eksplozję, zostaną w Palestynie, ale Atlantic i pozostali na jego pokładzie pasażerowie, wśród nich

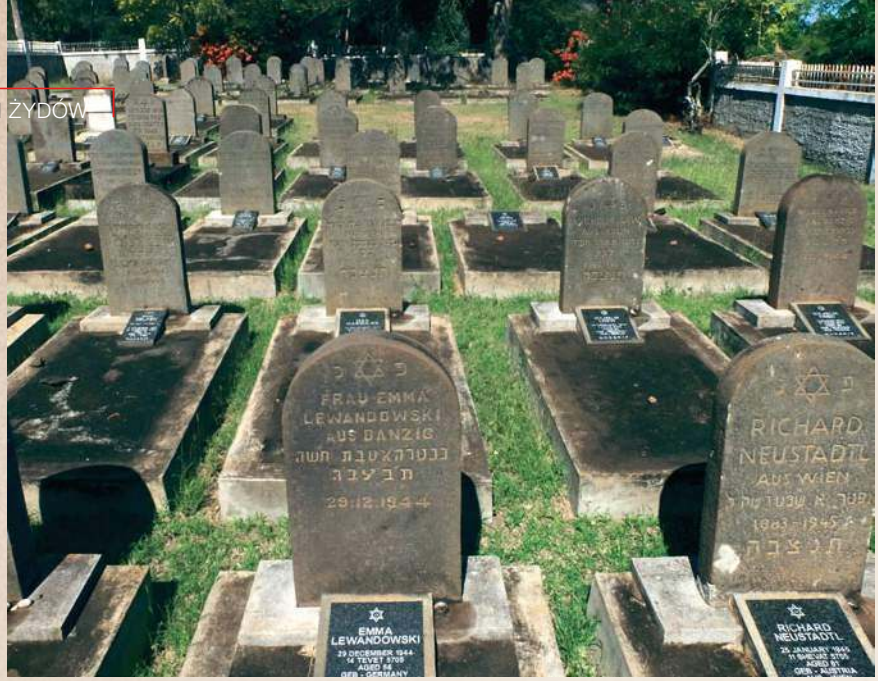
eprasa.pl 9c712df3b7

gdańszczanie, mają płynąć na Mauritius. Miała to być przestroga dla potencjalnych naśladowców.

POŻĄDANI SKAZAŃCY

Żydzi nie byli pierwszymi przybyszami, których przywieziono na Mauritius wbrew ich woli. W tym samym miejscu, w którym tuż przed Bożym Narodzeniem 1940 r. zeszli na ląd gdańszczanie, ponad sto lat wcześniej Anglicy, którzy w czasach Napoleona odebrali Mauritius Francuzom, wyładowywali dziesiątki tysięcy indyjskich skazańców. Czasy były takie, że indyjskie stany problem z kryminalistami rozwiązywały, zsyłając ich na dożywotnie roboty do odległych ziem, wcześniej znacząc im czoła tatuażem. Anglicy zastali Mauritius niemal niezamieszkany, z rozległymi polami trzciny cukrowej uprawianej przez ściąganych z Afryki niewolników. Ale kupować ich już nie mogli, bo sami zakazali takiego handlu, a nieco później znieśli instytucję niewolnictwa. Nie było tubylców, których można by, wzorem innych kolonii, eksploatować. Ówczesny gubernator poprosił więc kilka indyjskich stanów o skazańców. Pozytywnie odpowiedział Bombaj i na Mauritius popłynęły statki z przestępcami, których natychmiast zaprzęgnięto do pracy. Kiedy w 1836 r. wyspę odwiedził Karol Darwin, doliczył się 812 wytatuowanych skazańców, których uroda i zwyczaje zrobiły na nim wyjątkowe wrażenie.

Kiedy Indie stały się oficjalnie częścią brytyjskiego imperium, zarobkowa migracja na Mauritius stała się powszechna. Niemal wszyscy zaczynali od pracy przy uprawie trzciny cukrowej. Podpisywali kilkuletnie kontrakty, później osiedlali się w różnych częściach wyspy, budowali świątynie, handlowali ze starą ojczyzną. Dzisiaj ich potomkowie stanowią dwie trzecie populacji Mauritiusa i od 1968 r. samodzielnie rządzą wyspą, nie dopuszczając do władzy innych nacji. Stare, kamienne stopnie nabrzeża, którymi ich przodkowie wchodzili do portowego biura imigracyjnego, są dziś otoczone szklanymi ścianami i wpisane na światową listę dziedzictwa narodowego, to jedna z niewielu atrakcji turystycznych wyspy.



Fot. Z archiwum prywatnego autora (x2)

Przed Anglikami Holendrzy i Francuzi ściągali tu czarnych niewolników z dzisiejszego Mozambiku, Tanzanii i Madagaskaru. Obecnie to Kreole stojący najniżej w kastowym społeczeństwie Mauritiusa. Można się o tym przekonać na każdym kroku. Rozległe slumsy na wyspie w okolicach wioski Bambous zamieszkują tylko Kreole. To dziwne miejsce. Choć za dach nad głową jego mieszkańcom służą kawałki blach, każdy „dom" ma dostęp do prądu, a niektóre nawet antenę satelitarną. – Nasz rząd kazał zelektryfikować to osiedle, kupując przed wyborami głosy tych, którzy tu mieszkają. Teraz nie mogą im niczego odebrać, bo się boją rozruchów. Ale mają setki wiernych wyborców – wyjaśnia mi Gilbert, z którym przemierzam kręte ścieżki slumsów. Gilbert sam jest Kreolem i emerytowanym policjantem. Mówi, że przez 30 lat służby nigdy nie awansował, właśnie ze względu na swe pochodzenie. – Hindusi opanowali wyspę i tworzą nam tu drugie Indie. Właśnie kazali opuścić do połowy masztów flagi, bo zmarł były premier Indii. Jakiegoś podrzędnego aktora z Bollywood traktuje się tu jak księcia, później czytam, że tego księcia posadzili w więzieniu. Czy znasz drugi taki kraj, który sam się prosi, by zrobić z niego kolonię? – pyta retorycznie.

Na wyspie żyją również Chińczycy. Ich przodkowie też nie przypłynęli tu z własnej woli. W połowie XVIII w. Francuzi porywali ich z Sumatry i zmuszali do pracy. Chińczycy, choć brzmi to niedorzecznie, zorganizowali strajk i zmusili Francuzów do odesłania ich na Sumatrę. Ale wkrótce zaczęli przybywać na Mauritius dobrowolnie, znajdując zatrudnienie jako ślusarze, stolarze, szewcy i przede wszystkim handlarze. Dzisiaj jest ich tutaj ponad 30 tys., mają w stolicy swoje wystrojone czerwonymi lampionami Chinatown i choć nieliczni, są bardzo widoczną, darzoną szacunkiem grupą. Wszyscy są chrześcijanami i w każdą niedzielę po brzegi wypełniają dwa katolickie kościoły prowadzone przez dwóch polskich księży. Ich relacje z intensywnie inwestującymi na Mauritiusie kontynentalnymi Chinami są właśnie z religijnych powodów szczególne. Kiedy w maju bieżącego roku zorganizowali wielkim wysiłkiem balet pokazujący historię ich pobytu na wyspie, wśród tysiąca gości nie było nikogo z bardzo prężnie działającej tu ambasady Chin. Tydzień później na koncercie zorganizowanym przez ambasadę na palcach jednej ręki można było zliczyć miejscowych Chińczyków.

Na wyspie Chińczycy czują się jak u siebie, zapomnieli własnego języka, mówią tylko po francusku i kreolsku; przyjezdni narzekają na tutejszą kuchnię, rzecz dla Chińczyka świętą. Mówią, że wszystko jest tu przyprawione nie tak, jak być powinno. Hindusi z Indii mają podobne zdanie na temat wyspiarskiej kuchni, mówiąc, że w karcie są znajome dania, ale smakują inaczej niż w Indiach. Mój kolega Rajesh podsumowuje to kulinarną metaforą: – Maurytyjczycy są jak lokalny ryżowo-warzywno-mięsny przysmak briani, wymieszani w jednym garnku, już ani Hindusi, ani Chińczycy, ani Kreole.

51/0918/F

eprasa.pl 9c712df3b7

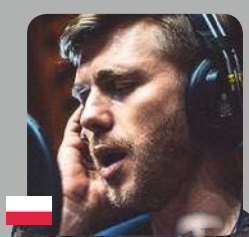
16 X 2018
godz. 20.00
Rzeszów, G2A Arena – Jasionka

PROJEKT MUZYCZNY
DEKALOG

II MIĘDZYNARODOWY KONGRES
RUCHU „EUROPA CHRISTI" PODKARPACKIE 2018

W 40. rocznicę wyboru św. Jana Pawła II

„Dziesięć prostych słów, od których zależy przyszłość Polski, Europy, świata..." – św. Jan Paweł II



ANDRZEJ LAMPERT
Śpiewak operowy scen Polski i świata. Utwór „O Dio Ti cerco" (I przykazanie – Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną)



PADDY KELLY
Członek dawnej grupy The Kelly Family. Utwór „Holy" (II przykazanie – Nie będziesz brał imienia Pana Boga swego nadaremnie)



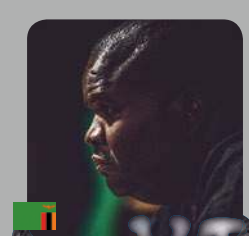
JÓZEF SKRZEK
Utwór „Observa diem Sabbati" (III przykazanie – Pamiętaj, abyś dzień święty święcił)



TONY MELENDEZ
Utwór „Honor your father and your mother" (IV przykazanie – Czcij ojca swego i matkę swoją)



PIOTR ŁUKASZEWSKI
Utwór „You shall not kill" (V przykazanie – Nie zabijaj)



ŁEVI SAKALA
Utwór „Aikona" (VI przykazanie – Nie cudzołóż)



ŁUXTORPEDA
Utwór „Seventh" (VII przykazanie – Nie kradnij)



FR STAN FORTUNA
Utwór „8" (VIII przykazanie – Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu)



DARIUSZ „MALEO" MALEJONEK, KELVIN GRANT
Utwór „In my Father's house" (IX przykazanie – Nie pożądaj żony bliźniego swego...)



ADEB CHAMOUN
Utwór „When brothers dwell in peace" (X przykazanie – ...Ani żadnej rzeczy, która jego jest)

więcej na: myslacojczyzna.pl

Prosimy o potwierdzenie udziału przez dokonanie internetowej rejestracji: www.DEOmeo.pl/Europa .
W razie problemów chętnie pomożemy: deomeo@deomeo.pl , tel. 733 647 220, 883 777 849

Organizatorzy:

myśląc jczyzna PODKARPACKIE przestrzeń otwarta

Senat Rzeczypospolitej Polskiej

Sweiz Rozum Wiara Miłość

deca logue

niedziela

Fundacja NIEDZIELA. Instytut Mediów

Sponsor strategiczny:

Bank Pekao

Partner: PWPW

Mecenas: Energa

Poczta Polska

Partnerzy:

BGK Bank Gospodarstwa Krajowego

Fundacja ORLEN Dar Serca

ADAM M. BAK FOUNDATION New York, USA

Fundacja KGHM Polska Miedź

Robotyzacja.pl

Konsorcjum PMS

Patroni medialni:

niedziela · eKai · wPolityce.pl · SIECI

pap · republika · TVP 3 Rzeszów · TRWAM · Radio Via

Radio wnet · Radio Maryja · Radio Warszawa · Radio Biały Kruk

DEOmeo · salvetv · Radio Fara

eprasa.pl 9c712df3b7

Brexit – koniec ustępstw

Na unijno-brytyjskim politycznym froncie trwa coraz silniejszy ostrzał artyleryjski





JAN ROKITA

Wszystko zaczęło się jeszcze podczas wrześniowego szczytu w Salzburgu, gdzie (jak twierdzi brytyjski minister ds. brexitu Dominic Raab) unijni przywódcy znieważyli premier Theresę May. Podczas ubiegłotygodniowego zjazdu partii torysów Raab relacjonował delegatom, iż w Salzburgu „pani premier była konstruktywna i pełna szacunku, ale w zamian za to z ust przywódców unijnych usłyszeliśmy kpiny i jednostronne podejście do negocjacji". Czterodniowy zjazd partii rządzącej w Birmingham stał się sceną spektakularnego starcia na temat brexitu między lojalistami popierającymi strategię May a rosnącym w siłę skrzydłem radykałów, niekryjących się z tym, że po doświadczeniu Salzburga chcą już nie tylko klarownej strategii konfrontacji z Brukselą, lecz również dymisji premier. Owacja, jaką otrzymał od delegatów Boris Johnson nawołujący, aby ktoś w końcu wytłumaczył May, iż trzeba „wyrzucić" (albo raczej „wyj...ać") Chequers, była widomym dowodem radykalizacji nastrojów partii, w znacznym stopniu wynikającej z taktycznej nieporadności i braku sukcesów premier.

„CHUCK CHEQUERS!"

Chequers – to symboliczna nazwa kompromisowej strategii negocjacyjnej, jaką po wielu konfliktach uzgodnił latem rząd May obradujący w tej podlondyńskiej rezydencji brytyjskich premierów. Jednak sondaż przeprowadzony pośród torysów przez Conservative House pokazał ostatnio, że strategia Chequers ma nikłe poparcie w samej partii; akceptuje ją zaledwie 7 proc. torysów. Hasło „Chuck Chequers!" stało się więc zawołaniem angielskich konserwatywnych wrogów Unii Europejskiej, dążących teraz również do jak najszybszego obalenia gabinetu Theresy May.

Chequers zostało już odrzucone przez unijnych partnerów May podczas szczytu w Salzburgu. I faktycznie stało się potem przedmiotem różnych złośliwych dykteryjek prawionych przez funkcjonariuszy UE. Np. znany dobrze w Polsce komisarz Frans Timmermans w taki oto sposób opisywał główną ideę Chequers, tłumacząc ją eurodeputowanym: „Oni chcieliby opuścić nasz dom, ale zachować sobie do niego klucze, tak, aby w każdej chwili móc wejść i zabrać, co

eprasa.pl 9c712df3b7



Fot. Shutterstock

Teresa May i Boris Johnson: niegdyś przyjaciele, teraz zajadli antagoniści. Premier i byłego już ministra spraw zagranicznych w jej rządzie skłóciła strategia wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej

im się będzie podobać". Chodzi o to, że w Unii absolutnie nie chcą nawet słyszeć o tym, aby Wielka Brytania zachowała wolność handlu z kontynentem i pozostała z nim w unii celnej, jednocześnie odrzucając swobodę imigracji i osiedlania się obcokrajowców. Dlatego May wywołała jeszcze większą złość w Europie, gdy chcąc choć trochę udobruchać swoich partyjnych przeciwników, ostro zadeklarowała na antenie BBC, iż: „swobodny przepływ osób do Wielkiej Brytanii skończy się raz na zawsze, wraz z wystąpieniem kraju z Unii". Tę stanowczość brytyjskiej premier na polu imigracji szef największej frakcji EPP w Parlamencie Europejskim (a zarazem najpoważniejszy na razie kandydat na przyszłego szefa Komisji Europejskiej) Manfred Weber uznał za powód, aby wezwać 27 unijnych państw do „pełnego zjednoczenia przeciw wybieraniu sobie z Unii korzyści", do czego jego zdaniem dążą właśnie Anglicy.

Oliwy do ognia dolał jeszcze brytyjski minister spraw zagranicznych Jeremy Hunt, który podczas kongresu w Birmingham tak się retorycznie zagalopował, że nazwał Unię „więzieniem, z którego uciekać będą kolejni więźniowie" oraz zestawił ją ze... Związkiem Sowieckim (co nawiasem mówiąc, wielokrotnie w przeszłości czyniła także lady Thatcher). Łatwo sobie wyobrazić furię, która ogarnęła nie tylko brukselskich eurokratów, lecz także licznych polityków europejskich. Na Hunta zaś posypała się prawdziwa lawina euroentuzjastycznych przekleństw i złorzeczeń.

O ile ostra retoryka Johnsona, który po przyjęciu przez rząd strategii Chequers protestacyjnie zrezygnował z funkcji szefa dyplomacji, jest całkiem oczywista, o tyle bardziej zawiłe są przyczyny twardego języka w ustach członków rządu i samej premier. Chodzi o to, że jak dotąd, w trwających już przeszło rok negocjacjach brexitowych, May dokonywała wobec Unii ustępstwa za ustępstwem. Najpierw zgodziła się na wpłacenie do Brukseli gigantycznych kwot pieniędzy mających być „rekompensatą" za wygasające przyszłe zobowiązania Brytanii wobec UE. Potem udzieliła daleko idących gwarancji cudzoziemcom, którzy pracują obecnie w Wielkiej Brytanii albo przybędą tam jeszcze w czasie poprzedzającym formalne wystąpienie kraju z Unii, planowane na marzec 2019. Wreszcie przyjęła w zasadzie wszystkie warunki stawiane przez Brukselę, gdy idzie o 21-miesięczny okres przejściowy, jaki ma nastąpić po dacie marcowej, w tym m.in. wyjątkowo źle widzianą w Anglii podległość wobec wyroków unijnego Trybunału Luksemburskiego, o którym wiadomo, iż nie ma dziś dobrych intencji wobec Anglików.

Na dodatek każde z tych ustępstw oznaczało wycofanie się ze zobowiązań i obietnic, jakie wcześniej czyniono zwolennikom brexitu. Tak więc brexit miał oznaczać koniec płacenia na Unię (tymczasem teraz mają się zacząć wielomiliardowe płatności), zwycięstwo brytyjskiej suwerenności nad sądami unijnymi (ma być dalej podległość) oraz możliwość zaostrzenia warunków pobytu i zatrudnienia dla obcokrajowców (ci, którzy już są na Wyspach, mają jednak podlegać pełnej ochronie). Czerwoną linią graniczną ustępstw miała być dla May obietnica przywrócenia suwerenności w odniesieniu do imigracji na przyszłość. I stąd zapewne owa stanowcza retoryka May na ten temat w chwili, gdy zjazd w Birmingham właśnie otwarcie podważał jej zdolność dalszego przewodzenia krajowi.

Tyle tylko, że właśnie na tym polu May napotkała stanowczy opór unijnych negocjatorów. Logika, jaką przedstawiają oni Anglikom, jest prosta. „Skoro chcecie skończyć ze swobodą przepływu osób, to znaczy, że nie chcecie uczestniczyć w całości jednolitego europejskiego rynku, na który składają się nierozdzielnie cztery swobody: przemieszczania się ludzi, towarów, kapitału i usług. Zatem bez wolnego rynku pracy dla mieszkańców Unii nie ma mowy o handlowej unii celnej". Chequers – zdaniem Brukseli – jest właśnie dlatego mrzonką, bo zakłada, iż cała Wielka Brytania będzie nadal złączona z Europą unią celną mającą polegać na tym, iż Anglicy będą pobierać na swoich granicach (tak jak dotąd) ustalane przez UE cła na towary idące na kontynent, a następnie rozliczać się z tych kwot z Brukselą. Trzeba przyznać, iż byłby to swego rodzaju dziwoląg, za którego sprawą unijne cła pobierane byłyby na nieunijnej granicy, przez kraj nienależący do UE. Ale też May sądziła zapewne, że wymyślenie tego rodzaju dziwoląga nie jeden raz w historii uratowało już negocjacje, które zabrnęły w jakiś ślepy zaułek.

eprasa.pl 9c712df3b7

PROBLEM IRLANDII

Ale w tym punkcie pojawiła się jeszcze większa zagwozdka. Na odtworzenie granicy celnej, z posterunkami i kontrolami towarów, kategorycznie nie zgadza się Irlandia, grożąc po cichu wetem wobec całej umowy. Odkąd bowiem 20 lat temu udało się zakończyć przewlekłą wojnę w Irlandii Północnej, Dublin (oraz katoliccy zwolennicy „powrotu Ulsteru do macierzy") zgodził się na utrzymanie Ulsteru w granicach Korony Brytyjskiej na takiej zasadzie, że faktycznie zniesiona została wewnątrzirlandzka granica przypominająca o angielskiej okupacji. Stając w obronie narodowej dumy i bardzo praktycznych interesów Irlandii, Bruksela zażądała od Anglików, aby zgodzili się na faktyczny podział Zjednoczonego Królestwa poprzez włączenie Ulsteru do unijnego rynku wewnętrznego i ustanowienie granicy celnej na Morzu Irlandzkim. Bruksela zatem nie tylko odrzuciła wyrafinowany koncept zachowania unii celnej wynikający z Chequers, lecz także uparła się przy planie utrzymana faktycznego dalszego członkostwa w UE fragmentu brytyjskiego terytorium państwowego. To właśnie ten projekt, otwarcie godzący w prestiż Anglii i dumę narodową Anglików, stał się kamieniem obrazy po tamtej stronie kanału. A także powodem setek złośliwych, wrogich, a czasem wręcz wściekłych antyunijnych filipik, zarówno podczas zjazdu w Birmingham, jak i na łamach antyeuropejskich angielskich mediów.

> „Oni chcieliby opuścić nasz dom, ale zachować sobie do niego klucze, tak, aby w każdej chwili móc wejść i zabrać, co im się będzie podobać" – grzmiał Timmermans

W ten sposób May znalazła się w potrzasku. Może najlepiej widać było absurd jej dzisiejszej sytuacji właśnie w Birmingham, kiedy uparcie broniła strategii Chequers, wiedząc, iż jest ona już nierealna, gdyż stanowczo odrzucili ją przywódcy unijni. Podobno na szczycie w Salzburgu tylko trzy kraje gotowe były na kompromis z Londynem, nawet za cenę pewnego upokorzenia Dublina. Były to Litwa, Rumunia i Polska, czyli państwa zachowujące najmocniej probrytyjskie i proamerykańskie stanowisko w Unii. Jednak szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker z całym naciskiem przypomniał ostatnio, iż unijna taktyka negocjacyjna opiera się na regule „Ireland First", co oznacza, że interesy (czy nawet idiosynkrazje) Dublina będą nadal mieć w Unii pierwszeństwo przed interesami angielskimi. Jest więc całkiem jasne, że zdrowy rozsądek wykazuje dziś Boris Johnson używający brutalnego hasła „Chuck Chequers!".

Nadal natomiast zupełnie nie wiadomo, co w tej sytuacji na serio planuje premier May. Jednak po jej mowie zjazdowej z Birmingham można odnieść wrażenie, że próbuje ona po raz kolejny sztuczki, która – jak dotąd – udawała się już jej kilkukrotnie. Najpierw obronić się przed wewnętrzną opozycją partyjną, używając twardej antyeuropejskiej retoryki i pokazując nieprzekraczalną czerwoną linię graniczną ustępstw. A kiedy to już się uda, w kolejnej fazie żmudnych negocjacji znów ustąpić pod naporem Brukseli, mamiąc torysów i antyeuropejską część brytyjskiej opinii patriotyczno-suwerennościową retoryką oraz wizjami jakiejś nowej czerwonej linii, którą cały naród musi obronić w imię swego honoru.

Tyle tylko, że tym razem kwestia brexitu zmierza już do finału, albowiem do końca marca pozostało niespełna 200 dni. A w tym finale May czeka (jak nie bez racji zapowiada jej to złowrogo Juncker) „moment prawdy". I to zapewne prędko, bo już na definitywnym październikowym unijnym szczycie. Tam albo premier musi pogodzić się z upadkiem ostatniej linii obrony, jaką ciągle jest dla niej Chequers, albo też zerwie ów szczyt, stając się symbolem fiaska całej brytyjskiej strategii opuszczania UE. Nie bez kozery dziennik „The Guardian", opisując kultową już scenkę wkraczania May tanecznym krokiem na zjazdową trybunę w rytm melodii „Dancing Queen", sarkastycznie zauważył, iż w jej sytuacji bardziej stosowne byłoby wejście przy wtórze innego, równie sławnego przeboju zespołu Abba „Waterloo".

REKLAMA

SPÓŁDZIELCZY INSTYTUT NAUKOWY poleca



w numerze m.in.:

Wioleta Maćkowiak, **Faktoring i forfaiting jako mechanizmy zarządzania należnościami**

Marika Szalay, **Rachunkowość wariantowa jako element kształtowania wyniku finansowego przedsiębiorstwa**

Eugeniusz Gostomski, Tomasz Michałowski, **Protekcjonistyczna polityka gospodarcza Trumpa zagrożeniem dla wzajemnych relacji handlowych Unii Europejskiej i USA**

Tomasz Słapczyński, **Europejski nakaz aresztowania, jako instrument współpracy międzynarodowej w zakresie ścigania przestępców – paradygmaty ewolucji**

Tomasz Dąbrowski, **Elementy tytułu wykonawczego w administracyjnym postępowaniu egzekucyjnym w świetle wybranego orzecznictwa sądowego**

Spis treści

I. Orzecznictwo
II. Przegląd piśmiennictwa z zakresu części ogólnej prawa spółdzielczego za rok 2017
III. Przegląd orzecznictwa z zakresu części ogólnej prawa spółdzielczego za rok 2017
IV. Przegląd piśmiennictwa z zakresu spółdzielni mieszkaniowych za rok 2017
V. Przegląd orzecznictwa z zakresu spółdzielni mieszkaniowych za rok 2017
VI. Przegląd orzecznictwa i piśmiennictwa z zakresu spółdzielni pracy i spółdzielni produkcji rolnej za rok 2017
VII. Przegląd piśmiennictwa z zakresu prawa spółek handlowych za rok 2017
VIII. Przegląd orzecznictwa z zakresu prawa spółek handlowych za rok 2017



www.p-i-w.edu.pl www.sin.edu.pl

5/7/0118/F

eprasa.pl 9c712df3b7

Nowy, wielokulturowy świat

Światowy Pakt w sprawie Migracji (Global Compact for Safe and Orderly Migration – GCM), uzgodniony przez 192 państwa członkowskie ONZ, to wysoce zideologizowany dokument, który przedstawia masową migrację, w tym zarobkową, jako zjawisko „nieuniknione". Pod umową zawartą w lipcu br. podpisała się także Polska

Fot. Shutterstock

Specjalna przedstawiciel sekretarza generalnego ONZ ds. migracji Kanadyjka Louise Arbour, która nadzorowała negocjację paktu, nie kryła entuzjazmu po uzgodnieniu dokumentu. Przekonywała, że dobrze zorganizowana migracja przynosi pozytywne skutki. A mówienie o „nielegalnych migrantach" uwłacza ich godności i jest wyrazem „rasizmu i ksenofobii". „Dyskusje o tym, czy migracja to rzecz dobra, czy zła, są mało pomocne. […] Migracja dzieje się obecnie, działa się w przeszłości i będzie się działa także w przyszłości. Musimy to zaakceptować" – podkreśliła Arbour w wywiadzie dla dziennika „New York Times".

Choć Światowy Pakt ws. Migracji to dokument formalnie niewiążący jego sygnatariuszy, to jednak tworzy on określoną narrację, która – jak twierdzi Niemiecki Instytut na rzecz Polityki Rozwojowej (DEI) – „trwale wpłynie na prawo międzynarodowe w tym zakresie". Jest też w pewnym sensie wyrazem kapitulacji: głosi, że migracja to zjawisko globalne, któremu nie da się zapobiec, ani chroniąc granice, ani inwestując miliardy w pomoc rozwojową. A ponieważ jest nieuniknione, to należy potraktować je jako szansę. Migrantom nie wolno mówić „nie" – można rozmawiać jedynie o tym, jak ich zagospodarować.

GCM ma zostać przyjęty w grudniu podczas szczytu ONZ w Marrakeszu. Stany Zjednoczone wycofały się jednak z paktu, a w ich ślad poszły Czechy i Węgry. Sprzeciw Waszyngtonu oraz zaostrzenie polityk migracyjnych w wielu państwach członkowskich ONZ stawia praktyczne zastosowanie paktu pod znakiem zapytania.

MIGRACYJNE PANACEUM

Dyskusje nad stworzeniem Światowego Paktu ws. Migracji rozpoczęły się w następstwie fali uchodźców, która napłynęła z Afryki i Bliskiego Wschodu do Europy na przełomie lat 2015/2016. We wrześniu 2016 r. odbył się pierwszy szczyt na temat „ucieczki i migracji" pod auspicjami ONZ, zwołany przez ówczesnego prezydenta USA Baracka Obamę.

Tło do rozmów stanowiły doniesienia o zabiciu – dwa miesiące wcześniej



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

– przez turecką straż graniczną 11 syryjskich uchodźców oraz śmierć tysięcy migrantów, którzy utonęli w Morzu Śródziemnym, próbując dotrzeć do Europy na nienadających się do żeglugi łajbach. Przyjęto wówczas (jednogłośnie) tzw. deklarację nowojorską dającą wysokiemu komisarzowi ONZ mandat do stworzenia paktu na rzecz ochrony „migrantów i migrantek" przed łamaniem praw człowieka oraz wyzyskiem. Negocjacje nad nim trwały 18 miesięcy. A na jego kształt w niemałym stopniu wpłynęły organizacje pozarządowe, szczególnie te, które trudzą się niesieniem pomocy migrantom – czy to na Morzu Śródziemnym, czy w krajach docelowych migracji. Treść dokumentu odzwierciedla ideologiczne przekonania jego twórców: migracja – jak podkreślił sekretarz generalny ONZ António Guterres – „nakręca wzrost gospodarczy, zmniejsza nierówności, łączy kultury i stanowi ratunek dla starzejących się społeczeństw". Ponieważ migracja to zjawisko pozytywne, a wkład migrantów w rozwój społeczeństw jest ogromny, należy się zastanowić, zdaniem Guterresa, „jak ułatwić wędrówkę ludów, zamiast usiłować ją zatrzymać". Tworząc legalne drogi migracji i umożliwiając migrantom podjęcie w krajach docelowych legalnej pracy. „Dla dobra naszych gospodarek, społeczeństw i samych migrantów" – przekonywał sekretarz generalny ONZ.

Migracja jawi się więc w pakcie jako panaceum na wszystkie bolączki ludzkości, od nierówność dochodów, zmian klimatu, po nierówność płci. Przede wszystkim jest przedstawiana jako nienaruszalne prawo człowieka. Wpływ NGO-sów jest widoczny choćby w takich sformułowaniach jak te: „humanitarna pomoc dla migrantów nie powinna być karalna" oraz „areszt deportacyjny powinien być stosowany tylko w ostateczności". Z dokumentu wybrzmiewa aż nader wyraźnie kulturowy relatywizm (w obliczu nieproszonego napływu ludzi z zewnątrz nie martwimy się o to, jaką kulturę przynoszą przybysze, ponieważ jakakolwiek by ona była, zakładamy, że jest dobra) oraz ideologia globalizmu, czyli przekonanie, że państwa narodowe stanowią niepotrzebną przeszkodę na drodze do scalenia ludzkości. „Apeluję o to, by w centrum naszych debat znalazła się przyszłość kolektywnej ludzkości. Musimy umacniać wśród narodów świata pozytywne podejście do spraw migracji w celu zwalczania takich zjawisk jak ksenofobia i dyskryminacja" – zaznaczył sekretarz generalny ONZ z okazji prezentacji deklaracji nowojorskiej.

Przyjęte w GCM uzgodnienia zawierają więc 23 cele, których wspólnym mianownikiem jest koordynacja i ukierunkowanie globalnych prądów migracyjnych, ale także „wzmocnienie pozycji migrantów i kształtowanie publicznej percepcji migracji". Uwrażliwiając przedstawicieli mediów na „używanie właściwej terminologii związanej z migracją" i obcinając fundusze publiczne mediom, „które promują nietolerancję, ksenofobię, rasizm i dyskryminują obcych". To wszystko oczywiście w ramach wolności słowa oraz „z poszanowaniem suwerennego prawa narodów do kształtowania polityki migracyjnej".

DOKTRYNA PATRIOTYZMU

Waszyngton najwyraźniej nie dał wiary tym zapewnieniom. Misja USA przy ONZ oznajmiła, że Stany Zjednoczone wycofują się z paktu na rzecz migracji, uznając, że deklaracja nowojorska jest niezgodna z polityką USA i wytycznymi prezydenta Donalda Trumpa w tej kwestii. Ambasador USA przy ONZ Nikki Haley zaznaczyła, że „decyzje w sprawie polityk imigracyjnych muszą być zawsze podejmowane wyłącznie przez Amerykanów". Oburzyło to szefa dyplomacji słowackiej Miroslava Lajčáka, który przewodniczył wówczas Zgromadzeniu Ogólnemu ONZ. „Migracje są problemem światowym, który domaga się odpowiedzi od [całego] świata […], a wielokulturowość pozostaje najlepszym sposobem

eprasa.pl 9c712df3b7

na stawienie czoła światowym wyzwaniom" – napisał w oświadczeniu. Nie zrobiło to na Trumpie większego wrażenia. Już w czasie kampanii prezydenckiej krytykował ONZ, twierdząc, że organizacja ma wielki potencjał, „ale jest teraz tylko klubem dla ludzi, aby się spotkać, porozmawiać i dobrze się bawić". Podczas przemówienia na forum ONZ 25 września br. prezydent podkreślił, że USA nie będą podlegać jurysdykcji Międzynarodowego Trybunału Karnego ani nie dołączą do GCM. „Ameryka rządzona jest przez Amerykanów. Odrzucamy ideologię globalizmu i przyjmujemy doktrynę patriotyzmu" – oświadczył. Trump przekonywał, że migracją nie powinien zarządzać międzynarodowy organ nieodpowiadający woli obywateli. „Uznajemy prawo każdego państwa do własnej polityki migracyjnej zgodnej z jego narodowym interesem, tak jak prosimy inne państwa o szanowanie naszego prawa" – oznajmił Trump. Za „jedyne długoterminowe rozwiązanie kryzysu migracyjnego" uznał pomoc dla państw, z których wyjeżdżają migranci.

Do USA szybko dołączyły Węgry. Szef węgierskiej dyplomacji Péter Szijjártó oświadczył po uzgodnieniu treści paktu w lipcu, że Węgry nie zaakceptują jego zapisów. Rząd w Budapeszcie bowiem obawia się, że uzgodnienia te mogą się skończyć zmuszaniem poszczególnych krajów do otwarcia swoich granic imigrantom i uchodźcom. Węgry nie zgadzają się też na zasadniczą wymowę porozumienia, iż migracja jest „podstawowym prawem człowieka". Niedługo potem w raporcie ONZ Węgry wymieniono wśród krajów nękających obrońców praw człowieka, obok m.in. Chin, Turcji, Rosji i Birmy. Zdaniem Budapesztu to zemsta „proimigracyjnego" Guterresa, polityka portugalskiej Partii Socjalistycznej, za wyjście z GCM. Szijjártó zarzucił ONZ rozpowszechnianie kłamstw na temat polityki migracyjnej Węgier i próbę objęcia go kuratelą. „Węgry doświadczyły, jak to jest, gdy wbrew ich własnemu ludowi ustanawia się nad nimi coś na kształt protektoratu. Zawsze będziemy chronić bezpieczeństwo Węgrów. Nigdy nie pozwolimy na to, by choćby jeden nielegalny migrant dostał się na terytorium naszego kraju" – oznajmił minister.

> Trudno zrozumieć, dlaczego polski rząd podpisał się pod dokumentem, którego konsekwencją może być zmuszanie poszczególnych krajów do otwarcia swoich granic imigrantom i uchodźcom

Zastrzeżenia do paktu mają także Czechy. Tamtejszy resort spraw zagranicznych oświadczył, że rząd w Pradze nie może się zgodzić i się nigdy nie zgodzi na nielegalną migrację. Dlatego Czesi zastanowią się jeszcze, czy przyłączą się do projektu na szczycie ONZ w grudniu.

PRZECIW TRENDOM

Jak zauważają eksperci, wydźwięk dokumentu ONZ jest sprzeczny z trendami w polityce migracyjnej większości krajów docelowych migracji na Zachodzie. Jak przekonuje J. Kevin Appleby z Centrum Studiów nad Migracją w Nowym Jorku, może to oznaczać, że „uzgodnienia zawarte w pakcie nigdy nie zostaną zastosowane w praktyce". „Malta i Włochy bezlitośnie ściągają nie tylko przemytników ludzi, lecz także NGO-sy wyławiające migrantów z morza. Francja zaostrzyła ostatnio przepisy migracyjne i wydłużyła areszt deportacyjny dla migrantów. Niemcy dyskutują o stworzeniu zamkniętych centrów deportacyjnych przy swoich granicach.

Oczywiście pakt może posłużyć do tego, by przypomnieć tym rządom, że zobowiązały się tego nie robić. Ale one mogą to po prostu zignorować" – podkreślił Appleby w rozmowie z „New York Timesem".

Nastroje społeczne w krajach docelowych migracji zdecydowanie nie sprzyjają wizji nakreślonej w pakcie ONZ. Stwarza to wrażenie, że GCM to ostatnia, desperacka próba narzucenia światu lewicowej narracji o migracji, którą coraz mniej ludzi podziela. Pokazuje to także fakt, że podczas negocjacji z dokumentu ONZ wypadło wiele sformułowań uważanych za „zbyt ryzykowne", jak choćby „prawne zobowiązanie nieodsyłania uchodźców do ich krajów, jeśli grozi im tam niebezpieczeństwo". Na przyjęcie takiego zobowiązania, sformułowanego tak „mgliście", żaden z krajów Zachodu nie chciał się zgodzić.

Nawet jeśli jednak pakt pozostanie literą martwą i skończy się na ogólnej deklaracji dobrych chęci, jak w ONZ często bywa (ktoś stwierdził niegdyś, że gdyby ONZ miała motto, brzmiałoby ono zapewne tak: „Zanim będziecie się nawzajem zabijać, pokrzyczcie sobie trochę u nas. Zapewniamy kawę i ciastka"), to i tak trudno zrozumieć, dlaczego polski rząd się pod takim dokumentem podpisał. Wynika z niego bowiem jednoznacznie, że takie społeczeństwa jak polskie, czyli homogeniczne etnicznie i religijnie, to relikt przeszłości i wyraz zacofania. Coś, co wcześniej czy później powinno zniknąć pod presją migracyjną. W skrócie: migranci wyleczą świat, w tym Polskę, z kulturowych i religijnych przesądów. Wydaje się to zupełnie sprzeczne z dotychczasową linią rządu. A w przeciwieństwie do unijnej polityki relokacji uchodźców według kwot wystąpienie z paktu ONZ nie niosłoby z sobą żadnych poważnych konsekwencji – ani politycznych, ani gospodarczych. A tak powstaje wrażenie, że Polska podziela pogląd wyłaniający się z dokumentu, że masowej, nielegalnej migracji nie da się zapobiec, a obcy, bez względu na ich kulturowe tło, zawsze wzbogacają społeczeństwa, które ich przyjmują. Jeśli tak rzeczywiście jest, to na co komu był ten cały spór o imigrantów z Brukselą?

eprasa.pl 9c712df3b7

Astaldi i stołeczna caryca


Fot. Shutterstock

Czy można wierzyć niedoinformowanej prezydent Warszawy Hannie Gronkiewicz-Waltz, gdy twierdzi, że budowie drugiej linii metra nic nie grozi? Oczywiście, że nie



JERZY BIELEWICZ

28 września tego roku warszawski ratusz żyruje potężny kontrakt na budowę odcinka drugiej linii metra z turecką firmą Gülermak i włoską Astaldi. 2 października, a więc cztery dni później, Astaldi składa do sądu wniosek o ochronę przed wierzycielami. Urzędująca prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz tak komentuje to wydarzenie na Twitterze: „Budowa metra nie jest zagrożona. Inwestycja budowana jest w konsorcjum z firmą turecką". Czy nikt nie poinformował prezydent, że Turcja zmaga się od wielu miesięcy z potężnym kryzysem finansowym, który od początku tego roku spowodował dewaluację miejscowej waluty o 40 proc.?! Czy naprawdę była prezes Narodowego Banku Polskiego nie wie, że ostatni szacunek rocznej inflacji w Turcji podskoczył w ciągu zaledwie miesiąca z 15 do 25 proc., a miejscowe firmy padają każdego dnia jak muchy? To przecież m.in. właśnie z powodu kryzysu w Turcji i chybionej inwestycji w tym kraju włoski Astaldi pokornie prosi dziś sąd o ochronę przed wierzycielami.

Jeśli pójdzie tak dalej i Platforma Obywatelska wygra wybory w Warszawie, to, być może, kolejną linię metra wybuduje firma z Wenezueli w konsorcjum z Syryjczykami, którzy skutecznie zniwelują grunt pod inwestycję. Czyż nie należy wreszcie skończyć z absurdem i pokrętnymi tłumaczeniami urzędującej prezydent? Vide „reprywatyzacja" w Warszawie! Który z prokuratorów odważy się, by śmiało spojrzeć i powiedzieć wprost: „Stołeczna caryca jest naga, a w korytarzach ratusza bezwstydnie panoszy się korupcja".

ABC SEKTORA BUDOWLANO-INŻYNIERYJNEGO

Kondycja sektora budowlano-inżynieryjnego zależy w dużej mierze od cyklów koniunktury. Gdy wszystko gra w gospodarce, firmy takie prosperują, rosną w siłę, dodając dużą wartość do gospodarek na całym świecie. Jednak bywa również, że okazują się pierwszymi ofiarami załamania koniunktury.

Kłopoty spółki Astaldi zaczęły się w... Wenezueli wraz z formalną utratą płynności przez ten kraj w listopadzie ub.r. Od tego momentu rodzina Astaldich próbuje ratować własny biznes, szukając inwestorów i nabywców na tzw. obligacje śmieciowe.

Najmniejsza nawet oznaka utraty płynności w tego typu spółkach wywołuje panikę wśród inwestorów i ich ucieczkę, tak jak stało się przed niespełna rokiem, gdy kurs akcji Astaldi na giełdzie w Mediolanie spadł w ciągu zaledwie kilku dni z ponad 6 do niespełna 2,50 euro. Z kolei dzień po dramatycznej informacji z ubiegłego tygodnia wartość firmy poleciała jak kamień w dół do 40 eurocentów za akcję, a cena obligacji (długu) z 75 eurocentów osunęła się do poziomu zaledwie 15 eurocentów za każde euro.

Rodzina Astaldich dalej szuka dróg ratunku własnej firmy. Przy czym powtórnie zderza się z kryzysem finansowym, tym razem w Turcji. Bezskutecz-

eprasa.pl 9c712df3b7



Włoski koncern Astaldi jest jednym z wykonawców II linii warszawskiego metra

nie ponawia próby sprzedaży udziałów w chybionej megainwestycji. Bo też dwa lata wcześniej gigantyczny most (autostrada i dwie linie kolejowe) łączący Azję z Europą nad Cieśniną Bosforską wydawał się perłą w koronie Astaldi, której wartość szacowano na ponad 1,2 mld euro. 3 października spółka w komunikacie giełdowym informuje, że być może do końca tego roku uzyska za swe udziały w moście 330 mln euro od China Merchant Group. Już teraz wiadomo jednak, że przychód ze sprzedaży to grubo za mało, by spółka przetrwała ze względu m.in. na 2,5 mld euro długu, z czego znaczną część postawiono już teraz w stan wymagalności.

A firmy budowlano-inżynieryjne są praktycznie nie do uratowania, chyba że światły właściciel podejmie odpowiednie kroki zawczasu lub też zdecyduje się na pokaźny zastrzyk gotówki. Wiem to z autopsji. Kiedy w poprzednim wcieleniu zawodowym pracowałem dla globalnej amerykańskiej firmy zajmującej się naprawą przedsiębiorstw z niemal

> Rodzina Astaldich dalej szuka dróg ratunku własnej firmy. Przy czym powtórnie zderza się z kryzysem finansowym, tym razem w Turcji

wszystkich branż, to odstępstwem od reguły był właśnie sektor inżynieryjno-budowlany. Dlaczego? Bo takie spółki opierają swą działalność na długoterminowych kontraktach, a w wielu przypadkach zamawiającym bywa państwo, z którym negocjacje mogą się okazać niezwykle trudne – nierzadko też naznaczone przez lokalną politykę. Można jednak taką niedogodną sytuację odwrócić, jeśli urzędnikom bardzo zależy na terminowym oddaniu do użytku prestiżowej inwestycji jak most, droga czy linia metra.

Taki ekstremalny przypadek już raz się zdarzył przed kilku laty w Warszawie w trakcie budowy drugiej linii metra, kiedy Donald Tusk i Hanna Gronkiewicz-Waltz osobiście zdecydowali, by dopłacić z publicznych pieniędzy do przedsięwzięcia 1,5 mld zł. Winę za nadpłatę zrzucono na... rzekę Wisłę, która zalała stację metra i podmyła pobliski tunel wbrew ekspertyzie 80-letniego profesora emeryta, którego trudno by wtrącać do więzienia. Zakładnikami sytuacji w trakcie wielomiesięcznych negocjacji okazali się w owym czasie mieszkańcy i kierowcy zakorkowanej na amen stolicy.

PONURA STOŁECZNA RZECZYWISTOŚĆ, CIĄG DALSZY

Astaldi w ciągu kilku ostatnich miesięcy zszedł z kilku budów w Polsce, zrywając kontrakty. W przypadku tunelu do wyspy Uznam prac na szczęście nie rozpoczęto. Podobnie jeśli chodzi o szybką kolej w Warszawie. Inaczej sytuacja wygląda w przypadku budowy linii kolejowej Lublin–Dęblin, gdzie polscy podwykonawcy zdążyli ponieść wysokie koszty realizacji przedsięwzięcia, zanim jeszcze Astaldi zerwał umowę.

Z drugiej strony, czy można wierzyć niedoinformowanej prezydent Warszawy (która od miesięcy „gra w głupa" z komisją weryfikacyjną), gdy twierdzi, że budowie drugiej linii metra nic nie grozi? Oczywiście, że nie. Odwrotnie, warto pamiętać, że włoska spółka nie zerwała (jeszcze?) umów i dalej formalnie buduje tunel pod Ursynowem w ramach południowej obwodnicy Warszawy czy też tunel, który miał usprawnić ruch na zakopiance.

Z perspektywy interesu państwa polskiego „wywrotka" Astaldi z pewnością znacznie opóźni projekty kolejowe i być może warto je po wnikliwym due delligence szybko zrepolonizować. Czy znajdą się chętni? Jeśli nie, to kto zapłaci polskim podwykonawcom włoskiej firmy?! Czy też, jaka jest ekspozycja banków działających w naszym kraju, bo Astaldi na przestrzeni lat wybierał warte miliardy rodzynki z polskiego tortu? I na koniec może najważniejsze pytanie o przyszłość Hanny Gronkiewicz- Waltz, skoro szczęśliwie dotrwała do wyborów samorządowych...

eprasa.pl 9c712df3b7



Jubileusz polskiej energetyki

Energetyka jest prawie rówieśnicą polskiej niepodległości. A teraz jest także jedną z podstaw naszej suwerenności

„Polska energia w 100-lecie niepodległości" to jedno z wydarzeń wpisujących się w tegoroczny jubileusz Polski. Obchody zainaugurowała uroczysta msza św. pod przewodnictwem arcybiskupa metropolity warszawskiego kard. Kazimierza Nycza. W Świątyni Opatrzności Bożej zebrali się pracownicy i przedstawiciele sektora energetyki polskiej. W tym szczególnym miejscu i czasie chcieli podziękować Bogu za sto lat polskiej niepodległości i prosić o dalszą opiekę.

Podczas homilii kardynał wracał słowami do odległych lat zaborów, do czasów odzyskania niepodległości, wspominając wielkie postacie i wydarzenia tamtych czasów. „W tej świątyni dziś za te sto lat niepodległości chcemy podziękować, ale równocześnie modlić się za was, którzy reprezentujecie ministerstwo, za którym stoi cała polska energia, całe bogactwo w ogromnej większości będące w rękach waszej odpowiedzialności. Trzeba uczyć się, aby patrzeć w przyszłość i troszczyć się o to, co zostawimy po sobie, kiedy jako pokolenie obecne przejdziemy" – mówił kard. Nycz. „Chcę wam, kochani, powiedzieć dziś jedno: wasza praca służąca tylu dziesiątkom milionów ludzi w Polsce, wasza służba – niech zawsze będzie służbą – tak jak robili to ci, którzy ustalali Konstytucję 3 maja, jak ci, którzy utworzyli II Rzeczpospolitą w roku 1918. Niech będzie służbą Polsce, niech będzie służbą ludziom, niech będzie dla was radością i satysfakcją" – życzył pracownikom energetyki kardynał.

eprasa.pl 9c712df3b7



Do okresu, kiedy Polska odzyskiwała niepodległość nawiązał także minister energetyki, Krzysztof Tchórzewski podczas uroczystej gali, która po mszy odbyła się w gmachu Politechniki Warszawskiej. „Energetyka tak naprawdę rozwinęła się wtedy, kiedy Polska odzyskała niepodległość. Pierwsza elektrownia – Powiśle – powstała w 1904 r. I szybko okazało się, że bez energii nie da się żyć w miastach ani nie ma także przemysłu" – mówił minister.

Obok energetyków w auli Politechniki Warszawskiej zgromadzili się również pracownicy firm wydobywczych, a także ludzie zatrudnieni w pionach energetycznych firm przemysłowych i paliwowych.

„Rzadko się tym chwalimy, ale przecież to Polak zmienił świat. Destylacja ropy naftowej Ignacego Łukasiewicza zmieniła świat. Pierwsza ulica na świecie została oświetlona we Lwowie dzięki instalacji stworzonej przez Łukasiewicza, który został przedsiębiorcą" – mówił Tchórzewski.

> Rzadko się tym chwalimy, ale przecież to Polak zmienił świat. Pierwsza ulica na świecie została oświetlona we Lwowie dzięki instalacji stworzonej przez Ignacego Łukasiewicza – mówił minister Tchórzewski

Jednak, o czym przypomniał minister, dla energetyki ogromne znaczenie ma także to, co się będzie działo w przyszłości. „Musimy wybiegać w przyszłość, rozważać, jak się będzie rozwijała gospodarka, ile energii i z jakiego paliwa będzie potrzeba. Jesteśmy ludźmi z cienia. Kiedy idziemy z naszymi potrzebami, patrzy się na nas niechętnie, bo nasze potrzeby są potężne, jedna elektrownia kosztuje 6 mld zł, a przecież potrzeba ich więcej, coraz bardziej nowoczesnych" – dodawał minister.

O tym, że energetyka ma strategiczne znaczenie, mówił Marek Kuchciński, marszałek Sejmu. „Bezpieczeństwo energetyczne jest jednym z filarów naszej niepodległości. A państwo czuwacie nad bezpieczeństwem energetycznym Polski i dużej części naszego regionu" – podkreślił marszałek.

Zapowiedział także, że Prawu i Sprawiedliwości bardzo zależy na zwiększaniu bezpieczeństwa energetycznego. „Polska ma pomysł na bezpieczeństwo energetyczne i realizuje ten pomysł z całą stanowczością. Państwo zaś przez dywersyfikację źródeł energii i przez rozwój rodzimych źródeł energii zwiększacie nasze bezpieczeństwo. Widać, że bezpieczeństwo energetyczne Polski rośnie, i chciałbym za to wam podziękować" – zakończył swoje wystąpienie Marek Kuchciński.

Duży nacisk na bezpieczeństwo energetyczne położył także premier Mateusz Morawiecki w liście, jaki przysłał do osób zgromadzonych na gali. „Sprawny system energetyczny jest jednym z filarów nowoczesnego państwa. Zapewnianie bezpieczeństwa energetycznego to także repolonizacja aktywów energetycznych oraz budowa nowych elektrowni. Ale także dla bezpieczeństwa energetycznego ogromne znaczenie ma rozwój energetyki obywatelskiej i elektromobilności" – napisał szef rządu.

Również Andrzej Duda złożył życzenia uczestnikom uroczystości w liście, który odczytała Marta Gajęcka, doradczyni prezydenta. „Bazując na już identyfikowanych megatrendach, musimy się zastanowić nad tym, jak będzie wyglądała polska energetyka w kolejnym stuleciu. Poszukiwanie innowacji w energetyce stało się koniecznością" – napisał prezydent. Zwrócił uwagę, że zmiany w gospodarkach oznaczają zwiększenie stopnia ich elektryfikacji, a co za tym idzie – zwiększony popyt na prąd. Choćby zwiększenie udziału aut elektrycznych używanych w kraju oznacza zwiększenie stopnia elektryfikacji gospodarki.

Prezydent nie poprzestał na liście, przyznał jeszcze osobom związanym z energetyką oraz górnictwem, a także branżą paliwową, gazową i chemiczną odznaczenia państwowe. Postanowieniem prezydenta Andrzeja Dudy przyznano cztery złote Krzyże Zasługi oraz kilkanaście srebrnych i brązowych.

Także minister energii uhonorował odznaczeniami resortowymi pracowników branż związanych z energetyką. Łącznie Krzysztof Tchórzewski przyznał kilkadziesiąt honorowych odznak resortowych „Za zasługi dla energetyki", „Za zasługi dla górnictwa RP" i „Zasłużony dla przemysłu naftowego i gazowniczego".

MS

eprasa.pl 9c712df3b7



Szeroko komentowane zaliczenie Polski do 25 najbardziej rozwiniętych rynków świata może być początkiem jeszcze szybszego rozwoju ekonomicznego naszego kraju. Zależy to jednak teraz od inwestorów, którzy poszukują stabilnych, godnych zaufania rynków

Polska w gospodarczej elicie



HENRYK UZDROWSKI
ekonomista

24 września był pierwszym dniem, kiedy Polska została sklasyfikowana przez globalną agencję FTSE Russell w indeksie rynków rozwiniętych (developed markets), wcześniej przez lata byliśmy zaliczani do kategorii tzw. rynków wschodzących (emerging markets). Nasze nowe towarzystwo obejmuje wszystkie najbogatsze kraje świata, takie jak USA, Niemcy czy Francja. Nasz awans przekonuje, że Polska spełnia dokładnie te same warunki, co inne rynki z grupy, do której teraz przynależymy.

Aby znaleźć się w gronie najbogatszych, konieczny był wzrost dochodu PKB liczony per capita, który aktualnie wynosi w Polsce ponad 16 tys. dolarów, podczas gdy w 1989 r. wynosił jedynie 1,8 tys. dolarów. Wyraźnie podkreślił to premier Mateusz Morawiecki w swoim tekście „Poznaj polskiego tygrysa" opublikowanym na łamach amerykańskiego „Wall Street Journal", który powstał właśnie z okazji wejścia w życie zmiany kwalifikacji polskiego rynku przez FTSE Russell. Tytuł nawiązuje do azjatyckich tygrysów, jak nazywano takie państwa jak Korea Południowa czy Singapur, które pod koniec XX w. notowały największy gospodarczy wzrost na świecie i doganiały najbogatsze kraje. Dziś w tej roli występuje Polska.

Warto podkreślić, że awans z emerging markets do developed markets, jaki zanotowała nasza ojczyzna, jest pierwszym takim osiągnięciem na świecie w ostatnich 10 latach. Polska to także pierwszy kraj z Europy Środkowo-Wschodniej, który zaliczono do gospodarczej elity. Kolejni kandydaci do osiągnięcia statusu rynku rozwiniętego to Chiny i Arabia Saudyjska. Trzeba przy tym pamiętać, że indeks Russella nie jest statyczny, a więc brak awansu Polski oznaczałby, że zamiast rozwoju pogrążamy się w stagnacji.

Jak zmiana w klasyfikacji Polski wpłynie na naszą gospodarkę, przekonamy się w ciągu najbliższych miesięcy. Istotne z punktu widzenia inwestorów jest to, że Polska zyskuje markę stabilnego i godnego zaufania rynku, który oferuje przewidywalność i bezpieczeństwo. Osiem największych polskich spółek trafiło do indeksu Stoxx Europe 600, co daje szansę na napływ kapitału na warszawski parkiet. Stoxx, operator indeksu Deutsche Börse Group, zaliczył do niego notowane na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie: PKO BP, Pekao, Orlen, PZU, Santander Bank Polska, CD Projekt, KGHM oraz LPP.

Prezes GPW Marek Dietl spodziewa się, że po zmianie klasyfikacji Polski na warszawskim parkiecie w pierwszej kolejności pojawią się inwestorzy nieposzukujący szybkiej i dużej stopy zwrotu zainwestowanego kapitału, a dopiero później dołączą do nich bardziej aktywni rynkowi gracze.

Awans Polski do developed markets był efektem zmian, jakie zaszły w naszym kraju na przestrzeni ostatniego 30-lecia, w którego trakcie Polska ani razu nie zaznała recesji, nawet w latach globalnego kryzysu, zapoczątkowanego w 2008 r. upadkiem banku Lehman Brothers. Zdecydowany wzrost dochodów Polski wiąże się także z uszczelnieniem systemu podatkowego – m.in. skutecznym łataniem tzw. dziury VAT-owskiej, co według rządowych szacunków w 2017 r. przyniosło budżetowi państwa 40 mld zł.

Zachowanie statusu rynku rozwiniętego będzie wymagało od Polski utrzymania wysokiej dynamiki tempa wzrostu gospodarczego. O ile bowiem wzrost dochodu per capita z 1,8 do 16 tys. dolarów w ciągu ostatnich 29 lat wydaje się imponujący, o tyle wciąż jest on dużo niższy niż chociażby przekraczający 50 tys. dol. dochód per capita Niemiec czy wynoszący ponad 41 tys. dol. średni dochód na mieszkańca w Unii Europejskiej. Dziś jednak Polska goni najbogatsze kraje w stosunkowo szybkim tempie, a zdaniem wielu zagranicznych analityków przed nami są perspektywy dalszego dynamicznego wzrostu.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9c712df3b7

Współpraca spółek skarbu państwa na rzecz wspierania wizerunku Polski jednym z tematów Forum Ekonomicznego w Krynicy

Podczas tegorocznego XVIII Forum Ekonomicznego w Krynicy jeden z paneli dotyczył działań polskich spółek wspierających wizerunek kraju za granicą. Prelegentami byli reprezentanci takich firm jak Grupa LOTOS, PKN Orlen, Pekao S.A. czy PGNiG

Obecnie obchodzone stulecie odzyskania polskiej niepodległości stało się okazją do poruszenia tematyki wizerunku kraju na Forum Polonijnym podczas Forum Ekonomicznego w Krynicy. Obok takich tematów jak „Obrona dobrego imienia Polski i Polaków" czy „Polki – kobiety w biznesie na świecie" to właśnie kształtowanie wizerunku przez duże spółki stało się jednym z ważniejszych zagadnień tegorocznego forum. Prezesi największych spółek związanych ze skarbem państwa dyskutowali zarówno o obecnych działaniach ich firm, jak i planach na przyszłość w przypadku współpracy przy takich projektach jak Niepodległa.

– Promujemy polskość i markę LOTOS poprzez nasze zaangażowanie we wspieranie polskich sportowców, takich jak Robert Kubica, Agnieszka Radwańska, zawodników w sportach motorowych, skoczków narciarskich. W Norwegii staramy się utrzymywać poziom marki, która jest rozpoznawana. Rozmawiamy z innymi polskimi markami, żeby nas wsparły, aby zapewnić lepszą obsługę dla Polonii w Norwegii. Mamy również spółkę w Wielkiej Brytanii, gdzie również staramy się być w dialogu z polską mniejszością – mówił Patryk Demski, wiceprezes zarządu ds. inwestycji i innowacji Grupy LOTOS S.A. – Prowadzimy na różnych poziomach inwestycje, nasz projekt pogłębionej rafinacji EFRA jest jednym z czołowych tego typu projektów nie tylko w Europie, lecz i na świecie, który pozwoli nam pogłębić przerób ropy, co też wiąże się z wysokomarżowymi, specjalistycznymi produktami, które będziemy mogli oferować.



Fot. Materiały prasowe 18/0918/F

Grupa LOTOS od wielu lat realizuje model nowoczesnego sponsoringu sportu, kultury i działań społecznych. Jest m.in. Głównym Sponsorem Reprezentacji Polski w piłce nożnej, Generalnym Sponsorem Polskiego Narciarstwa, w tym kadry narodowej i młodzieżowej w skokach narciarskich, biegach narciarskich oraz kombinacji norweskiej. Takie działania to element zrównoważonego rozwoju, ale i promocji Polski. W maju firma przystąpiła do akcji edukacyjnej o poszanowaniu barw narodowych. Inicjatywa Grupy LOTOS, Narodowego Centrum Kultury, programu Niepodległa oraz TVP i Polskiego Radia realizowana jest w ramach obchodów stulecia odzyskania przez Polskę niepodległości.

Grupa LOTOS to polska grupa kapitałowa, której działalność ma strategiczne znaczenie dla krajowego i europejskiego bezpieczeństwa w sektorze energii oraz polskiej gospodarki. Grupa LOTOS wydobywa gaz ziemny i ropę naftową w Polsce, Norwegii oraz na Litwie. Należy do niego, zlokalizowana w Gdańsku, jedna z najnowocześniejszych europejskich rafinerii, gdzie surowiec przerabiany jest głównie na wysokiej jakości paliwa, w tym paliwa premium – LOTOS Dynamic. LOTOS to także sieć ponad 480 stacji paliw, dogodnie zlokalizowanych przy autostradach i drogach ekspresowych, we wszystkich aglomeracjach i wielu miejscowościach na terenie całego kraju. Grupa LOTOS, jako sprzedawca detaliczny i hurtowy, zaopatruje w paliwa blisko 1/3 polskiego rynku. Dzierży też pozycję drugiego spedytora kolejowego w kraju. Grupa LOTOS to także czołowy producent asfaltów drogowych, olejów silnikowych oraz smarów do samochodów, samolotów, pociągów, statków, a nawet pojazdów techniki wojskowej.

eprasa.pl 9c712df3b7



fot. Shutterstock | 63/0818/F

Bogatym być...

W 2016 r. liczba zamożnych Polaków po raz pierwszy w historii przekroczyła milion. Z każdym kolejnym rokiem jeszcze wzrasta. To najważniejsza grupa konsumentów dla firm oferujących produkty i usługi luksusowe. Ale także dla banków, które przygotowują ofertę dedykowaną swoim bardziej zamożnym klientom

W kolejnych edycjach raportów „Rynek dóbr luksusowych w Polsce" KPMG uważnie przygląda się bogatym Polakom. Na potrzeby badań najlepiej zarabiające osoby podzielono na grupy: ludzie zamożni, których miesięczny dochód przekracza 7,1 tys. zł, osoby bogate z miesięcznym dochodem powyżej 20 tys. zł brutto oraz bardzo bogate – zarabiające co miesiąc powyżej 50 tys. zł. Nie jest brany pod uwagę majątek posiadany przez badane osoby.

POLACY DOBRZE ZARABIAJĄ

Z roku na rok liczba osób zamożnych wzrasta. W 2016 r. w Polsce mieszkało 1 042 tys. osób, które można określić jako zamożne, a ich łączny roczny dochód brutto wyniósł 230,8 mld zł. Kolejne lata pokazują, że te liczby rosną. Jeżeli tendencja się utrzyma, za dwa lata w Polsce może żyć nawet 1,4 mln osób zamożnych o wspólnym dochodzie brutto przekraczającym 300 mld zł. Ich łączny dochód netto (określający potencjał nabywczy) wg szacunków osiągnie zaś blisko 250 mld zł.

W 2016 r. mieszkało w Polsce 164 tys. osób bogatych, w tym 42 tys. osób bardzo bogatych. Ich liczba, a także łączna kwota brutto, są znacznie zróżnicowane w zależności od regionu kraju. Połowa z nich rozlicza swoje PIT-y w województwie mazowieckim.

PORTRET BOGATEGO POLAKA

KPMG przeprowadziła badanie bogatych Polaków (zarabiających powyżej 20 tys. zł brutto miesięcznie), aby poznać ich zdanie na temat przyczyn sukcesu finansowego, stosunku do

eprasa.pl 9c712df3b7

pracy, sposobów spędzania czasu wolnego oraz czynników wpływających na decyzje zakupowe. Z analizy wynika, że są oni zadowoleni ze swojej sytuacji zawodowej i społecznej. Jak twierdzą, sukces zawdzięczają ciężkiej pracy, odpowiednim cechom charakteru (np. inteligencja czy samodyscyplina) oraz wykształceniu. Ważne okazały się zarówno indywidualne zasługi, jak i łut szczęścia. W opinii najbogatszych Polaków bardziej liczą się kompetencje, chęci i cechy charakteru niż kontakty czy pochodzenie. Jak odpowiadają badani, bogatym może być praktycznie każdy, kto spełni odpowiednie warunki. Większość z nich uważa, że każdy ma szansę dobrze zarabiać, jeżeli tylko się postara. Poza staraniami do sukcesu potrzebna jest zdolność ryzykowania. Ciekawe jest to, że choć większość badanych uważa, iż pieniądze są dobrym miernikiem sukcesu, opinie co do tego, czy wysokość zarobków jest adekwatna do włożonego wysiłku, są podzielone. Bogaci Polacy pracują dużo, około 10 godzin dziennie. Praca jest dla nich przede wszystkim źródłem utrzymania, ale także szansą na samorealizację oraz okazją do poznawania nowych ludzi. Większość badanych zalicza się do najwyższej i średniej kadry kierowniczej. Wśród respondentów znaleźli się również prywatni przedsiębiorcy oraz pracownicy umysłowi i przedstawiciele wolnych zawodów.

CO ROBIĆ PO PRACY?

Wysokie dochody pozwalają bogatym Polakom na realizację pasji, zapewniają bezpieczeństwo i niezależność. Ankietowani – jak deklarują – spędzają wolny czas z rodziną. Dla odpoczynku surfują też w internecie i czytają książki. Połowa z nich wcale nie włącza telewizora! Co zaskakujące: nie wydają się przesadnie ekstrawaganccy w wydawaniu pieniędzy – z luksusowych rozrywek i usług najpopularniejsze są wizyty w ekskluzywnych restauracjach, wielogwiazdkowych hotelach i relaks w SPA. Podróżują za granicę, ale nie spędzają tam zbyt wiele czasu. Niektórzy odwiedzają gabinety chirurgów plastycznych lub pracownie projektantów mody. Na co dzień pieniądze przeznaczają na opłacenie profesjonalnych usług pomocy domowej, niani czy trenera personalnego. Ponad połowa posyła dzieci do szkół prywatnych.

ZAKUPY, INWESTYCJE…

Niemal połowa woli robić zakupy za granicą. Tam kupują ubrania, biżuterię, zegarki oraz elektronikę. Przy wybieraniu produktów bogaci Polacy zwracają uwagę przede wszystkim na ich jakość. Patrzą również na cenę i słuchają rekomendacji przyjaciół. Liczy się także marka. Choć, jak przyznają badani, nie zwracają praktycznie wcale uwagi na jej reklamę.
Zdecydowana większość ankietowanych posiada więcej niż jedną nieruchomość. Inwestują głównie w mieszkania na wynajem. Posiadają zazwyczaj 1 lub 2 samochody (rzadko są to egzemplarze zabytkowe). Zakup jachtów czy samolotów należy do rzadkości. Interesujące są dla nich aktywa finansowe, takie jak produkty inwestycyjne oferowane przez banki lub fundusze inwestycyjne, czy akcje. Rzadziej lokują kapitał w dzieła sztuki.

NIE DLA NICH DZIAŁALNOŚĆ SPOŁECZNA

Bogaci Polacy uważają, że pieniędzmi trzeba się dzielić, a ci, którym się w życiu powiodło, powinni być szczodrymi filantropami. Chcą jednak sami decydować, kogo i jak wspierać, a decyzja o dzieleniu się pieniędzmi powinna być dobrowolna. Dlatego też ponad połowa badanych sprzeciwia się wyższemu opodatkowaniu bogatych, co może oznaczać ograniczone zaufanie do efektywności redystrybucyjnej państwa.

Bogaci twierdzą, że angażują się społecznie, tak naprawdę jednak ich działalność publiczna i charytatywna w zdecydowanej większości ogranicza się do wspierania finansowego różnych organizacji. Niewielu działa aktywnie. Nie angażują się zanadto w politykę: żaden z badanych nie jest członkiem jakiejkolwiek partii politycznej.

WEJDŹ DO ŚWIATA PREMIUM

Także w banku zamożny klient kieruje się nie tylko marką i wysoką jakością, lecz także ceną. Tak więc, by zaspokoić najbardziej wyśrubowane wymagania, Bank Pekao S.A. wprowadził 2 lipca nową ofertę dla bardziej zamożnych klientów.

Nowe Konto Świat Premium to najwyższy standard obsługi, który nic nie kosztuje. Jeżeli łączne aktywa w banku i Domu Maklerskim Pekao będą wyższe niż 200 tys. zł, za prowadzenie konta klient nic nie zapłaci. Za darmo otrzyma również złote karty do konta. Prowizja banku za wypłatę gotówki ze wszystkich bankomatów w Polsce i na świecie również będzie zerowa. Do płatności w podróży zagranicznej warto założyć bezpłatne konta walutowe wraz usługą Wymiana Walut z atrakcyjnymi kursami 24 h/7 dni w tygodniu. Opłata za złote karty kredytowe wyzeruje się, jeżeli klient dokona 12 transakcji w roku. Oprocentowanie na karcie do końca stycznia 2019 r. wynosi 0 proc., tzn. klient nie zapłaci żadnych odsetek za zakupy zrealizowane kartami. W pakiecie specjalnym klient otrzyma ofertę ubezpieczeniową Premium – kart płatniczych oraz produkty stand-alone.

Zamożni klienci mogą liczyć na opiekę Doradcy Osobistego Premium. Dedykowano im również Infolinię Bankowości Osobistej Premium. Klient ma do dyspozycji aplikację mobilną PeoPay i bankowość internetową z rozwiązaniami dla Premium. Na klientów w Pekao24 czekają dedykowane oferty rabatowe Świata Premium.

Choć klient zamożny nie ma kłopotów finansowych, z pewnością przychylnie przywita efektywny program pomnażania oszczędności. W Banku Pekao S.A. otrzyma wyższe oprocentowanie na lokatach. Nowy klient może liczyć nawet na 3 proc. do 100 tys. zł na 6 miesięcy na nowym Koncie Oszczędnościowym Premium. Posiadacz tego ROR-u nie zapłaci za rachunek maklerski w Domu Maklerskim Pekao, a także może liczyć na dedykowaną ofertę produktów inwestycyjnych (np. FIZ Akord, Ubezpieczeniowy Fundusz Kapitałowy – Świat Inwestycji Premium, Strukturyzowany Certyfikat Depozytowy) oraz preferencyjne warunki zakupu (niższe prowizje i opłaty), a także profesjonalne doradztwo inwestycyjne.

eprasa.pl 9c712df3b7



Seryjni zwycięzcy

Polscy siatkarze dokonali rzeczy niebywałej. Obronili we Włoszech zdobyty cztery lata temu tytuł mistrza świata, w finale ponownie nie dając żadnych szans Brazylii. Dzięki temu pretendują do miana polskiej drużyny wszech czasów. Triumf tym bardziej spektakularny, bo brawurowy występ ekipy belgijskiego trenera Vitala Heynena nastąpił w momencie, kiedy wydawało się, że jedna z naszych narodowych dyscyplin sportowych zaczyna wpadać w kryzys

O kulisach siatkarskiego mundialu Cezary Kowalski (Polsat Sport) rozmawia z Wojciechem i Fabianem Drzyzgami

Komentator–zawodnik, ojciec–syn. Sytuacja niespecjalnie komfortowa. Ale scena, w której Fabian po wywalczonym mistrzostwie świata przedziera się przez barierki i wbiega na stanowisko, aby wyściskać się z ojcem na żywo relacjonującym nasz wielki triumf, była niezwykle wzruszająca. Aż spadły ci słuchawki...

Wojciech Drzyzga (były siatkarz reprezentacji Polski, uczestnik igrzysk olimpijskich w Moskwie, komentator Polsatu Sport): Siedzę w siatce ponad 40 lat, on do siatkówki szedł jako 12-latek, więc gdzieś tam byliśmy skazani na sytuacje, w których nasze drogi zawodowe będą się przecinać. Nikt jednak nie mógł przewidzieć, że dwa razy skomentuję mecze, w których mój syn będzie zdobywał mistrzostwo świata dla Polski. Tutaj chyba żadnych zgrzytów nie było, wszyscy trzymaliśmy kciuki za jedną drużynę. Zgrzyty zdarzały się, gdy komentowałem ligowe mecze z udziałem Fabiana, gdzie sympatie kibiców były rozłożone. Zdarzała się krytyka i kpiny, ale nam to specjalnie nie przeszkadza, gdy dobiega z tej najgorszej części internetowego szamba. Bardziej doskwierają przykrości z otoczenia siatkarskiego. Hejt ludzi związanych z siatkówką. Ile razy słyszałem, że Fabian dostaje powołania do kadry, bo ojciec. Bo ma wejścia, bo zarządzał, bo komentował, bo to, bo tamto. Fabiana ujeżdżano, kończono mu karierę. Gdzieś tam przeze mnie czasem obrywał.

Czyli gdyby nie był synem sławnego ojca, byłoby mu łatwiej?

Neutralnemu komentatorowi byłoby go łatwiej ocenić i dobrze, i źle. Mnie przychodzi z trudem oceniać go dobrze, łatwiej negatywnie. Członkowie mojej rodziny I część bliskich znajomych odbierają to tak, że ja Fabiana w ogóle nie chwalę. „Co ty własnego syna nie jesteś w stanie pochwalić, tylko bez przerwy go krytykujesz" – słyszę często.

Pamiętasz pierwszy trening Fabiana?

eprasa.pl 9c712df3b7



Fot. Sylwia Dąbrowa/Polska Press

Wyłowić ten pierwszy byłoby niemożliwością. On latał za Tomkiem, starszym synem, od samego początku. Jak byłem trenerem w Radomiu, to on chodził do szkoły o profilu sportowym i tam był trener, który zajmował się grupą Czarnych Radom. To był taki mocniej zorganizowany SKS. Nie treningi jeszcze, ale poważne ćwiczenia. Nie ja go jednak prowadzałem, to było w ramach szkoły. Potem pojechałem do Olsztyna. Tam zaczął w AZS Olsztyn. Dostał pierwszą kartę zawodniczą.

Od razu było widać, że będzie z niego obiecujący siatkarz?

Wcześniej niż w moim przypadku. Ja późno rosłem i późno zacząłem grać, dopiero jak miałem 17 lat. To był prawdziwy cud. Po nim było widać, że się będzie nadawał. Tomek miał epizod tenisowy, koszykarski, a dopiero potem trafił do siatkówki. Młodszy poszedł od razu do siatki. Fabian rywalizował z Tomkiem, było widać, że to jest jego pasja. Dużo grania, dużo zabawy. A on ma taki charakter, że jego trzeba treningiem bawić.

To było modelowe prowadzenie zawodnika od juniora do dwóch tytułów mistrza świata?

Miałem wiedzę, która pozwalała mi nie popełnić błędu, kiedy Fabian był dzieciakiem. Nie byłem szalonym rodzicem, który mógłby zabić w nim dzieciństwo. I w Radomiu, i w Olsztynie, gdzie stawiał pierwsze kroki, pracowali ludzie z pojęciem. Potem w MOS Wola Warszawa i Spale. Czyli trafiał tam, gdzie trzeba. Ukształtowany, z pasją do sportu od dziecka, coś tam w genach pewnie sportowego też miał. A później przeszedł wszystkie szczeble. Od młodzika, kadeta, juniora, juniora starszego do seniora. Nie ominął niczego, niczego nie przeskoczył. Może to nie jest wzór idealny, ale na pewno przeszedł wiele, aby się znaleźć na szczycie. Droga naprawdę była długa. Może się zdarzyć 18-latek, który od razu jest wybitny, ale to jest wyjątkowa rzadkość.

Nie miałeś nigdy poczucia, że trochę chłopakowi zabierasz dzieciństwo?

Musiałem go wyganiać ze swoich treningów. Jak mu żona zakazała treningu, bo dostał pałę z matmy, to dla niego była największa kara. Gdybym mu spuścił powietrze z piłki, to on by oszalał. Jak obaj szli do szkoły mistrzostwa sportowego w Spale i wyjeżdżali z domu w wieku 15 lat, to mieli uśmiechy na ustach i byli najszczęśliwsi na świecie. Tylko matka płakała.

Można porównywać złote medale? Ten obecny i ten sprzed czterech lat?

To tak jakby zapytać, czy kochasz bardziej mamusię czy tatusia. Oba medale są wspaniałe. Tamten był dla Fabiana wyjątkowy, bo pierwszy i do tego w Polsce, przy wspaniałej publiczności. Zdobyty po tym, jak nasza siatkówka znalazła się w dołku. Kiedy nikt nie myślał o złocie. Tutaj natomiast chłopaki jechali z wielką obawą. Drużyna była pokiereszowana. Po słabym 2017 r. Po częstych zmianach trenerów. Wiedzieliśmy, że Kurek potrafi grać, tylko że od trzech lat tego nie pokazywał. Ciężko to się zaczynało. Ale od meczu z Serbią, jak odpalili, to nie było z rywali co zbierać. Nikt nie mógł uwierzyć, że aż tak dobrze idzie. Narodziliśmy się na nowo.

Po przegranym meczu z Argentyną, wydawało się, że już się nie podniesiemy...

To był podły mecz pod względem sportowym. Zawaliliśmy. Mimo że graliśmy

eprasa.pl 9c712df3b7

źle, powinniśmy ten mecz wygrać, co zmieniało dużo, bo dawało nam spokój. Kontuzja Michała Kubiaka wybiła nas z rytmu. Później zapaść z Francją. Trzeba pamiętać, że na przyjęciu mieliśmy dwóch młodych leszczy Aleksandra Śliwkę i Artura Szalpuka.

Śliwkę skrytykowałeś bardzo mocno, twierdząc, że na jego pozycji mamy koszulkę, a nie zawodnika...

Nie wiem, po co mi to było. Wjechałem na niego za mocno. Przesadziłem. Nie za bardzo miałem jak to odszczekać. Utwardziło to jednak Śliwkę i bardzo dobrze [śmiech].

Co się stało, że nagle z drużyny mocno rozmemłanej nastąpiła przemiana w prawdziwy zespół z charakterem, który wie, czego chce, jest zdeterminowany i sportowo poza zasięgiem reszty stawki?

Wielu ekspertów najwyższej klasy mogłoby spróbować odpowiedzieć na to pytanie i g... by wiedzieli. Widziałem jednego dnia kompetentnie rozbitych, a drugiego fantastycznie pozbieranych. Coś jest takiego w tych grach zespołowych, co wymyka się logice. Wyszli na tych Serbów jak na walkę o życie i wszystko im wychodziło. Wrócił Kubiak. Vital Heynen wiedział, że musi postawić na tych doświadczonych. Żadna grupa młodych by tego nie uciągnęła. Belg wiedział, co robi. Fabian powtarzał: zaufanie i szczerość trenera odegrały tu kapitalną rolę. Kurek był kilerem, Kubiak sercem drużyny, a mózgiem Fabian. Ale, że aż do tego poziomu ludzie się otworzyli, a drużyna się tak wzniosła, to jest ciekawe pytanie dla fizjologów czy psychologów.

Heynen?

Wielki szacunek dla niego. Patron. On tym wszystkim stymulował. Umiał podpalać, ale też wyciszać, im dalej szliśmy w las. Przez to, że dużo gada, dużo wie, ma dobry kontakt. Nie ucie-ka, nie chowa się do pokoju. Po meczu z Kubą coś tam na Fabiana warknął, a przy kolacji go zawołał i powiedział: „ostatni raz ci się wpier... w grę". Radził, pomagał, ale nie próbował brutalnie sterować. I to skutkowało. Widzieliście ich mowę ciała w meczu finałowym z Brazylią? Przecież oni grali tak, jakby to był jakiś sparing. Na luzie, z polotem, bez zbędnych nerwów i niepotrzebnych zachowań. Nawet się trochę inaczej cieszyli jak cztery lata temu. Oni się czuli tak pewnie, że nie było szaleńczego wybuchu radości. Wzięli po prostu to, co im się należało.

Kluczem do sukcesu był mecz z USA...

Mentalność zwycięzców zawsze podobno jest po stronie Amerykanów. Manifestowali swoją wiarę w zwycięstwo, ale puściły im nerwy. Dorównaliśmy im sportowo, a mentalnie ich złamaliśmy.

Formalnie kadra nie korzysta z psychologa.

Heynen wystarczy. Zabiera ich na słynne spacerki i bez przerwy gada.

A miał zostać wyrzucony...

Poszła fama, że ich za mało trenuje. On nauczył jednak zawodników mądrze zarządzać swoim ciałem i wolnym czasem. Namawiał ich na przerwę, nie chciał brać wszystkich na trening, to mu 14 wlazło do autokaru. Musiał ich wyrzucać. Mówił im, że sen jest najlepszy dla zdrowia, idźcie spać. Teoretycznie to wyglądało tak, jakby lekarz dał ci witaminę C i zapewnił, że jutro będziesz zdrowy. Ale była w tym mądrość.

W finale zachowywał się tak, jakby nie miał układu nerwowego...

Gdyby był niższy i nie miał siwych włosów, to można by pomyśleć, że jest tym chłopcem od ścierania podłogi. Oparł się o słupek i czekał na ten złoty medal. Chyba był nawet zdziwiony, że oni tak grają.

Po zwycięstwie powiedział, że nie wie, dlaczego jego zespół zagrał aż tak dobrze. Żadnej filozofii nie dorabiał, co też było ujmujące.

Każdy inny trener powiedziałby, że nie zdradzi recepty, bo to kosztuje wielkie pieniądze. Vital jest trochę wariat, ale znakomity gość. Ja na niego mówię Picasso [śmiech].

Rozmowa z Fabianem Drzyzgą, dwukrotnym mistrzem świata w siatkówce

Nazwisko Drzyzga pomagało ci w starcie do kariery? Twój ojciec twierdzi, że czasem wręcz przeszkadzało...

Fabian Drzyzga: Myślę, że tata zwraca uwagę na relacje wszystkich sportowców ze swoimi rodzicami, którzy są trenerami. Czasem to pomaga, czasem nie. Wiele zależy od tego, jak szybko zostanie odcięta sportowa pępowina. Mój ojciec nigdy nie był moim największym doradcą sportowym. Oczywiście rady mi dawał i jest dla mnie autorytetem. Ale już po pierwszym mistrzostwie świata zauważył, że sam umiem podejmować decyzje, kontrolować to, co robię w swoim życiu sportowym. Nigdy nie był dla mnie ojcem trenerem. I bardzo dobrze, choć to trudna sprawa dla takiego rodzica, bo przecież zawsze chce dobrze. Z tym że czasem zbyt wiele rozmów tego typu, obarczonych takimi emocjami, chciejstwem może przeszkodzić. Czym rodzic dalej od kariery dziecka, tym lepiej.

Słynne Towarzystwo Oszalałych Rodziców?

Dokładnie. Mój ojciec nawet jak poszedł na jakiś mecz, kiedy byłem młodzieżowcom, to nigdy nie rzucał się w oczy. Zawsze stał z boku, jakieś tam uwagi przekazywał później w domu, ale bardzo delikatnie. A z czasem robił tego coraz mniej.

Na ile jesteś podobnym zawodnikiem do ojca?

Nie wiem, bo nigdy go nie widziałem w meczu reprezentacji czy Legii. Niestety, nie ma takich nagrań. W związku tego nie mają, żadna telewizja tego nie udostępniła. Chciałbym zobaczyć, jak ojciec rozgrywał choćby jednego seta. Mam nadzieję, że może ktoś mi kiedyś zrobi prezent i coś takiego udostępni.

Obronić mistrzostwo świata jest trudniej, niż zdobyć je po raz pierwszy?

Obronić dużo trudniej. Nam się udało. Znakomicie to smakuje. Tylko naj-

eprasa.pl 9c712df3b7



Fot. Dariusz Stepien/East News

Fabian i Wojciech Drzyzgowie podczas mistrzostw świata w 2014 r.

większi sportowcy mają w gablotach po kilka najważniejszych trofeów. Właśnie w tej powtarzalności można szukać motywacji. W moim przypadku miała też na to wpływ rodzina. Narodziny mojej córeczki w tym roku. Żona, która musi znosić wyrzeczenia i ciągłą nieobecność męża w domu. Ale także, tak gdzieś w pięciu procentach, motywowała mnie chęć zamknięcia ust wszystkim kochanym dziennikarzom. Tym, którzy zalecali nam kończenie sportowych karier. Więcej niech tego nie robią, bo nie mają pojęcia, o czym mówią.

Komu kończyli kariery?

Mnie, Kubiakowi, Kurkowi. A chyba bez tych trzech gości, nie owijając w bawełnę, nie byłoby tego mistrzostwa.

Czyli trochę pomogli dziennikarze...

Oceniać można, krytykować jak najbardziej, ale kończyć karierę? To nie są ludzie od tego.

W trakcie turnieju po porażce z Argentyną wydawało się, że to wasz koniec...

To był ten gorszy mecz turnieju, który przydarzył się każdej drużynie. Ten mecz podłamał nas psychicznie, mentalnie. A co się wydarzyło, że się podnieśliśmy? Zdradzę, że coś się wydarzyło. Ale to zostanie słodką tajemnicą 14 facetów, 14 chłopa, którzy grają w siatkówkę. Trenerów to nawet nie dotyczy, i to nie było pstryknięcie palcem. Efekt tego zdarzenia to koncentracja na mecz z Serbią, jakiej jeszcze nigdy nie widziałem. Pokazaliśmy, że mamy jaja. Odmieniliśmy ten turniej.

Wyglądaliście od meczu z Serbią na graczy, którzy idą po złoto jak po swoje. Byliście przekonani już wtedy, że obronicie tytuł?

To jest grupa mocnych ludzi, mocnych charakterów. Nie jesteśmy w gorącej wodzie kąpani, nie gubimy się po jednym czy drugim błędzie. Wspieramy się, mamy sposoby na radzenie sobie z problemami. Cechuje nas bardzo duży spokój. Nie przejmujemy się rywalami. Nie koncentrowaliśmy się tylko na wygraniu seta, ale patrzyliśmy na mecz globalnie.

Finał z Brazylią był łatwy?

Nigdy nie grałem łatwiejszego meczu na tym pułapie. Poważnie.

Mówisz o trenerze, że jest szczery. To kamyczek do ogródka poprzednika? Jak może być trener nieszczery?

No może. Takie miałem w swojej reprezentacyjnej karierze przypadki. W reprezentacji. Heynena podziwiam. Nie tylko za warsztat trenerski, lecz przede wszystkim za to, że jest fajnym facetem, który potrafi podejść do ludzi. Przed starciami ze słabymi wrzeszczał na nas, motywował. A z najmocniejszymi emanował spokojem. W sumie to się nie dziwię, bo widział, co wyprawiamy, mógł spokojnie podziwiać [śmiech].

Nie słychać w waszych głosach euforii. Mistrzowskie tytuły spowszedniały?

Nie, to wielka sprawa, ale nie ma czasu na konsumowanie tego sukcesu. Nawet nie mieliśmy okazji, aby wspólnie poświętować po turnieju, nie było fety zorganizowanej przez związek ani superpodróży do Polski. Gdzieś ten czas do świętowania na gorąco nam uciekł. Teraz pakuję się, bo podpisałem kontrakt w Nowosybirsku.

Jesteś rozczarowany po ceremonii wręczenia medali w Turynie?

Jasne. Jak można po takiej imprezie nie usłyszeć „Mazurka Dąbrowskiego"?! Nie oszukujmy się. To był skandal.

eprasa.pl 9c712df3b7

TESSA CAPPONI-BORAWSKA **AUTORKA KSIĄŻEK KULINARNYCH**

W kuchni o kulturze



Zaczęło się od wypowiedzi Michela Houellebecqa: „Jedzenie przez lata było bardzo niedoceniane, a obecnie staje się nieco przeceniane". Agnieszka Drotkiewicz podzieliła się nią z Tessą Capponi-Borawską i powstał pomysł na serię rozmów o powiązaniach kuchni i kultury. Ukazały się one właśnie w książce „Smak kwiatów pomarańczy" (Wyd. Czarne).

Capponi-Borawska, która w latach 80. przyjechała do Polski pustych półek zaopatrzona jedynie w butelkę oliwy, stała się „jedną z twarzy kulinarnej przemiany", jak pisze Drotkiewicz.

W okresie permanentnych braków została mistrzynią zamienników. Uczyła się w Polsce rozwijania kryzysowej wyobraźni. W pierwszym wydaniu „Mojej kuchni pachnącej bazylią" (1994) proponowała m.in. pesto z pietruszki i słonecznika zamiast bazylii i orzechów pinii (przepis wciąż się sprawdza). Pisała też często: „parmezan lub inny twardy żółty ser". Wspomina szok pierwszego kontaktu z nadwiślańską kawą po turecku, czyli najwyczajniejszą plujką, ale też rozpływa się nad czekoladowym tortem weselnym, jaki zrobiła jej szwagierka Joanna z... ziemniaków. – Zastępowały mąkę (więc było to ciasto bezglutenowe!). A działo się to w maju 1985 r. – podkreśla.

W tym samym czasie we Włoszech trwał „okres niemal nowego cudu gospodarczego", który kojarzy się Capponi-Borawskiej z tortellini szefa kuchni – podawanym z gęstą słodką śmietanką, prosciutto crudo, zielonym groszkiem. Komentuje: – Puryści dostają dreszczy – i słusznie – bo tortellini powinno się podawać w rosole, ewentualnie w mięsnym sosie ragù, ale na pewno nie w śmietance! (Muszę jednak dodać, że według mnie kombinacja smakowa śmietanki, szynki i groszku połączona z innym makaronem jest bardzo dobra...").

Jedzenie, kuchnia stają się punktem wyjścia, a czasem soczewką, dzięki której można się skupić na jakimś szczególe, a potem wędrować w rozmowie w przeróżne rejony: dyskutować o zainspirowanych kulinariami dziełach malarskich, muzycznych czy literackich; rozważać wzajemny wpływ jedzenia i np. architektury wnętrz; omawiać widziane z perspektywy kuchni zmiany społecznych ról i obyczajów, a także kolejne mody i trendy (wśród nich na niemarnowanie produktów spożywczych). Nowe formy komunikowania, w tym kulinarne blogi, też otwierają ciekawe perspektywy.

Capponi-Borawska przygląda się również roli kobiety w kuchni, ale i ocenia wpływ kulinariów na... zjednoczenie Włoch. Pojawiają się intrygujące rozważania na temat... kuchennych zapachów; opowieści o renesansowych bankietach i barokowych smakach sąsiadują ze sztuką robienia czegoś pysznego z „niczego". Jest też, jakże by inaczej, fragment – równie jak inne w tym zbiorze smakowity – nawiązujący do kwiatów pomarańczy.

W wypełnionej szerokim wachlarzem kulinarno-kulturalnych odwołań książce nie ma przepisów, dlatego sięgnęliśmy po danie zaproponowane przez Tessę Capponi-Borawską na stronie Ugotuj to.

Notowała
Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Antonina Samecka, Shutterstock



Bakłażany i cukinie alla parmigiana

Składniki: 3 duże bakłażany (30-40 dag każdy), 3 średnie cukinie, 10 dag startego parmezanu, olej do smażenia, 25 dag mozzarelli.

Sos pomidorowy: 1 kg dojrzałych pomidorów, 1 marchewka, 2 łodygi selera naciowego, 1 średnia cebula, 2 ząbki czosnku, garść liści bazylii, 1/2 pęczka natki pietruszki, 3 łyżki oliwy, sól, pieprz.

Wykonanie: Bakłażany obieramy, kroimy w plastry grubości ½ cm, posypujemy solą, obciążamy np. dużą miską i odstawiamy na 30 min, żeby puściły sok. Cukinie również kroimy w plastry grubości ½ cm. Przygotowujemy sos: pomidory i resztę warzyw kroimy na grube kawałki, wkładamy do garnka z ziołami w całości i oliwą. Gotujemy na średnim ogniu przez 30 min, miksujemy i doprawiamy do smaku. Bakłażany płuczemy i osuszamy. Połowę grillujemy, a drugą smażymy na oleju. Podobnie postępujemy z plastrami cukinii. Na dno żaroodpornego naczynia wlewamy trochę sosu pomidorowego, układamy na nim warstwę bakłażanów, znów skrapiamy sosem, oprószamy parmezanem i układamy cienkie plasterki mozzarelli. Następnie kładziemy warstwę cukinii i tak dalej, aż wykorzystamy wszystkie składniki. Kończymy warstwą sosu, mozzarellą i parmezanem. Wkładamy naczynie do piekarnika rozgrzanego do 180°C na 30 min. Danie podajemy na ciepło.

eprasa.pl 9c712df3b7

SŁODKO-SŁONY

Dyniowe arcydzieła

ANNA MONICKA

Moja miłość do dyń zaczęła się dawno temu na wycieczce do Słowenii. Biesiadowaliśmy w małej knajpce tuż przy granicy z Austrią. Do zwykłej sałaty posypanej wiórkami marchewki podano sos. Był zakapslowany jak landrynkowa oranżada, pachniał i smakował orzechami i miał złocistobrązowy kolor. Przywiozłam sobie kilka butelek do domu. Szybko odkryłam, że równie dobrze smakuje warzywo, z którego pestek tłoczy się ten pyszny sos (bo tak naprawdę to nie półprodukt, nie trzeba go już niczym przyprawiać).

Zwykle o tej poprze, gdy w gospodarstwach rolnych i w ogrodach botanicznych odbywają się dyniowe dożynki, robię zapasy tych warzyw. Nie kupuję jednak pękatych olbrzymek, ale dynie na raz, czyli piżmowe i makaronowe. Są najzdrowsze, najdelikatniejsze i najłatwiej stworzyć z nich małe arcydzieło. Najlepiej z obu naraz.

Wkładamy obie do piekarnika – piżmową przekrojoną wzdłuż, ułożoną miąższem do blachy, a makaronową w całości. Po upływie pół godziny wyjmujemy i studzimy. Z pomarańczowej ostrożnie usuwamy gniazdko nasienne. Zieloną przekrawamy na pół, wyjmujemy pestki, a miąższ ostrożnie skrobiemy widelcem i przekładamy do miseczki. Wygląda jak ugotowany al dente krótki makaron – stąd nazwa dyni. Jest słodkawy i bardzo sycący. Doprawiamy go – koniecznie czosnkiem i odrobiną oliwy z solą i pieprzem, oprószamy curry lub masalą. Można dodać do niego kaparki, można mielone orzechy lub migdały (z umiarem) i koniecznie starty parmezan lub inny pachnący, wyrazisty, dojrzewający twardy ser. Mieszamy dokładnie i nakładamy do wydrążonych połówek dyni piżmowej, które wcześniej nasmarowaliśmy zmielonym czosnkiem. Wkładamy do piekarnika na 20 min i podajemy. Można skropić olejem dyniowym, można dodać sos z cytryny i czosnku albo z jogurtu. To bardzo tanie, lekkie i sycące danie, które wygląda bardzo efektownie. Porcja obiadowa to taka połówka, ale można kroić warzywa na półplastry i podawać do pieczonego indyka czy kurczaka.

Oczywiście takim dyniowym farszem można napchać inne warzywa, na przykład lekko podgotowane na parze kalarepki albo papryki, a nawet pomidory. Układamy je ściśle w brytfance i zapiekamy, a potem podajemy z domowymi frytkami lub pieczonymi małymi ziemniaczkami polanymi olejem dyniowym. Doskonała jesienna uczta.



WILCZYM OKIEM



50 twarzy kapusty

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jak napisał Pliniusz Starszy w tomie I „Naturalis Historia": „Starożytność niczego więcej nie podziwiała nad ogrody Hesperyd [...] ogrody wiszące, wynalezione przez Semiramidę albo też królową asyryjską Nikotris". I chociaż starożytny autor nie wspomina przy tej okazji o kapuście (która była w Rzymie dobrze znana), niewątpliwie należy uznać kapustę za jeden z cudów świata roślinnego i nawet w mitycznym ogrodzie rodzącym złote jabłka nie znalazłoby się nic, co mogłoby kapustę przewyższyć.

Kapusta, czyli co? To pytanie zadają sobie botanicy próbujący uporządkować czy też rozeznać powikłane koligacje rodzaju *Brassica* – kapusta. Niezależnie od systematycznych zawiłości trudno o bardziej wszechstronną roślinę: dzięki wykorzystaniu dzikich kapustowatych, a także hodowli, selekcji i krzyżowaniu, których początki giną w pomrokach dziejów i labiryntach grządek, ludzkość dysponuje spożywczymi roślinami, które mają ważną, często bardzo nieoczywistą, ale jednak wspólną cechę – są kapustą.

Kapustą jest więc kapusta głowiasta (to dość oczywiste), ale też brukselka, odporny na mróz jarmuż, zdrowa na wątrobę rzepa, piekąca rzodkiew, kalarepa, brukiew vel karpiel zajmująca europejskie stoły do czasu przybycia z Nowego Świata ziemniaków, gorczyca (!), czyli kapusta czarna, kapusta sarepska służąca do wyrobu musztardy, kalafior, brokuł, a także olejodajny rzepak. Jak blisko sięga pokrewieństwo tych zewnętrznie bardzo różniących się roślin? Bardzo blisko – wystarczy wspomnieć, że kalafior, brokuł, ale też kalarepa, brukselka, jarmuż czy kapusta głowiasta z punktu widzenia botaniki to w zasadzie ta sama roślina: wszystkie z nich to odmiany kapusty warzywnej *Brassica oleracea*!

Wielkiej plastyczności rodzaju *Brassica* dowodzi też możliwość wykorzystania wszystkich wegetatywnych i generatywnych organów roślinnych: główka kapusty to liście, z rzodkiewki i rzepy spożywamy bulwy, brokuł razem z kalafiorem to jadalne kwiaty, natomiast w przypadku rzepaku cenne są zarówno oleiste nasiona, jak i żółte, nektarodajne kwiaty, dostarczające pożytku pszczołom.

Kapusta jest jak mityczny Proteusz, mimo wielości przyjmowanych form pozostająca w swojej istocie tym samym.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 9c712df3b7

Przerażająca epoka?

PIOTR SKWIECIŃSKI

Czy zachodni świat jest na drodze do wojny domowej, której podstawowym wymiarem będzie kobieca rewolucja? Wielu lewackich intelektualistów już od dawna twierdziło, że „dziś dekonstrukcji systemu można dokonać jedynie, przyjmując perspektywę radykalnie feministyczną". A teraz podobnej intuicji dał wyraz, choć niejako z drugiej strony, Donald Trump. „To jest naprawdę przerażająca epoka dla młodych mężczyzn w Ameryce: możesz zostać uznany winnym za coś, za co nie ponosisz winy" – powiedział.

Prezydent zbulwersował się próbą bezpardonowego torpedowania Bretta Kavanaugha, jego kandydata do Sądu Najwyższego. Tego konserwatywnego sędziego demokraci zaatakowali, wyciągając nagle na światło dzienne panią twierdzącą, że wiele dekad temu, gdy oboje byli uczniami szkoły średniej, obecny kandydat, mający wtedy 17 lat, w czasie pijackiej imprezy dobierał się do niej za ostro i nawet brutalnie (rzekomo rzucił ją na łóżko i próbował rozbierać). Kavanaugh miał czynić to razem z kolegą, posiadali więc gigantyczną przewagę, a jednak do gwałtu nie doszło, dziewczyna opuściła pokój, a potem dom, w którym odbywało się przyjęcie, co pośrednio stawia znak zapytania nad interpretacją sytuacji, dokonywaną obecnie przez ową panią. Oczywiście, o ile wszystko to w ogóle się zdarzyło, bo Kavanaugh zaprzecza.



Być może afera Bretta Kavanaugha stanie się symbolem końca aberracji typu #MeToo

Akcja demokratów wytworzyła jednak atmosferę, w której przypominają się słowa Steve'a Bannona, krótkotrwałego szefa doradców Trumpa, który na początku roku, w apogeum histerii pt. #MeToo, powiedział, że „ruch przeciw patriarchatowi zamierza wymazać dziesięć tysięcy lat pisanej historii. Wybiła godzina, kobiety zamierzają przejąć władzę".

W czasach piku pandemii #MeToo można było rzeczywiście tak myśleć, ale sprawa Kavanaugha nie rozwija się, jak dotąd, według schematu, którego bał się Bannon, a o którym marzą radykalne feministki. Bo w Ameryce pojawiają się głosy kobiet kwestionujących model myślenia, zgodnie z którym sędzia powinien zostać spalony na stosie.

I to kwestionujące ów model niewyłącznie na zasadzie wiary w to, że Kavanaugh naprawdę nie zrobił tego, czego dziś się wypiera, tylko bardziej fundamentalnie. Oto znana (i, dodajmy, zasadniczo wcale nie prawicowa) dziennikarka Bari Weiss potrafi powiedzieć: „Załóżmy, że on zrobił dokładnie to, co ona twierdzi, że zrobił. Czy fakt, że 17-letni, zapewne bardzo pijany dzieciak tak się zachował, powinien dziś być dla niego dyskwalifikujący?". Innymi słowy, „który chłopak ze szkoły średniej tak nie postępuje...?", jak wyraziła się inna pani (inaczej niż Weiss związana z Partią Republikańską).

Również w przeszłości zdarzało się, że poszczególne, zwłaszcza popierające Trumpa Amerykanki wypowiadały się dla mediów w sposób, który wywoływał szok wśród antytrumpowych intelektualistów. Gdy clintonistom wydawało się, że słowa o „łapaniu dziewczyn za ci...i" kończą karierę ówczesnego kandydata, czyli obecnego prezydenta, niejaka Jane Biddick postawiła ich świat na głowie, mówiąc po prostu, że „to byłoby świetnie, ja lubię być obmacywana!".

Ale wtedy było to jednak coś innego. Biddick to osoba, by tak rzec, prosta. Panie z różnych redakcji czy salonów, nawet jeśli nie były zagorzałymi przeciwniczkami Trumpa, raczej wówczas milczały. Chyba z zażenowania. Dziś zaczęły mówić.

Skąd ta zmiana? Chyba stąd, że sprawa Kavanaugha i wcześniejsza burza #MeToo pokazały wielu normalnym ludziom obojga płci, wcześniej nieskłonnym do przyjmowania jakiejś zdecydowanej postawy w kwestii „molestowania" i generalnie postulatów radykalnych feministek, że te ostatnie po prostu przeginają. Że rzeczywiście społeczeństwo zostało doprowadzone do progu, za którym zaczyna się jakiś dziwaczny obszar, w którym normalne ludzkie zachowania zostaną zdelegalizowane, a wszyscy będą zagrożeni – z kierunków, których dziś nawet nie są w stanie sobie wyobrazić.

Normalne kobiety również nie chciałyby żyć w takiej przestrzeni.

A sam Kavanaugh? Odczuwam w związku z nim pewien dyskomfort. Bo jeśli jednak zrobił to, o co go oskarżają (a co, jeśli jest prawdą, moim zdaniem absolutnie go nie dyskwalifikuje), to dziś, zaprzeczając, kłamie pod przysięgą. Można powiedzieć: takie czasy, obecnie, w dobie absurdalnego atakowania mężczyzn za rzeczy naturalne, trudno takie kłamstwo uznać za dyskwalifikujące. W końcu Bill Clinton też zeznawał, że „nie uprawiałem seksu z tą kobietą, panią Lewinsky". I też kłamał, ale liberalna opinia uznała, że w sytuacji absurdalnego ataku można nad tym przejść do porządku dziennego. Może i tak, pomimo tego coś mi tu zgrzyta.

Ale jeśli nazwisko sędziego stanie się symbolem momentu przełomu, chwili odwracającej dotychczasowe trendy związane z „molestowaniem", #MeToo i tym podobnymi aberracjami, wybaczę mu wszystko.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 9c712df3b7

Odnowiona rafineria bije rekordy

Rafineria Grupy LOTOS w Gdańsku, odnowiona po kilkudniowych postojach remontowych części instalacji, zrealizowanych na przełomie czerwca i lipca, zanotowała w sierpniu br. rekordowe wyniki. Wzrosła efektywność pracy instalacji i całej rafinerii



Fot. materiały prasowe

Osiągnęliśmy maksymalny przerób ropy naftowej oraz rekordowy przerób na obu hydrokrakingach, który ma szczególne znaczenie ekonomiczne – komentuje Piotr Klucznik, kierownik Działu Rozliczania i Analiz Produkcji w Grupie LOTOS. – Stało się tak dzięki zwiększonej produkcji wodoru oraz dzięki uruchomieniu nowej instalacji destylacji próżniowej hydrowaksu – HVDU, która bardzo pozytywnie wpływa na osiągi hydrokrakingu MHC.

W sierpniu rafineria przerobiła rekordowe 954,5 tys. ton ropy, co odpowiada 11,24 mln ton rocznie, przy nominalnych zdolnościach przerobowych 10,5 mln ton.

– Rekordowy okres pracy rafinerii był realizowany w warunkach wysokich marż przerobowych, można więc oczekiwać bardzo dobrych wyników ekonomicznych – podkreśla Piotr Klucznik.

DLACZEGO POSTOJE?

Główne przyczyny ostatnich postojów remontowych to konieczność przełączenia reaktorów odmetalizowania na instalacji hydrokrakingu MHC oraz oczyszczenia wymienników ciepła w instalacji destylacji próżniowej 900. Ze względu na zmniejszone zapotrzebowanie na wodór można było zatrzymać też największą wytwórnię wodoru HGU – 270, a także kilka innych instalacji i poprawić ich funkcjonowanie dzięki różnego rodzaju remontom.

Podczas tych remontów pozostałe instalacje rafinerii pracowały normalnie. Postoje nie miały wpływu na ekspedycję i sprzedaż produktów, bo ograniczenie produkcji zrekompensowano przez zgromadzone zapasy oraz zakupy. A dzięki poprawie efektywności remontowanych instalacji szybko odrabiane są spowodowane postojem straty w wielkości produkcji,

– Przełączanie reaktorów to konieczność, bo praca reaktora hydrokrakingu MHC, którego katalizator jest zużyty (zapełniony metalami), powoduje, że metale te „trują" katalizator w pozostałych reaktorach, co skraca ich żywotność – wyjaśnia Mateusz Dauksza, kierownik Zakładu Hydrokrakingu (PZH).

TURBODOŁADOWANIE WODOREM I WSADEM Z HVDU

Obecnie hydrokraking MHC pracuje na maksymalnych obrotach, przerabiając 280–290 ton wsadu na godzinę, którego spora część pochodzi z nowej instalacji HVDU, wybudowanej w ramach Projektu EFRA. Tak wysoki przerób instalacji MHC planowany był dopiero po zakończeniu tego projektu, a to znaczy, że efektywny przerób produktu przyszłej instalacji koksowania wymaga istotnego zwiększenia zdolności przerobowych MHC.

– Dotychczasowe niedociążenie hydrokrakingu MHC wynikało z braku wodoru. Ostatnio wodoru mamy więcej dzięki zwiększeniu produkcji przez instalację HGU 270 oraz okresowej pracy nowej wytwórni wodoru z Projektu EFRA – wyjaśnia Mateusz Dauksza.

Celem zatrzymania wytwórni wodoru 270 była wymiana adsorbentów w sekcji PSA, odzyskującej wodór z gazów rafineryjnych. Efektem tej wymiany była poprawa sprawności wydzielania wodoru z gazu i wzrost produkcji wodoru o 5 proc. – do rekordowej wielkości zapewniającej wzrost produkcji hydrokrakingu MHC i całej rafinerii.

Na instalacjach destylacji atmosferycznej, destylacji próżniowej oraz ROSE wyczyszczono część wymienników ciepła, dzięki czemu instalacje te zwiększyły przerób i można było przerabiać więcej ropy.

– Okresowe zatrzymywanie instalacji produkcyjnych w celu poprawy różnych aspektów ich pracy, takich jak bezpieczeństwo i efektywność, stało się już naszym standardem – podsumowuje Dariusz Kruk, dyrektor ds. produkcji. – Przygotowanie i realizacja tego typu postojów jest operacją trudną i wymagającą sporego profesjonalizmu na każdym z etapów przygotowawczych oraz bezpiecznego przeprowadzenia remontów w czasie, gdy na sąsiednich instalacjach trwa normalna produkcja. Kolejny raz nasi pracownicy przeprowadzili tę „operację" perfekcyjnie.

Bogusław Posmyk

18/0918/F

eprasa.pl 9c712df3b7

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Samorządowe starcie



Powołano WWW i dobrze. Aktywną działalność zapowiada RKW. Kontrolujmy się wzajemnie, skoro nie możemy sobie ufać

Gęstnieje atmosfera polityczna niczym preludium do vivace, które niechybnie nastąpi z chwilą ogłoszenia wyników wyborów samorządowych. Dlatego warto przygotować się mentalnie do przyszłych, oby jednak nie burzliwych zdarzeń. Dwie główne siły na scenie politycznej: Prawo i Sprawiedliwość oraz Koalicja Obywatelska (PO+Nowoczesna), cechuje wzajemny głęboki brak zaufania co do uczciwości przeprowadzenia wyborów. Dla wyborców PiS ostatnie wybory samorządowe były sfałszowane, a beneficjentem tych manipulacji okazało się głównie PSL. Ponad 1,5 tys. protestów wyborczych nie dało żadnego efektu. Sądy uznawały, że nieprawidłowości nie miały wpływu na wyborczy wynik w danym okręgu. Niemniej jednak fałszerstwa nie zostały ukarane, a stopień braku zaufania do PSL, dla którego najbliższe wybory mogą być walką o wszystko, jest dziś jeszcze większy.

W przypadku Koalicji Obywatelskiej i PSL nieufność wobec PiS bierze się z faktu sprawowania przez tę partię władzy w kraju. „Większość parlamentarna zmieniła ordynację wyborczą, stwarzając sobie możliwość wpływania na wynik wyborczy" – twierdzą Wolontariusze Wolnych Wyborów (WWW), ruch powołany do kontroli wyborów przez Koalicję Obywatelską. Pojawiła się więc druga po Ruchu Kontroli Wyborów (powstałym trzy lata temu z inspiracji środowisk wspierających PiS) organizacja społeczna, która zgodnie z ordynacją wyborczą może wskazywać osoby do pracy w komisjach wyborczych, typować mężów zaufania i obserwatorów. Ale jak to możliwe, że organy samorządu terytorialnego odpowiedzialne za przeprowadzenie wyborów, a składające się w większości z działaczy PSL na wsi i działaczy PO w miastach, mają nie dopuścić do fałszowania wyborów przez większość parlamentarną? Przecież cała organizacja wyborów, m.in. wybór wykonawcy kart do głosowania, ich przechowywanie, zabezpieczanie, dostarczenie do obwodowych komisji, to zadanie marszałka województwa, starosty, wójta, burmistrza, prezydenta miasta. Jedynie „nadzór" na tymi czynnościami sprawuje komisarz wyborczy. Kto zatem komu ma patrzeć na ręce?

I czy mamy wierzyć, że Państwowa Komisja Wyborcza, powołana przez byłego prezydenta Bronisława Komorowskiego, sprzyja obecnej władzy? Jest wręcz przeciwnie. To PKW zrezygnowała z postulatu RKW, aby lokale wyborcze objąć monitoringiem, co dałoby gwarancję śledzenia prawdziwej frekwencji oraz pracy komisji wyborczych przy liczeniu głosów. To niejasna uchwała PKW dotycząca protokołów wyborczych będzie przedmiotem zaskarżenia do Sądu Najwyższego przez RKW, o ile zostanie w końcu ogłoszona w dzienniku urzędowym. Chodzi o to, aby ostateczny protokół podpisany przez wszystkich członków komisji wyborczej był najpierw do wglądu wyborców (na szczęście można już taki protokół fotografować), a dopiero potem trafiał do informatyka w celu przekazania danych do centrali. To PKW w swojej ostatniej uchwale z 24 września w sprawie wytycznych związanych z techniczną stroną wyborów ustaliła nakład kart do głosowania w wysokości 100 proc. uprawnionych do głosowania oraz „dodatkowe 50 kart na każdy obwód głosowania". Ustalono również „10-procentową rezerwę terytorialną komisji wyborczej". Niby z jakiego powodu ma być więcej kart do głosowania niż wyborców? Nie zdarzyło się przecież, aby frekwencja przekraczała 50 proc. Przyczyn nie podano. I tej uchwały pewnie też nie da się zaskarżyć, gdyż czeka na ogłoszenie. Wspomniana uchwała stwierdza słusznie, że obwodowa komisja wyborcza nie jest uprawniona do dokonywania skreśleń lub poprawek na kartach do głosowania. Dlaczego zatem przewodniczący PKW Wojciech Hermeliński w wywiadzie dla Polskiego Radia mętnie nadaje o możliwości, przy pomyłkach, zamazywania iksa w kratce i wstawianiu go w innym miejscu. Niby do kogo było to adresowane? Do wyborcy czy do członków komisji wyborczej?

Jeszcze bardziej zdumiewająca jest inna wypowiedź szefa PKW. „Może powstać problem, czy osoby, które będą orzekały o ważności wyborów, zostały właściwie obsadzone i czy orzeczenia te będą traktowane jako orzeczenia sądowe". I to jest ta zapowiedź przyszłego, powyborczego vivace, które może wybrzmiewać także na forum europejskim. Oliwy do ognia dolewa Piotr Misiło z Nowoczesnej przekonany, że PiS nie sfałszuje wyborów tylko wtedy, gdy Koalicja Obywatelska uzyska ponad 50 proc. głosów. Inaczej mówiąc wynik poniżej 50 proc. dla Koalicji Obywatelskiej będzie efektem pisowskich fałszerstw i powodem do wyprowadzenia ludzi na ulice.

Powołano WWW i dobrze. Aktywną działalność zapowiada RKW. Kontrolujmy się wzajemnie, skoro nie możemy sobie ufać. Na pewno do sądów okręgowych i apelacyjnych będą składane protesty. Ale o każdym fałszerstwie powinna wiedzieć prokuratura. To ciężkie naruszenie prawa nie może się rozejść po kościach jak poprzednio.

www.wojciechreszczynski.pl

eprasa.pl 9c712df3b7

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Republika Okrągłego Stołu

Czasem warto się potknąć i palnąć w głowę po to, aby najprostsze rzeczy dały się obejrzeć we właściwym świetle. Swoje potknięcia licznie mam na skórze wyryte jak pacierz, jednak dopiero ostatnio sam palnąłem się dłonią w durnowate czoło.

Toć przecie żadnej III RP nie było ani nie ma! Wszystko, co z nami zrobili, to proste mamienie i wystawianie na kwaśny deszcz siąpiący z telewizyjnych ekranów i płynący z gazetowych nagłówków. III RP nie istnieje – w zamian zaserwowali nam zuchwałą i prostacką podróbkę – coś, co z natury budzi niesmak i zwątpienie. „Spawacza" Jaruzela zrobili prezydentem, Kiszczaka ministrem, Siwickiego ministrem, a na premiera obrali dygota i zaprzańca, który chciał kary dla biskupa Kaczmarka. Zrobili zaprzańca, bo służby ostrzegły, że jak zrobią Kiszczaka, to Polacy nie uwierzą w maskaradę.



Witold Gadowski

Czy zatem w tym zestawie powstała polska niepodległość, która zasługiwałaby na miano III RP? A może powstała w Magdalence, gdzie Kiszczak układał się ze swoimi rabami, a może w czasie hecy nazwanej okrągłym stołem? A jakie mieliśmy wtedy wybory: jak nam się nie podobał hipokryta Mazowiecki, to mogliśmy śmiało wybierać Lecha B. Wałęsę! III RP była jak marchewka, którą macha się osiołkowi przed nosem w czasie trudnego marszu pod górę. Często była fantomem, który uosabiał nasze marzenia, aby jednak zawsze bezceremonialnie trzaskać nami o bruk.

Co zatem istniało naprawdę? Realnie stworzono nam Republikę Okrągłego Stołu, karłowatą imitację niepodległego państwa, w której niedawni zaborcy i zdrajcy odgrywali rolę elity i „demokracji". Rzecz była perfidnie i dobrze zaplanowana, tak dobrze, że aż prosi się szukać zewnętrznych inspiracji. Skoro zatem od 1989 r. mamy jedynie cuchnącą Republikę Okrągłego Stołu, to co z tym możemy zrobić? Na pewno nie pogodzić się z tak okaleczoną niepodległością!

Pora na mentalne i moralne powstanie przeciwko tej imitacji polskiej państwowości. Pora na wielkie powstanie w kulturze, w mediach, w filozofii. Tego za nas nie zrobią partyjni biurokraci. Oni zadowalają się tym, że – w wyniku kolejnej mutacji ROS – mogą mocniej rozciągnąć swoje wpływy. Tu nadszedł czas na działanie Polaków, szeregowych, szarych obywateli. Tylko ruszając do powstania przeciwko Republice Okrągłego Stołu, będziemy w stanie wywalczyć niepodległość i ogłosić powstanie prawdziwej III RP, w której stalinowskie kukułki i ich nasienie nie będą się już panoszyć w naszym rodzinnym gnieździe.

Wariat jestem niebezpieczny? No, a jak oni mogą się inaczej bronić?!

Niepodległa

Nie znam Łukasza Męczykowskiego z Gdańska. Za to on zna mnie. Historyk, obrońca konstytucji – wypatrzył w sklepiku przy Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku moją płytę „Niepodległa". I zadał sobie trud przeanalizowania 19 zamieszczonych tam patriotyczno-historycznych ballad. Fragment jednej z nich – „Rok 966" – zareklamował nawet na portalu Onet.pl, zarzucając mi przy okazji mowę nienawiści! A oto wybrany, „nienawistny" cytat: „Przetrwaliśmy czas rozbiorów i brunatne zło/ Komunistów i lewaków, genderowe dno/ Od dżihadu ocalimy świat kolejny raz/ Tylko Panie – miej w opiece nas!"



Lech Makowiecki

Wyjaśniam: na płycie nie ma wulgaryzmów, kłamstw ani treści demoralizujących młodzież. Ww. pieśń jest wyliczanką największych zwycięstw Rzeczypospolitej i głosem prawicowego autora w ogólnopolskiej dyskusji na temat współczesnych zagrożeń. Wspomniany utwór wpisuje się w wolność słowa i daleko mu do skandalizujących produkcji lewackiego mainstreamu. Piosenka nie szarga godła, nie poniewiera wiary, nie opluwa ojczyzny, nie nawołuje do wieszania kogokolwiek (zamiast liści), nie zawiera nawet obscenicznych ani pornograficznych treści... Żadnej flagi w kupie, rwania Biblii, fiuta na krzyżu, żadnego „Izwini, Polsza"(„Sorry, Polsko") – NIC!

Wiele naprawdę obrazoburczych „dzieł" swobodnie funkcjonuje w mediach i wchodzi na listy przebojów. Można „nienawidzić Polski" lub „dymać orła białego" i żaden sąd nie dopatrzy się w tym nic zdrożnego. Ot, prawo do nieskrępowanej wolności twórczej. Rzecznik Muzeum II Wojny Światowej Aleksander Masłowski – tłumacząc się przed Onetem – przytomnie zauważył, że cenzurując poezję, wkrótce będziemy zmuszeni poprawiać „Rotę" Marii Konopnickiej! Tam też padają mocno krytyczne słowa pod adresem jednego z naszych aktualnych sojuszników w UE i NATO...

PS Panie Łukaszu, ukazał się kolejny tomik moich wierszy pt. „Niepodległa". Podesłać? Przyda mi się promocja na marszach KOD; może razem nawrócimy parę lemingów...

eprasa.pl 9c712df3b7

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Fenomen

Bez wątpienia mamy do czynienia ze znacznym, kulturowym wstrząsem. Cokolwiek by mówić i jakkolwiek patrzeć, to frekwencyjnie i dyskusyjnie „Kler" jest fenomenem. Ale to nie film jest chyba fenomenem, lecz jego twórca. W sposób dotąd niespotykany przekroczył granice sztuki i wszedł w obszar zarezerwowany dotąd dla najcięższej pornografii. To określenie jeszcze tutaj padnie. Osoby Smarzowskiego od „Kleru" nie sposób już odróżnić. On sam o to zresztą dba. Kamera, a raczej oko i wyobraźnia Smarzowskiego, nie mówią o problemie, ale się nad wszystkim zwyczajnie pastwią. Tak jak pornografia pastwi się nad kopulacją jednego gatunku ssaków, a nawet seksu międzygatunkowego. Pornograficzny seks jest zawsze wulgarny i zawsze udawany, bo czyniony dla filmu. Pornografia Smarzowskiego jest dokładnie taka sama. Taśma filmowa, tak jak papier, jest cierpliwa. Wszystko zniesie. Wulgarność i przekazowa obsceniczność, które są środkiem filmowych komiksów Vegi, u Smarzowskiego są celem. Nie idzie tu o bluzgi ani nagość, ale o przekaz. To, co u innych jest morderstwem czy raną, u Smarzowskiego zawsze będzie rzeźnią i wywleczonymi na wierzch jelitami. I nie idzie to o krwawe sceny, ale tylko o przekaz.



Aleksander Nalaskowski

Wulgarność i przekazowa obsceniczność, które są środkiem filmowych komiksów Vegi, u Smarzowskiego są celem

Dokonam ryzykownego porównania. I ten fragment będzie nieco po bandzie. Wstrząsającym i zmieniającym świadomość filmem była „Pasja" Mela Gibsona. To realistyczne odtworzenie śmierci Jezusa Chrystusa i scenariusz oparty na fragmencie Ewangelii, którego przeczytanie nie trwa nawet dziesięciu minut. W jednej z ostatnich scen filmu kamera wznosi się wysoko, wysoko ponad plan filmowy i z góry na Golgotę spada mokra, Boża łza. To porusza do głębi. W filmie Smarzowskiego jest według mnie czytelny plagiat tej sceny. Kamera unosi się wysoko i leżący krzyżem kapłan płonie otoczony tłumem ustawionym w trójkąt. Była to jedyna scena, która mnie szczerze rozbawiła. Ale porównanie tych epizodów pokazało różnicę klas między reżyserami, różnicę wielkości kanionu Kolorado, różnicę między sztuką a nachalną tandetą. I to w zasadzie byłaby cała recenzja artystycznej strony filmu.

Smarzowski jako fenomen kulturowy, a raczej kwintesencja admiracji prostactwa, kultury tłuszczy łaknącej najprawdziwszej, wielkoekranowej pornografii po raz kolejny stworzył coś, co ma się do sztuki tak samo, jak gumowa o blond włosach sexy doll do topowej modelki. Stworzył fenomen kulturowego erzacu dla erzacu publiczności. Taki peep-show dla mas. Gdyby zrobił pełnometrażowy film pornograficzny, beztreściowy, ale z udziałem licznych gwiazd i gwiazdeczek polskich filmów, dziennikarzy, seriali, ścianek i festiwali – gwarantuję, że pobiłby frekwencyjny sukces „Kleru". I to chyba idzie właśnie w tym kierunku.

Fenomenem jest też „Wołyń". Ale teraz rozumiem dlaczego. Tego filmu nie dało się inaczej opowiedzieć. Tutaj los zrządził, że trafił „swój na swego". Umiłowanie Smarzowskiego do pornograficznego przekraczania granic znalazło swoje właściwe miejsce. Nagromadzenie zbrodni i zła na niewielkim w sumie obszarze było faktem, a nie tylko scenariuszowym upodobaniem do mięsa mielonego i kaszanki z ludzi. Zrobił dobry i nośny film, ale dlatego, że fakty były daleko drastyczniejsze niż jego wyobraźnia i zdolność do konfabulacji. Równie dobrze sprawdziłby się w filmie o Władzie III Palowniku, okrutnym oprawcy i pierwowzorze literackiego Drakuli.

Jest jeszcze jeden fenomen, który się ujawnił w „aurze" Smarzowskiego. To Janusz Gajos, a właściwie cały aktorski świat, którego jest on esencją. Aktor zyskał sławę, grając, jeszcze jako student, bohatera sfałszowanej historii II wojny. Janek z „Czterech pancernych" najpierw beztrosko polował w tajdze na tygrysy, nikt jednak nie powiedział, jak się tam znalazł, a potem przeszedł bohaterski szlak bojowy u boku Armii Czerwonej, prowadząc z kumplami radosne, piknikowe życie w kamperze o nazwie „Rudy". W licznych wywiadach, już po upadku komuny, tłumaczył się z tej roli, przeklinał ją i miał pełną świadomość, że brał udział w fałszowaniu historii. U schyłku życia ten znakomity majster znów najuczciwiej, jak mógł, skłamał całym sobą i ekranem. Znów bezrefleksyjnie udzielił siebie, bo „taki ma zawód". To prawda, mówią, że to najstarszy zawód.

Podobno jeden z wielkich aktorów międzywojnia przed pierwszą próbą pytał reżysera, o co chodzi w jego roli, bo z dramatu nie umiał tego nijak zrozumieć. I reżyser tłumaczył: „Tu się gniewasz, tu podejrzewasz, a tu się zastanawiasz". Potem grał przekonująco i prawdziwie. Czy to również przypadłość aktorów z „Kleru"? Nie można jednocześnie być aktorem i myśleć? Gajos indagowany przez Monikę Olejnik zdumiewająco nie miał nic do powiedzenia, chociaż mówił, grał twarzą i gestem. Aż żal, że jego kariera zamyka się między dwiema ohydnymi agitkami, między komunistą Jankiem Kosem a katolickim arcybiskupem Mordowiczem. Obie warte siebie. I ciekawym jeszcze, czy zagrałby w klasycznym pornolu Smarzowskiego? Oczywiście, gdyby znów „scenariusz Wojtka był nośny".

eprasa.pl 9c712df3b7

PRZEZ ŚWIETLIK

Flota, hajs, siano



Wiktor Świetlik

Nie da się ukryć, że tzw. Zachód nam ostatnio nieco doskwiera i coraz więcej osób zastanawia się, o co mu tak naprawdę w przypadku Polski chodzi. Temat nader aktualny przy okazji rocznicy odzyskania niepodległości. W końcu małą fetę można już urządzić, bo właśnie 7 października minęła setna rocznica pierwszego jej ogłoszenia przez nieco zapomnianych panów Kakowskiego, Lubomirskiego i Ostrowskiego z Rady Regencyjnej. Te daty związane ze zrzuceniem jarzma jako żywo dzielą do dziś intelektualnych pogrobowców – a także tych, którzy takimi się mienią – Józefa Piłsudskiego i Romana Dmowskiego. Tymczasem pod stwierdzeniem tego pierwszego, że „Zachód jest zgnilusieńki", podpisałby się zapewne i jego wielki antagonista.

Po 1989 r. i późniejszym zburzeniu muru berlińskiego cała niemal Polska zachłysnęła się Zachodem, więc dostrzeżenie, że państwa za Odrą nie zachowują się jak święty Maksymilian Kolbe, ale jak banda egoistycznych i nie zawsze rozsądnych łobuzów, zaowocowało sporym dysonansem. Nie zmienia to tego, że mam wrażenie, iż dzisiejsza Polska – także jej prawa strona – wciąż nie przyswoiła sobie jednej zachodniej zasady, którą akurat przyswoić powinna. Szacunku dla ludzi, którzy uczciwie, ciężką pracą, zbudowali majątek, a potem dają pracę innym czy rozwijają kraj poprzez swoje inwestycje.

Uważam, że nie jest be ten, kto ma pieniądze, ale ten, kto je zarabia nieuczciwie. Podobnie jak nie jest be ten, kto pieniądze zarabia i wydaje

Sprawa wypływa przy każdej kampanii wyborczej. Morawiecki jest za bogaty, bo mu pracodawca za dużo płacił. Jakubiak jest bogaczem, a w Polsce tyle biedy. Tego akurat od pokolenia Polaków sprzed stu lat moglibyśmy się nauczyć. Przedsiębiorcy, działacze gospodarczy, założyciele spółdzielni, banków, kas czy korporacji byli ludźmi powszechnie szanowanymi. Oczywiście pewna niechęć i ostrożność wobec tych, którzy mają po sześć, siedem i więcej zer na kontach, jest uzasadniona. Komunistyczne elity, które rozdzieliły między siebie to, czego nie udało się za bezcen sprzedać zagranicznemu kapitałowi, bandyterka, skorumpowani urzędnicy, sędziowie, lekarze i przedstawiciele innych dostojnych zawodów. Tak tworzyły się polskie fortuny. Ale walka z tego powodu z bogactwem jako takim to trochę jakby z powodu, że większość szewców w jakimś miasteczku jest złodziejami czy pijakami, więc trzeba walczyć z obuwiem w ogóle. Jest w tym i sporo z PRL i jego nauk, które gdzieś tam zostały w głowach, nawet u niektórych antykomunistów. Przecież właściciel małego sklepu, cóż może być wartościowszego, wciąż gdzieniegdzie zwany jest pogardliwie prywaciarzem. Kimś be, kto żeruje na spekulacji, z którą tak skutecznie walczyli następcy Hilarego Minca.

Uważam, że nie jest be ten, kto ma pieniądze, ale ten, kto je zarabia nieuczciwie. Podobnie jak nie jest be ten, kto pieniądze zarabia i wydaje. Przedwojenny brytyjski polityk Richard Barnes Clarke stwierdził, że „w okresie pokoju osoba, która bardzo dużo wydaje, jest uznawana za podporę społeczeństwa, a w okresie wojny – jest denuncjowana jako spekulant". Zdaje się, że na razie mamy pokój. Więc nie chodzi o to, by poseł Jakubiak czy premier Morawiecki uczciwie nie zarabiali pieniędzy. Dobrze, że je zarobili. Ważne, by puszczali je w ruch, co zdaje się zresztą, że czynili i czynią.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA



RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

55/0918/F

eprasa.pl 9c712df3b7



Absurdy gender studies i dobrze zastawiona pułapka

JAN POSPIESZALSKI

Doniesienia o odwoływanych konferencjach naukowych czy spotkaniach w murach uczelni na skutek ideologicznej presji stają się coraz częstsze. Kilka miesięcy temu nie dopuszczono do zatrudnienia na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym w charakterze wykładowcy etyki dr. Tomasza Terlikowskiego, teraz dowiadujemy się o skreśleniu z listy wykładowców UMK powszechnie szanowanego prof. Władysława Sinkiewicza, wybitnego kardiologa, który odważył się na Bydgoskie Dni Bioetyczne (obok ósemki wybitnych profesorów) zaprosić Marzenę Nykiel z prelekcją o zagrożeniach gender i Kaję Godek – matkę dziecka z zespołem Downa.

Tak oto dyktat neomarksistów ubranych w genderowe kostiumy paraliżuje środowisko akademickie, szczególnie na wydziałach humanistycznych. Tym wszystkim, którzy uważają, że przesadzam, polecam „Raport o gender w Polsce" Agnieszki Niwińskiej. Dziennikarka przeniknęła do środowiska gender studies i w swojej książce demaskuje absurdy tej jakże modnej pseudonauki. Na podobną prowokację, lecz na większą skalę, zdecydowała się trójka amerykańskich naukowców. Wyniki ich badań są komiczne, ale i przerażające.

Przez dwa lata realizowali w tajemnicy efektowny eksperyment. Studiowali literaturę genderową – znakomicie przyswoili język, zanurzając się w tej specyficznej kulturze, tak aby idealnie imitować typowy dla tych kierunków dyskurs. Oczywiście wszystko kręciło się wokół zagadnień tożsamości takich jak rasa, płeć, seksualność i oczywiście z marksistowskim podziałem na uciskanych i uciskających.

Kolejnym krokiem było przygotowanie serii artykułów i wysłanie ich do znaczących wydawnictw i wpływowych czasopism specjalizujących się w tej materii.

Metoda naukowców polegała na tym, że celowo wprowadzali absurdalne założenia, np. co się stanie, jeśli będziemy tresować mężczyzn tak, jak się tresuje psy, by zapobiec gwałceniu przez nich kobiet.

W innym obszernym opracowaniu z przywołaniem istniejącej bogatej literatury udowadniali tezę, że mężczyzna, który masturbuje się z myślą o kobiecie bez jej zgody (nawet gdy ona o tym nie wie), dopuszcza się wobec niej seksualnej przemocy. W najpoważniejszym piśmie dotyczącym badań nad seksualnością „Sexuality and culture" opublikowali rozważania, dlaczego heteroseksualni mężczyźni nie są skłonni do analnej masturbacji erotycznymi zabawkami? W konkluzji dowodzili, że gdyby zaczęli uprawiać penetrację wibratorami, staliby się mniej transfobiczni i bardziej kobiecy.

W feministycznym czasopiśmie „Hypatia" dowodzili, że biali mężczyźni nie powinni się odzywać na głos podczas zajęć na uczelniach. Proponowali, by w ramach historycznego zadośćuczynienia, siedząc na podłodze w łańcuchach, komunikowali się z prowadzącym zajęcia tylko drogą mailową (http://hypatiaphilosophy.org/).

Autorzy myśleli, że tym razem trochę przedobrzyli, tymczasem pracę przyjęto do publikacji, a w jednej z recenzji zarzucono im zbyt empatyczne podejście.

Zachwyt wzbudziła praca „Kultura gwałtu w psich parkach", recenzenci „Gender Place & Culture" uznali ją za jedną lepszych w 25-leciu.

Naukowe czasopismo „Afilla" opublikowało kolejną pracę poświęconą feministycznemu ujęciu „Mein Kampf" Adolfa Hitlera.

Raport z eksperymentu czyta się, nie mogąc powstrzymać śmiechu.

Naukowcy są pewni, że z nadesłanych prac więcej zostałoby zaakceptowanych, gdyż 80 proc. przyjęto do pełnej recenzji, ale wyniki eksperymentu ogłosili, zanim nadeszły odpowiedzi od wydawców. Średnio produkowali jeden tekst na dwa tygodnie, stosując tandetną metodologię i przywołując nieistniejące statystyki. Liczba zaakceptowanych i pozytywnie zrecenzowanych publikacji każdemu z autorów pozwala na uzyskanie tytułu na większości głównych uniwersytetów amerykańskich.

Autorzy dowiedli ciężkiej choroby nie tylko świata akademickiego, lecz i współczesnej kultury. Diagnozują, że wszelkie badania naukowe, które wynikają z radykalnie sceptycznych założeń dotyczących obiektywnej prawdy, nie mogą prowadzić do prawdy. Pokazują też korupcję w świecie naukowym, udowadniają niewiarygodność i ideologiczne uprzedzenia recenzentów.

Raport z eksperymentu wywołał w USA wstrząs. Czy stanie się powodem refleksji dla decydentów w Polsce? Viktor Orbán miał odwagę wywalić gender studies z publicznych uczelni. Lekturę raportu polecam Jarosławowi Gowinowi.

Źródło: Academic Grievance Studies and Corruption of Scholraship – Areo

eprasa.pl 9c712df3b7

Posła denerwują dziennikarze



Jerzy Jachowicz

„Nasz koalicyjny kolega Piotr Misiło otrzymuje drugie ostrzeżenie za swoją postawę. Poseł Nowoczesnej powinien swoje nerwy trzymać na wodzy. Przypominamy, że po trzecim ostrzeżeniu straci prawo do udzielenia mu ewentualnej prolongaty spłaty kredytu udzielonego przez Koalicję na działalność polityczną. Przy okazji zwracamy uwagę na niezgodne z celem wykorzystywanie pieniędzy z kredytu. Zwłaszcza niepokój budzą wydatki w rubryce »Wizyty«" – czytam uzasadnienie decyzji zarządu Koalicji Obywatelskiej, jakie dotarło do moich rąk.

A oto jego inne fragmenty.

„Zwracamy uwagę, że to nie pierwszy nieodpowiedzialny wybryk kolegi Misiły. Godny uznania za czystą głupotę. Owszem, będziemy dyscyplinarnie wyrzucać prawicowych dziennikarzy z mediów publicznych. Nie musimy, jak Piotr Misiło, głośno o tym krzyczeć przed dojściem do władzy. Jest oczywiste, że swój temperament winien wyładowywać na innych obiektach niżeli media. Piotr Misiło jest dorosłym mężczyzną i nie musimy mu podpowiadać, o jakich obiektach myślimy.

Wracając do wcześniejszej uwagi, chcemy wyrazić nadzieję, że w rubryce »Wizyty« nie kryją się spotkania, które należałoby ukrywać przed opinią publiczną. Zakładamy zatem, że są to wizyty np. w gabinecie dentystycznym czy na kozetce u psychoterapeuty. Nie wyobrażamy sobie, by miały być to wieczorne eskapady do lokalu należącego do Stanisława Gawłowskiego, wynajmowanego przez specjalistki od leczniczego masażu. Z drugiej jednak strony dziwi regularność tych wizyt w tygodniowym kalendarzu posła oraz związane z nimi wysokie wydatki. Gdyby były to spotkania w gabinecie dentystycznym, musielibyśmy założyć, że poseł Misiło cierpi na zapalenie uzębienia, które wymaga kanałowego leczenia.

W tej sytuacji, mimo nałożonej kary, serdecznie współczujemy".

Za zarząd
Igor Śróbka

CO MNIE DRAŻNI

Przykro mi



Katarzyna Łaniewska

Przykro mi, że muszę znów krytykować mój (ten, który z zainteresowaniem śledzę) program w TVP. Ma on wiele zalet – dobre dziennikarstwo, publicystykę, informacje, historię i kulturę.

Ale... ostatni koncert pieśni patriotycznych w nowych aranżacjach, wielka gala w Teatrze Wielkim. Wypełnione wszystkie balkony i loże. Połowa widowni to nasi rodacy z całego świata. Zapowiedź, jaka już od paru dni poprzedzała ten koncert: że będzie znakomity, wspaniały i śpiewać będą wielkie gwiazdy nasze patriotyczne pieśni. Ktoś powiedział, że będzie to najlepszy koncert obchodów 100-lecia odzyskania niepodległości.

I zobaczyłam, i usłyszałam to cudo. Dużo świateł, wielka gala. Wśród gwiazd rozróżniłam Marylę Rodowicz i pana Cugowskiego – jedyni wiedzieli, po co śpiewają. Natomiast jeżeli chodzi o całą resztę, to zadaję jedno pytanie – dlaczego i po co? Mogę sobie odpowiedzieć – dla pieniędzy lub dlatego, że ci, którzy decydowali, kto wystąpi, nie przypomnieli sobie momentu z hymnem Polski na zawodach sportowych. Fakt, śpiewała gwiazda, ale nie wyszło. Nie wolno szargać świętości. Mamy „Mazurek Dąbrowskiego", a nie jakieś wygibasy. Upominamy się o to. Dlaczego „Legiony", które porywają, zostały tu wyszeptane. Nawet melodia się nie zgadzała. I tak po kolei wszystkie piosenki. Nie zgadzały się one też chronologicznie. Było mi wstyd.

Publiczność była kulturalna – biła brawo. Ale to nie to. Nie wstali na „Legiony", bo nie bardzo wiedzieli, co to jest. A potem pani w wielkiej sukni jak do arii operowej miała zaśpiewać „Czerwone maki", piosenkę uświęconą polską krwią. Co te panienki sobie wyobrażają? Czy one mają pojęcie, co te pieśni niosły? Jakie wartości? Nic się tam nie broniło. Nie mogę zrozumieć, czemu nie zostało zaśpiewane to tak, jak zostało stworzone. To nasza skarbnica chowana w śpiewnikach w szufladach. Jestem starą aktorką, parę rzeczy widziałam, w paru koncertach brałam udział i to nie jest tylko moja opinia. Konsultowałam się z kolegami, którzy zajmowali się estradą – nie wytrzymali do końca. Ja się katowałam i chciałam zobaczyć napisy końcowe, by wiedzieć, kto jest odpowiedzialny. Nie mogłam – przeleciały małe i szybko. TVP zaczyna być telewizją dla młodych ludzi z krzykiem, z wrzaskiem, z tupaniem. Powiedzą państwo, że można się przełączyć. Ale chciałabym, by to TVP kształtowała kulturę i dawała coś też średniemu pokoleniu. Przykro mi.

eprasa.pl 9c712df3b7

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Twitterowe reminiscencje

Twitter skutecznie zastępuje psychoterapeutów



Ryszard Makowski

Są jednostki osobowe, którym się zwyczajnie rzuciło na psyche i, co więcej, te jednostki z lubością ten stan pielęgnują. W osamotnieniu pewnie by wyły przeraźliwie albo tłukły głową o ścianę, a w towarzystwie ugryzły kogoś w kostkę, ale dzięki TT mogą sobie zafundować erupcję frustracji rozładowującą napięcie emocjonalne.

Ukąszenie PiS-em może być przyczyną groźnych stanów urojeniowych. I to nieważne, że ktoś jest wybitnym muzykiem czy profesorem prawa, obsesja dręczy, męczy i zmusza do szaleńczej aktywności. Zbigniew Hołdys: „Nie powinno się obchodzić 100-lecia Niepodległości Polski, dopóki PiS jest u władzy". I szczęśliwie trafił od razu na kolegę z grupy terapeutycznej. Michał Setlak dopisał: „Oczywiście obecnie Polska jest pod okupacją PiS, w efekcie wojny propagandowej prowadzonej przez Rosję. Mówię najzupełniej poważnie".

Są jeszcze poważniejsze wpisy. Prof. Sadurski doznał wizji: „Prawnicy spierają się co do różnych scenariuszy »Co po PiS-ie?«. Pomijają jednak zazwyczaj, pewno przez grzeczność, oczywistość, że PiS trzeba będzie zdelegalizować. Nie przez jakąś zemstę, ale jako akcja zapobiegawcza demokracji przeciw organizacji przestępczej (zdrada stanu)".

Z jednej strony beczka śmiechu, a z drugiej przez lata te „kukułki" niepodzielnie gospodarzyły w Polsce. I chcą nadal! Dla nich jesteśmy tylko niepodmiotowym plebsem. Cóż, pilnujmy Polski, żeby one mogły się wyszaleć wyłącznie wirtualnie.

eprasa.pl 9c712df3b7

***Zawistowski prezentuje:* Sąd kelnerski**



Wycinki z przeszłości

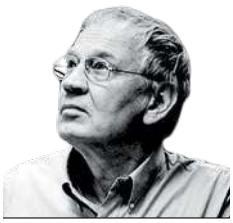
Dziś prezentujemy kopie dwóch znaczków „Solidarności Walczącej", udostępnione nam uprzejmie przez pana Dariusza Łaszycę. Przedstawiają księży, którzy w ciężkim i tragicznym dla Polaków czasie stanu wojennego, po próbie zduszenia narodowego zrywu, po wepchnięciu społeczeństwa w nędzę i skazaniu go na dekadę beznadziei, symbolizowali walkę o wolność, niepodległość i godność człowieka. Dzisiaj mówią o naszych księżach „kler", dzisiaj szczują na nich, nie mają litości, nie chcą pamiętać tamtych czasów. A przecież, jakiej trzeba było odwagi, by w 1982 r. zawołać jak ksiądz Jerzy Popiełuszko na mszy za ojczyznę: „Kościół zawsze staje po stronie prawdy. Kościół zawsze staje po stronie ludzi pokrzywdzonych. Dzisiaj Kościół staje po stronie tych, którym odebrano wolność, którym łamie się sumienie. Kościół staje dziś po stronie robotniczej »Solidarności«, po stronie ludzi pracy, którzy niejednokrotnie są stawiani w jednym szeregu z pospolitymi przestępcami" (28 lutego 1982 r., cytat za IPN).

Tak, wtedy kiedy ludzi „Solidarności" komuniści gnoili, Kościół za nimi stanął. Dziś, kiedy księży niszczy się komunistycznymi i goebbelsowskimi metodami, ludzie tamtej „Solidarności" najczęściej milczą albo sami biorą w tym udział. Haniebne!

(mk)



Na grzyby!



Leszek Długosz

Gdy najlepsza pora... To którędy by? I z kim by, jak nie z Adamem M.?

Adam Mickiewicz 1778–1855
Pan Tadeusz, Księga III

Grzybów było w bród: chłopcy biorą krasnolice,
Tyle w pieśniach litewskich sławione lisice,
Co są godłem panieństwa, bo czerw ich nie zjada,
I dziwna, żaden owad na nich nie usiada.
Panienki za wysmukłym gonią borowikiem,
Którego pieśń nazywa grzybów pułkownikiem.
Wszyscy dybią na rydza; ten wzrostem skromniejszy
I mniej sławny w piosenkach, za to najsmaczniejszy,
Czy świeży, czy solony, czy jesiennej pory,
Czy zimą. Ale Wojski zbierał muchomory.

Inne pospólstwo grzybów pogardzone w braku
Dla szkodliwości albo niedobrego smaku;
lecz nie są bez użytku, one zwierza pasą
I gniazdem są owadów i gajów okrasą.
Na zielonym obrusie łąk, jako szeregi
Naczyń stołowych sterczą: tu z krągłymi brzegi
Surojadki srebrzyste, żółte i czerwone,
Niby czareczki różnym winem napełnione;
Kożlak, jak przewrócone kubka dno wypukłe,
Lejki, jako szampańskie kieliszki wysmukłe,
Bielaki krągłe, białe, szerokie i płaskie,
Jakby mlekiem nalane filiżanki saskie,
I kulista, czarniawym pyłkiem napełniona
Purchawka, jak pieprzniczka – zaś innych imiona
Znane tylko w zajęczym lub wilczym języku,
Od ludzi nie ochrzczone; a jest ich bez liku.
Ni wilczych, ni zajęczych nikt dotknąć nie raczy,
A kto schyla się ku nim, gdy błąd swój obaczy,
Zagniewany, grzyb złamie albo nogą kopnie;
Tak szpecąc trawę, czyni bardzo nieroztropnie.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 9c712df3b7

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Chronić kotwicę

Mimo niebywałego rozwoju technologicznego świat ludzki ciągle potrzebuje naprawy. Ciągle boryka się z problemami, których mimo tego nieustającego postępu rozwiązać nie potrafi. Najwyraźniej świecki rozum ma swoje ograniczenia.

Dlatego dobrze, że 2–3 października 2018 r. już po raz drugi odbył się w Warszawie Festiwal Katolickiej Nauki Społecznej. Tegoroczne hasło przewodnie to: „Obywatel – polityk – przedsiębiorca. Między partykularyzmem a dobrem wspólnym". Przyniosło to sporo doniosłych wątków i wiele inspiracji.

KATOLICKA NAUKA SPOŁECZNA BEZ BOGA?

Jak Kościół katolicki radzi sobie z agresją nowego ateizmu? Laicyzacja potrafi przybierać postać coraz bardziej brutalnego wyrzucania Pana Boga z ludzkiej świadomości – także dzięki rozwojowi technik komunikacji czy raczej dezorientacji społecznej.

Choć festiwalowy duch z natury powinien siać optymizm, to jednak wygłoszony przez ks. prof. Piotra Mazurkiewicza wykład inauguracyjny pokazujący wyzwania, w obliczu jakich stoi katolicka nauka społeczna, bynajmniej optymistyczny nie był.



Być może katolicka nauka społeczna stanęła przed wyzwaniem wcześniej trudnym do wyobrażenia

Ale może to zależy od tego, jak rozumiemy optymizm? Ksiądz Mazurkiewicz w swej inspirującej analizie pokazał, że teologowie zbyt często wykazują się uległością wobec dyskursu świeckiego. Już tylko na poziomie zapożyczeń terminów, np. „zdrowie reprodukcyjne" zamiast „zdrowie matki i dziecka", „zasada subsydiarności" miast „braterstwa i miłosierdzia" – katolicka nauka społeczna niemal niepostrzeżenie rezygnuje z teologicznych podstaw swego nauczania na rzecz zakotwiczania się w szeroko rozumianej świeckiej naukowości.

CO Z OPTYMIZMEM?

W chrześcijaństwie optymizm jest czymś innym niż współcześnie lansowany pozytywny stosunek do czegoś, koncentrowanie się *wyłącznie* na jasnej, pozbawionej ludzkich słabości, brudu i cierpienia stronie życia.

Rodzice chcą dla dzieci szczęścia i dobrobytu, ale to, czy będą one ludźmi dobrymi, to już nie jest takie ważne. W świecie hiperindywidualizmu liczy się jednostka i jej odczucia. A nawet jeśli mamy dbać o jakieś „dobro wspólne", przecież wystarczy pilnować interesów swoich i podobnym sobie, np. ekologicznie i zdrowo żyć, gimnastykować się i medytować; mięsa nie jeść. Być wolnym...

Ale tradycyjnie rozumiane „dobro wspólne" dotyczące wspólnoty, z reguły narodowej, to nie jest suma jednostkowych interesów. To jest nieraz z trudem wypracowana swoista synteza ludzkiej wielości. Wynegocjowanie kompromisu pomiędzy często różniącymi się środowiskami, zrezygnowanie z czegoś własnego na rzecz ważnych spraw wspólnych.

PARTIA CZY PATRIA? – DYLEMAT WSPÓŁCZESNEGO PAŃSTWA

Tak brzmiał tytuł jednego z paneli eksperckich. Trudno było się spodziewać jednoznacznej odpowiedzi na takie pytanie. Ale pewnie niespodziewanie dla niektórych jeden z wątków dyskusji dotknął o wiele ważniejszego problemu. Rozwój technologiczny, zwłaszcza na poziomie komunikacyjnym – przestrzeń cyfrowa i gadżety w postaci smartfonów – zmienił pola uprawiania polityki. Partie polityczne stały się tylko jedną z możliwych form artykulacji interesów społecznych. Niebagatelną siłą stają się media społecznościowe, często w istocie odspołeczniające. To one mogą mieć (już mają?) kluczowy wpływ na bieg wydarzeń politycznych.

Pytanie festiwalowego panelu wcale nie uchwytuje dylematu współczesnego państwa. Mamy o wiele większe wyzwanie. Czy państwo, czy ojczyzna mają jeszcze szanse przetrwania w świecie, który coraz potężniej rozgrywa się w przestrzeni wirtualnej? A – takiego pytania na panelu nie zadano – czy Kościół powszechny przetrwałby w świecie bez narodów i państw narodowych?

KOTWICA W NIEBIE

Być może katolicka nauka społeczna stanęła przed wyzwaniem wcześniej trudnym do wyobrażenia. Już nie wystarczy zabieganie o chroniące godność człowieka instytucje publiczne. Trzeba ochronić wiarę w Boga w świecie, w którym coraz trudniej odróżnić gruntowne od powierzchownego, rzeczywiste od fikcyjnego, wreszcie dobro od zła.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 58/0918/F

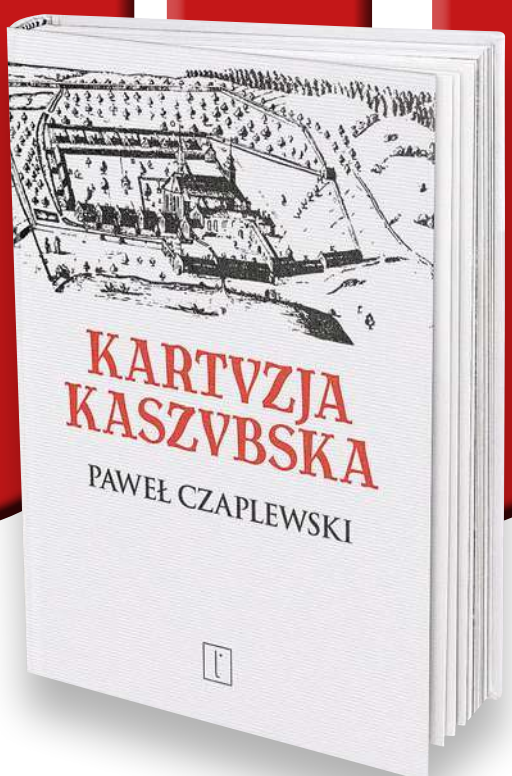
eprasa.pl 9c712df3b7

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW

100

książek

w prezencie





ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ MIESIĘCZNIKA WSIECI HISTORII ZA **75 ZŁ**, A KSIĄŻKĘ „KARTVZJA KASZVBSKA" O WARTOŚCI **44,90 ZŁ** OTRZYMASZ GRATIS!

SPRAWDŹ DOSTĘPNOŚĆ KSIĄŻEK NA **WSIECIPRAWDY.PL/PRENUMERATA**

ZAMÓW JUŻ DZIŚ! | tel. 22 616 15 70 | PRENUMERATA@FRATRIA.PL WWW.WSIECIPRAWDY.PL/PRENUMERATA

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: PL91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: Prenumerata roczna wSH i pełne dane teleadresowe do wysyłki.

eprasa.pl 9c712df3b7



Bank Polski

WYBRALIŚCIE NAJLEPSZĄ BANKOWOŚĆ MOBILNĄ

Aplikacja IKO PKO Banku Polskiego ma najwyższe oceny użytkowników w Google Play i App Store spośród 5 największych banków w Polsce*

*Zestawienie bankowych aplikacji mobilnych zostało opublikowane 30.08.2018 r. na Antyweb.pl

eprasa.pl 9c712df3b7